

BIULETYN IPN

nr 1 (22)/2014

pamięć **pl**

1934: deklaracja z rozsądku

Droga do „Burzy”

Po co nam historia kobiet?

Konspiracja w stanie wojennym

Rumkowski: kat czy ofiara?

Cena 6 zł(5%VAT)

ISSN 2084-7319



9 772084 731002 20

numer indeksu 284521
nakład 10 500 egz.



Dodatek specjalny:
broszura *General Kazimierz Sosnkowski (1885–1969)*

Całość floty rzymskiej dzielono na flotyllę (classis), z których każdą dowodził praefectus classis. Ich nazwy zależały od rejonu, w którym stacjonowały. Oprócz jednostek samego Rzymu, w jego flocie służyły też tak zwane flotyllę posiłkowe dostarczane, dowodzone lub przysmusowo, przez nacje z nim sferderowane. Oprócz okrętów stricte bojowych Imperium rozporządzało także znaczną ilością mniejszych jednostek zwodowych i patrolowych. W szczególnych sytuacjach różnego rodzaju funkcje pomocnicze, a nawet mniej ważne zadania zbrojne, wypełniała flota handlowa. Większe statki transportowe służyły głównie do przewożenia armii ekspedycyjnej oraz zaopatrzenia i żywności na teren działań wojennych. Wielka ich liczba wyruszyła wraz z całą flotą rzymską (liczącą trzydziście okrętów) w ekspedycję zbrojną przeciw Kartaginie, zakończoną bitwą morską u przylądka Eknomos w 256 roku przed naszą erą. W czasach republiki naczelne dowództwo nad flotą wojenną leżało w gestii dwóch konsulów. Do sprawowania kontroli nad pojedynczymi flotyllami wyznaczali oni własnych pomocników: trybunów bądź legatów. W 311 roku przed naszą erą z inicjatywy Appiusza Klaudiusza Caecusa przeprowadzono reformę, w myśl której każdy z konsulów dobierał sobie do pomocy jednego oficera floty. Nosił on nazwę duumwiri navalis i był członkiem dwuosobowego kolegium duoviri navales. Począwszy od 267 roku przed naszą erą sprawami finansowymi dotyczącymi floty rzymskiej oraz ochroną morskich szlaków handlowych zajmowali się czterej quaestores classis. W czasach II wojny punickiej, z racji dużej ilości morskich potyczek i bitew, należało stworzyć nowy rodzaj dowództwa. Związane z nim zadania przejął praefectus classis podlegający bezpośrednio konsulom. Pod koniec III wieku przed naszą erą w sprawach morskich zauważalny stał się spadek prestiżu konsula, który ostatni raz dowodził flotą w 218 roku. Jego uprawnienia przejmowali stopniowo inni wysocy urzędnicy, na przykład w trakcie wojen macedońskich całością floty kierował mianowany przez senat legatus pro praetore. Pod koniec II wieku przed naszą erą po raz pierwszy wydziałowi eskadrami dowodził podlegający temu ostatniemu legati classis. Głównym dowódcą okrętu wojennego był trierarchus. Jego rozkazom podlegał centurio classicus, a więc dowódca oddziału żołnierzy pokładowych. Obowiązki szypira, czyli dowódcę mniejszymi jednostkami pływającymi, głównie handlowymi, pełnił nauarchus. Z biegiem czasu, kiedy flota rzymska stała się liczną i znaczącą siłą morską, powołano stanowisko przełożonego szypirów, które pełnił nauarchus princeps. W zależności od rodzaju okrętu wojennego na jego pokładzie znajdowała się mniejsza lub większa liczba załogi. W jej skład wchodziła: kadra dowódcza, żołnierze okrętowi (classarii lub marines), wioslarze (remiges), żeglarze (nautae), sternik oraz fletnista bądź trębacz nadający odpowiednio tempo wiosłowaniu. Oficerowie pokładowi, których głównym zadaniem był nadzór nad pracą wiosłarzy oraz wydawanie odpowiednich rozkazów i komend, zajmowali miejsce na niewielkim pokładzie nawigacyjnym umiejscowionym na rufie okrętu flagowego. Na jego maszcie wieszano flagę z typowo rzymskimi symbolami lub – w czasach Imperium – wizerunkiem cesarza (imago). Przebieg przegranej przez Kartagińczyków bitwy u przylądka Eknomos w 256 r. p.n.e. istotnie zadania pełnił na rufie sternik, który manewrował okrętem podczas bitwy oraz odpowiadał za nawigację w czasie żeglugi. Było to możliwe dzięki dwóm zsynchronizowanym wiosłom sterowym, które znajdowały się po obu stronach kadłuba okrętu. Wioslarze i żeglarze dysponowali jedynie lekkim uzbrojeniem zaczepnym (głównie oszczepami, które podczas żeglugi chowano pod ławeczki wiosłarskie), aczkolwiek ich zadaniem, oprócz wyprowadzania okrętu w ruch i nadzorowania żagli, było również uczestniczenie w bitwie, jeśli tylko wymagała tego sytuacja. Używali oni przetrzebionych sposobów walki: podczas rejsu zajmowali miejsce za pomocą procy oraz rzucaniu oszczepami, w pozycji siedzącej. Każdy okręt wojenny, bez względu na wielkość, posiadał na swym pokładzie określoną liczbę legionistów, którzy podczas rejsu zajmowali miejsce w części dziobowej. Przeważnie była to tak zwana centuria classica licząca stu zbrojnych. W okresie późnej republiki oraz pryncypatu legionści posiadali następujące wyposażenie: tunikę kołczą (lorica hamata) bądź dobrze dopasowany do tułowia pancerz (na wzór „pancerza stęty”) i przytoczone do niego pierzgi, czyli połączone ze sobą skórzaną pastę, często laminowane metalem, dla lepszej ochrony podbrzusza; hełm typu beockiego ze specyficznym rondem opadającym ku dołowi i napoliczkaniami wiązanymi pod brodą, oszczep do dwóch metrów długości, krótki miecz (gladius). Ponadto na wyposażeniu żołnierzy pokładowych znajdowały się owalne tarcze zdobione zawieszonymi motywami morskimi (na przykład harpunami lub podobiznami boga Neptuna) i zawieszane na specjalnym pasku na ramieniu. Na podstawie znalezisk archeologicznych w Pompejach i wyobrażeń scen morskich w sztuce rzymskiej można odtworzyć także ubiór legionistów okrętowych. Typowy classarius nosił tunikę, długi płaszcz (przeważnie koloru czerwonego) i sandały. W rzymskiej flocie wojennej służyli także sojusznicy morscy (socii navales). Zaliczali się do nich np. Grecy oraz Italicy sprzymierzeni z Rzymem. W kontekście planowania morskiej wyprawy do Afryki w czasie II wojny punickiej Tytus Liwiusz zanotował: Ludy Umbrii, a obok nich mieszkający Nurzi, Reate i Amiternum, a także każdy kraj sabiński przyrzekli dostarczenie żołnierzy. Z Marsów, Pelignów, Marrucynów wielu zgłosiło się na ochotnika do służby na okrętach. Kamertowic, choć byli w przynajmniej z Rzymem na równych prawach, przysłali uzbrojony oddział sześciuset ludzi. Z biegiem czasu, korzystając z ujarznienia wielu plemion barbarzyńskich, do załóg okrętowych włączono też przedstawicieli podbitych nacji (symmacharii), którzy nie posiadali obywatelstwa rzymskiego i otrzymywali je dopiero po ukończeniu służby wojennej. Zwykle odbywali ją oni jedynie w czasie wojny, otrzymując w zamian wynagrodzenie pieniężne. Symmacharii nie posiadali specjalnego przeszkolenia i walczyli według własnego stylu, właściwego dla plemienia, z którego pochodzili. Przewodzili im, dla ułatwienia kontaktu między dwoma stronami, nie w pełni zromanizowani wodzowie wywodzący się z terenów podbitych, w całości jednak podlegający dowództwu rzymskiemu. W zależności od rejonu stacjonowania poszczególnych flotylli rzecznych w skład rzymskiej załóg wchodził: Iberowie, Brytwowie, Germanie, Gallowie a nawet Maurowie lub szerzej – mieszkańcy Afryki Północnej. Symmacharii posiadali typowe, barbarzyńskie uzbrojenie: oszczep, sztykły, okrągłą tarczę wykonaną z drewna i wzmocnioną metalowym umblem oraz maczugę. Charakterystyczną cechą tych zbrojnych był brak pancerza, choć czasami w celu częściowej choć ochrony tułowia i torsu stosowano widolawstworze płócienne tuniki. Wspomniani wcześniej Maurowie w warunkach morskich ubraли się w kilka krótkich oszczepów do rzucania, okrągłą tarczę niewielkich rozmiarów zakładaną na przedramię oraz wlepną tunikę. Z barbarzyńców rekrutowały się także jednostki odpowiadająca za walkę na odległość. Zaliczy do nich należy łuczników, których często werbowano spośród mieszkańców Bliskiego Wschodu – znani ze swych wysokich umiejętności byli przede wszystkim łucznicy syryjscy. Na ich orientalne uzbrojenie składały się: hełm stęty, pancerz łuskowy, nakarczki, łuk refleksyjny, którego ciężkie napinano za pomocą specjalnego pierścienia (zakira) nakładanego na ciek i krótki miecz. Mniejsze znaczenie aniżeli łucznikom przypisywano miotaczom kamieni, których należy odróżnić od procarzy. Ci ostatni pochodzili i zazwyczaj z Wysp Balearskich, chociaż znani i cenieni byli także procarze kretesyjsi. Na ich uzbrojenie składały się: proca skórzana, łuny płaszcz na pociśki, tunika, hełm i krótki miecz bądź puzinał. Jako procarze służyli też zwykłe Brytwowie, których odróżniało noszenie długich spodni oraz skórzanę torbę na amunicję. Używano dwóch rodzajów procy: do rzucania na znaczną odległość przeciw oddziałom skupionym w gęstym zryku na małej przestrzeni (w takiej sytuacji znaczne straty w szeregach wroga były gwarantowane) oraz do rzucania na bliższych celów indywidualnych. Nośność procy wynosiła do sześciuset stop rzymskich (jedna stopa rzymska to dwadzieścia dziewięć i sześć dziesiątych centymetra). Rzucono kamieniami bądź olowanymi kulami. Generalnie rzecz ujmując, niezależnie od tego, czy mówimy do Greków, Rzymianów lub innych jeszcze ludach, bitwy morskie rozstrzygano na trzy sposoby. Dążono zazwyczaj do staranowania wrogich okrętów (grecki manewr – periplus), zdruzgotania ich wiosł kadłubem (dieklus) lub abordażu, czyli przeniesienia walki na pokład okrętu nieprzyjaciela. Aby skutecznie dokonać taranowania, okręty ustawiały się w sztyk czołowy. Następnie podpyływały do nieprzyjacielskich jednostek na bliską odległość i atakowały taranami ich burty. Później wycyływały się w celu uwolnienia taranów, po czym powtarzały wspomnianą czynność. Niekiedy dążono także do okrążenia sil przeciwnika poprzez wykonywanie manewru okrążającego. Będąc w niewielkiej odległości od okrętu wroga można było także zdruzgotać jego wiosła poprzez wpłynięcie na nie, gdy znajdowały się w wodzie. Należało przy tym pamiętać, aby wcześniej podnieść własne wiosła. Atak taki był możliwy po uprzednim ustawieniu okrętów w sztyk liniowy, które przepływały następnie ze spora szybkością przez grupowanie nieprzyjaciela. Manewr taki mogła ryzykować jedynie flota złożona z szybkich i zwrotnych jednostek. Stosowano także sztyk obronny (kyklos) stosowany przez floty słabsze liczebnie od przeciwnika, bądź złożone z powolniejszych okrętów. Wówczas to jednostki tworzyły okrag, ustawiając się taranami na zewnątrz – frontem do wroga. Rzymianie, znani z walorów swych sił lądowych, ulepszyli znacznie technikę abordażu. Aby ułatwić własnym żołnierzom przedostanie się na nieprzyjacielski okręt i nadać starciu morskemu charakter bitwy na twardym gruncie, zaopatrzyli swe okręty w ruchome pomosty, tak zwane kruki (corvus). Miały one jedenaście metrów wysokości i jeden i dwie dziesiąte metra szerokości, z każdej strony były zabezpieczone balustradą, a dodatkowo zaopatrzone były w żelazne dzioby. Każdy taki pomost był przymocowany do ośmiometrowego słupa ustawionego na dziobie okrętu. Kółowrotny, wspomnianemu słupowi oraz linom przewleczonym przez jego wierzchołek, możliwe było podnoszenie i opuszczanie opisanej kładki, a także obrócenie jej na dowolną burtę okrętu. Aby cała konstrukcja była stabilna, używano specjalnego kołca bądź haka (coitus) na końcu pomostu.

W Internecie
mamy więcej
miejsca.



Pierwszy polski portal historyczny
www.histmag.org

MAGAZYN HISTORYCZNY „MÓWIĄ WIEKI”

Popularyzujemy historię od 55 lat!

W numerze styczniowym:

- Akcja „Burza” – wielki zryw Armii Krajowej
- Odbudowa czy doburzanie Warszawy po 1945 roku – dyskusja redakcyjna
- Landjahr – w służbie ziemi i Hitlera
- 100 lat amerykańskiej Rezerwy Federalnej
- Jak Hannibal rozgromił Rzymian nad Jeziorem Trazymeńskim
- Jęgrzy – z dziejów fińskiej irredenty przeciwko Rosji
- Rozmowa z Jarosławem Molendą, autorem książki „Ulubiona agentka Churchilla. Krystyna Skarбек – królowa podziemia czy zdrajczyni?”
- Dodatek „Historia bankowości na ziemiach polskich” (cz. 3 i 4)

Ponadto w miesięczniku: aktualności historyczne, recenzje książkowe i filmowe, anegdoty sprzed wieków

„Mówią wieki” można nabyć w salonach EMPIK, Kolportera, Garmonda, Inmedio oraz dobrych kioskach RUCH-u. Prenumeratę realizują Bellona SA i RUCH.

Zapraszamy także na nasze strony internetowe:

www.mowiawieki.pl oraz www.facebook.com/mowiawieki



**3 AKTUALNOŚCI IPN****4 KALENDARIUM****6 Z PIERWSZEJ STRONY****FELIETON**

8 Krzysztof Gottesman, **Ciepła pamięć wielkiej katastrofy**

STOPKLATKA

10 Katarzyna Adamów, **Pies, nie świnia**

Z ARCHIWUM IPN

14 Grzegorz Majchrzak, **Komunikat z obserwacji**

WYWIAD

16 **Po co nam historia kobiet?**
– rozmowa z prof. Andreeą Petö

WYDARZYŁO SIĘ W XX WIEKU

20 Marcin Przegiętka, **„Z Polską małżeństwo z rozsądku, a nie z miłości”**

24 Waldemar Kowalski, **Mordechaj Chaim Rumkowski – kat czy ofiara?**

28 Marek Gałęzowski, **Droga do „Burzy”**

33 Janusz Wróbel, **Zatrzymać „Wolną Polskę”**

37 Tomasz Kozłowski, **Solidarność w sądzie**

41 Grzegorz Wołk, **Kosecki w krainie generałów**



Fot. AIPN



Fot. NAC



Fot. AIPN



Fot. NAC



Fot. PAP



Fot. ze zbiorów Krzysztofa Barbarskiego

**Z DZIEJÓW OPOZYCJI I OPORU SPOŁECZNEGO**

45 Jan Olszek, **Stan wojenny, czyli szybka lekcja konspiracji**

PRZEMINĘŁO Z PEERELEM

50 Jerzy Kochanowski, **„Żółte firanki”**

ORZEŁ BIAŁY

52 Tomasz Zawistowski, **Orzeł ochotników z USA i Kanady do Armii Polskiej we Francji**

Z BRONIĄ W RĘKĘ

56 Michał Mackiewicz, **Bagnet na broń!**

EDUKACJA HISTORYCZNA

59 Kamila Sachnowska, **Subiektywnie o 13 grudnia**

61 Sergiusz Kazimierczuk, **Wołyń – wyprawa na skrwawione ziemie**

65 Karol Madaj, **Jak wykraść tajemnice rakiety V-2**

HISTORIA W KINIE

67 Jan Olszek, **Zmarnowana szansa**

69 Grzegorz Wołk, **Zbrodnia bez kary**

71 RECENZJE**73 BIBLIOTEKA IPN**

Szanowni Czytelnicy!

Rok z czwórką na końcu oznacza wiele rocznic ważnych dla najnowszej historii Polski. Przede wszystkim tych związanych z wydarzeniami sprzed siedemdziesięciu lat. Artykułem Marka Gałęzowskiego otwieramy w „Pamięci.pl” cykl tekstów poświęconych największej i jednocześnie budzącej szczególnie gorące spory operacji militarnej polskiego podziemia – akcji „Burza”. Zakrojona na ogromną skalę, wymagała nie tylko sprawnej organizacji i perfekcyjnego wycucia czasu (w sportowej nowomowie określa się to mianem „tajmingu”). Wymagała także sprzyjających uwarunkowań politycznych – a tych, jak wiadomo, w 1944 roku nie było. Czy zatem były wystarczające przesłanki do tego, by „Burzę” rozpocząć? Do numeru dołączyliśmy kolejną broszurę akcji „Patroni naszych ulic” poświęconą generałowi Kazimierzowi Sosnkowskiemu – jednemu z krytyków akcji „Burza”.

Z kolei osiemdziesiąt lat temu, 26 stycznia 1934 roku, Polska i Niemcy podpisały deklarację o niestosowaniu przemocy. Rzeczpospolita była wtedy – jeszcze – silniejszą stroną w tej dyplomatycznej rozgrywce, a sama umowa stanowiła element politycznej strategii Józefa Piłsudskiego, obrazowo opisanej jako „siedzenie na dwóch stołkach”. Jakie znaczenie miała deklaracja i dlaczego nie zapobiegła wojnie – pisze Marcin Przegiętka.

Czasy konspiracji Polacy musieli sobie przypomnieć też w latach osiemdziesiątych, kiedy to władza rozpoczęła otwartą wojnę z własnymi obywatela-

mi, ogłaszając stan wojenny. Wprawdzie i wcześniej różnorakie działania opozycji miały charakter niejawni, jednak po 13 grudnia 1981 roku porównanie atmosfery z czasami okupacji niemieckiej czy radzieckiej stało się nad wyraz uzasadnione. Nielegalna bibuła, pseudonimy, lewe papiery, hasła, kurierzy i skrzynki kontaktowe. Wszystkie te konspiracyjne rekwizyty powróciły do użytku. Dla starszych był to powrót do przeszłości, dla młodszych nowa fascynująca rzeczywistość. Jak Polacy odrobili lekcję konspiracji – w artykule Jana Olszka. Zachowanie reguł pracy w podziemiu było tym ważniejsze, że – co oczywiste – w razie wpadki nie można było liczyć „ludowego” wymiaru sprawiedliwości nie można było liczyć. Trawestując klasyka: sąd sądem, a sprawiedliwość była po stronie władzy. Tomasz Kozłowski w swoim artykule przypomina jednak, że mimo dbałości, z jaką władza komunistyczna dobierała kadry, zdarzały się czarne – z punktu widzenia interesów partyjnych dyktatorów – owce. Na dodatek Solidarność wystąpiła z postulatami powołania związków zawodowych i reformy sądownictwa (co zostało przez ministra sprawiedliwości nazwane – cóż za przewrotność – zamachem na niezawisłość sędziów...). Partyjne sieci opłatały nie tylko tak ważne dziedziny jak sądownictwo, sięgały wszelkich dziedzin życia. Grzegorz Wołk przywołuje historię transferu piłkarza Romana Koseckiego z jednego resortowego klubu do drużyny należącej do innego resortu, jako *exemplum* mechanizmów (napędzanych przez partyjno-polityczne tryby) rządzących sportem w PRL. W numerze także swego rodzaju nawiązanie do żywo komentowanego obecnie w mediach tematu: Natalia Jarska rozmawia z prof. Andrea Pető, wykładowczynią *gender studies*, o roli kobiet w historii, potrzebie pisania historii kobiet i różnicach między historią w perspektywie *gender* a historią kobiet. Spodziewamy się polemiki z punktem widzenia węgierskiej profesor.

Redaktor naczelny
Andrzej Brzozowski



pamięć.pl

Wydawca:
Instytut Pamięi Narodowej
– Komisja Ścigania Zbrodni
przeciwko Narodowi Polskiemu

Rada Programowa:
dr hab. Robert Klementowski,
dr Adam Dziurok, dr Krzysztof Kaczmarski,
dr Maciej Korkuć, dr Tomasz Łabuszewski,
dr Agnieszka Łuczak, dr Karol Nawrocki,
dr Sławomir Poleszak, dr Paweł Skubisz,
dr Waldemar Wilczewski,
dr Andrzej Zawistowski (przewodniczący),
dr Joanna Żelazko

Rada Redakcyjna: Dawid Golik,
Krzysztof Gottesman, Agnieszka Jaczyńska,
dr Andrzej Krajewski, Jan Olszek,
Kamila Sachnowska, dr Paweł Sasanka,
dr Magdalena Semczyszyn,
Emilia Świętochowska, dr Daniel Wicenty

Redakcja:
Andrzej Brzozowski
(redaktor naczelny, tel. 22 431 83 56;
e-mail: andrzej.brzozowski@ipn.gov.pl)

Maciej Foks, Filip Gańczak, Jakub Gołębiowski,
Andrzej Sujka, Karolina Wichowska

Sekretariat: Maria Wiśniewska
tel. 22 431-83-47, faks 22 431 83 11

Korekta: dr Magdalena Baj

Projekt graficzny: Krzysztof Findziński,
Marcin Koc, Sylwia Szafrąńska

Redakcja techniczna: Andrzej Broniak

Skład i łamanie: Sylwia Szafrąńska

Siedziba redakcji: ul. Hrubieszowska 6a,
Warszawa

Adres do korespondencji:
ul. Wołoska 7, 02-675 Warszawa
www.ipn.gov.pl

Druk: LEGRA sp. z o.o.
ul. Albatrosów 10c, 30-716 Kraków

Redakcja nie zwraca materiałów
niezamówionych i zastrzega sobie prawo
dokonywania zmian w nadesłanych tekstach.

W NASTĘPNYM NUMERZE MIĘDZY INNYMI:

Zaczęło się na Wołyniu

Na początku stycznia 1944 roku żołnierze Armii Czerwonej, naciskając na wycofujących się Niemców, przekroczyli przedwojenne granice Rzeczypospolitej. Zgodnie z założeniami planu „Burza”, lokalne jednostki Armii Krajowej przystąpiły do działania. Jednym z najważniejszych posunięć dowództwa AK było utworzenie, a właściwie odtworzenie, 27. Dywizji Piechoty. O drodze bojowej 27. DP AK i doświadczeniach pierwszego etapu „Burzy” pisze Przemysław Wywiół.

BURZA
OPOLSKIE
BITWA 44

■ Sejm przyjął poprawkę do budżetu IPN, która gwarantuje 1 mln zł na badania genetyczne szczątków ofiar totalitaryzmów. Dzięki temu

możliwe będą dalsze **identyfikacje ofiar komunistycznego terroru**, których szczątki udało się odnaleźć w wyniku prac ekshumacyjnych prowadzonych od lata 2012 roku w kwaterze „L” Cmentarza Wojskowego na Powązkach w Warszawie. – Jesteśmy zadowoleni, o to chodziło. Kwestia, która jest tak ważna, a która do tej pory nie była uregulowana w żaden sposób, znalazła swój finał. Miejmy nadzieję, że na długo – skomentował Andrzej Arseniuk, rzecznik prasowy IPN.

Jednoznaczna identyfikacja szczątków odnajdywanych na Powązkach jest możliwa dzięki

badaniom DNA. Te zaś prowadzone są w ramach Polskiej Bazy Genetycznej Ofiar Totalitaryzmów, powstałej na podstawie umowy między Instytutem Pamięci Narodowej a Pomorskim Uniwersytetem Medycznym (PUM) w Szczecinie. Do tej pory udało się zidentyfikować szczątki szesnastu osób, które w okresie stalinowskim zostały stracone w więzieniu na Mokotowie i pochowane w bezimiennych mogiłach. W najbliższych miesiącach na Powązkach ma się odbyć kolejny etap ekshumacji.

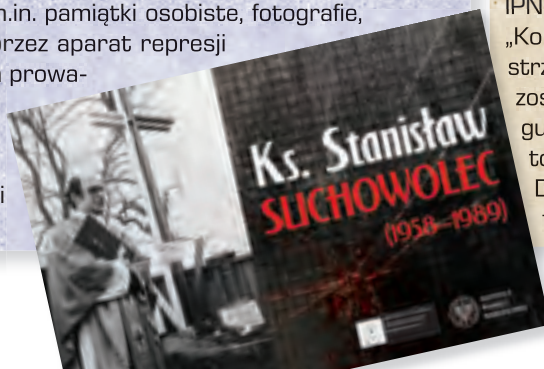
W listopadzie ubiegłego roku, na mocy zarządzenia Prezesa Rady Ministrów, dla PUM wygospodarowano 800 tys. zł – z przeznaczeniem na urządzenie do badań genetycznych. – Posiadając te fundusze, mamy finansowanie na bardzo dobrym poziomie, które zapewni nam normalną pracę. Nie będziemy musieli już o nic się martwić – ocenia dr Andrzej Ossowski, genetyk z Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego.

Projekt naukowo-badawczy „Poszukiwania nieznanych miejsc pochówku ofiar terroru komunistycznego z lat 1944–1956” jest realizowany przez IPN, Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa oraz Ministerstwo Sprawiedliwości przy współpracy z Instytutem Ekspertyz Sądowych. Pracami kieruje dr hab. Krzysztof Szwaagrzyk.

■ Od 29 stycznia do końca lutego w Archiwum i Muzeum Archidiecezjalnym w **Białymstoku** (ul. Warszawska 48) będzie prezentowana biograficzna **wystawa „Ks. Stanisław Suchowolec (1958–1989)”**, przygotowana wspólnie z miejscowym Oddziałem IPN.

Ks. Suchowolec był kapłanem NSZZ „Solidarność” i Konfederacji Polski Niepodległej. 30 stycznia 1989 roku jego ciało znaleziono w mieszkaniu na plebanii. Podejrzania padły na Służbę Bezpieczeństwa, ale sprawy do dziś nie udało się wyjaśnić. Obecnie przyjmuje się, że do tragedii doszło wskutek podpalenia mieszkania, a nie niesprawności pieca.

Na wystawie zobaczymy m.in. pamiątki osobiste, fotografie, dokumenty wytworzone przez aparat represji oraz materiały ze śledztwa prowadzonego po śmierci księdza. Ekspozycję wzbogacają pokaz slajdów oraz fragmenty nagrań homilii ks. Suchowolca.



■ Do 6 lutego w Oddziale IPN w **Łodzi** (ul. Orzeszkowej 31/35) można oglądać **wystawę „Służby specjalne Rzeczypospolitej 1918–1939. Blaski i cienie”**.

Ekspozycja ukazuje m.in., jak przed wojną łamano bolszewickie szyfry, na czym polegały sowiecka prowokacja „Trust” i akcja „Ciotka/Wózek”, wreszcie – co stało się z archiwami „dwójki”, czyli wojskowych służb specjalnych II RP, po niemieckiej napaści na Polskę w 1939 roku.

Wystawa została przygotowana w Centralnym Ośrodku Szkolenia Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego w Emowie, przy współpracy Instytutu Pamięci Narodowej. Prezentuje materiały archiwalne ze zbiorów ABW, Biblioteki Narodowej, Centralnego Archiwum Wojskowego, IPN, Muzeum Wojska Polskiego, Narodowego Archiwum Cyfrowego oraz Wyższej Szkoły Policji.



■ Trwa **konkurs na dziennik, pamiętnik lub wspomnienia dotyczące lat II wojny światowej (1939–1945)**. Celem konkursu jest utrwalenie

pamięci o losach Polski i Polaków w okresie wojny i okupacji. Zgłaszane prace mogą mieć formę rękopisu lub maszynopisu (tradycyjnego bądź komputerowego). Muszą być dziełami indywidualnymi, nigdy niepublikowanymi w całości. Można również nadsyłać – znajdujące się w zbiorach prywatnych i rodzinnych – prace, których autorzy nie mieli szansy opublikować za życia. Zgłoszenia należy kierować



do 14 lutego na adres: Biuro Edukacji Publicznej IPN, ul. Wołoska 7, 02-675 Warszawa z dopiskiem „Konkurs na wspomnienia drugowojenne”. Rozstrzygnięcie nastąpi w kwietniu. Nagrodzone prace zostaną opublikowane przez IPN. Szczegółowy regulamin konkursu znajduje się na stronie internetowej <http://ipn.gov.pl/konkursy-i-nagrody/konk>. Dodatkowych informacji udziela Tomasz Sudol: tomasz.sudol@ipn.gov.pl, tel. (22) 431-83-08.

POSTAĆ MIESIĄCA

7 stycznia 1949: Podczas śledztwa prowadzonego przez komunistyczną bezpiekę zmarł por. Jan Rodowicz „Anoda”, uczestnik Akcji pod Arsenalem i Powstania Warszawskiego.

Był synem Kazimierza Rodowicza, profesora Politechniki Warszawskiej, i Zofii, siostry gen. Władysława Bortnowskiego. Wiosną 1939 roku zdał tzw. małą maturę w prestiżowym stołecznym gimnazjum im. Stefana Batorego. Pod okupacją niemiecką kontynuował naukę na tajnych kompletach. Zaangażował się też w działalność Szarych Szeregów, czyli konspiracyjnego harcerstwa. Początkowo brał udział w akcjach tzw. małego sabotażu, takich jak malowanie antyhitlerowskich napisów na murach. Później uczestniczył w licznych akcjach dywersyjnych i bojowych Hufca Centrum Grup Szturmowych Szarych Szeregów. W marcu 1943 roku dowodził sekcją „Butelka” w czasie głośnej Akcji pod Arsenalem, w wyniku której odbito z rąk gestapo grupę więźniów, w tym Jana Bytnara „Rudego”. W maju tego samego roku pod Celestynowem wziął udział w udanej akcji odbicia więźniów transportowanych do niemieckiego obozu Auschwitz. Podczas Powstania Warszawskiego walczył w szeregach harcerskiego Batalionu „Zośka”. Został odznaczony Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari. Ciężko ranny, leczył się przez kilka miesięcy. Po zajęciu Polski przez Armię Czerwoną był dowódcą oddziału dyspozycyjnego szefa Obszaru Centralnego Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj. Gdy latem 1945 roku DSZ została rozwiązana, zaprzestął działalności konspiracyjnej i podjął studia na Politechnice Warszawskiej. Mimo to w grudniu 1948 roku został aresztowany i poddany brutalnemu śledztwu. Zginął w niejasnych okolicznościach. Oficjalna wersja głosiła, że wyskoczył z IV piętra budynku Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego przy ul. Koszykowej w Warszawie. Możliwe jednak, że został wypchnięty z okna lub – jak sugerują inne relacje – zakatowany w trakcie śledztwa.

W 2008 roku Jan Rodowicz został pośmiertnie odznaczony przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski. ■



Fot. AIPN

▶ Porucznik Jan Rodowicz (1923–1949)

2 stycznia 1939: W Drozdowie pod Łomżą zmarł Roman Dmowski, współtwórca i główny ideolog polskiego obozu narodowego.

Pochodził z ubogiej rodziny drobnoszlacheckiej. Był doktorem nauk przyrodniczych. W 1893 roku stanął na czele Ligi Narodowej. Za największe zagrożenie dla Polaków uważał Niemcy. W okresie zaborów liczył na zjednoczenie wszystkich ziem polskich przez Rosję, mając nadzieję, że będzie to pierwszy krok na drodze do suwerenności. W trakcie I wojny światowej wyjechał na Zachód i tam prowadził akcję dyplomatyczną na rzecz pełnej niepodległości Polski. Kierowany przez niego Komitet Narodowy Polski został uznany przez państwa ententy za oficjalne przedstawicielstwo narodu polskiego. Dmowski przyczynił się też do powołania w 1917 roku Armii Polskiej we Francji, która odegrała później istotną rolę w walkach o niepodległość i granice odradzającej się Rzeczypospolitej. W 1919 roku został delegatem RP na konferencję pokojową



Fot. AIPN

▶ Roman Dmowski (1864–1939)

w Paryżu. Wspólnie z Ignacym Paderewskim podpisał traktat wersalski, przywracający Polskę na mapę Europy oraz pie-

czętujący powrót do Polski Wielkopolski i Pomorza Gdańskiego. W najtrudniejszym okresie wojny z bolszewikami Dmowski wszedł w skład Rady Obrony Państwa – mimo sporu politycznego, który toczył od lat z jej przewodniczącym Józefem Piłsudskim. W roku 1923 lider narodowców pełnił przez krótki czas funkcję ministra spraw zagranicznych. Po zamachu majowym Piłsudskiego (1926) nie miał już szans na piastowanie stanowisk rządowych. Długo jednak pozostawał aktywny politycznie, powołując Obóz Wielkiej Polski. Zajmował się też pisarstwem i pozostawił po sobie liczne książki.

Roman Dmowski do dziś budzi kontrowersje. Krytycy wypominają mu przede wszystkim antysemityzm i dążenie do polonizacji Kresów. Po stronie osiągnięć Dmowskiego wymienia się zwłaszcza jego wielki wkład w odbudowę niepodległej Polski. Uchwała sejmu, przyjęta w 1999 roku z okazji sześćdziesiątej rocznicy śmierci tego polityka, stwierdza, że „dobrze przysłużył się Ojczyźnie”. ■

9 stycznia 1944: Na ziemiach okupowanych przez Niemcy powstała Rada Jedności Narodowej – parlament Polskiego Państwa Podziemnego.

W RJN znalazło się po trzech przedstawicieli tzw. grubej czwórki, czyli najważniejszych polskich ugrupowań politycznych działających w konspiracji: Polskiej Partii Socjalistycznej, Stronnictwa Ludowego, Stronnictwa Narodowego i Stronnictwa Pracy. Duchowieństwo katolickie reprezentował ks. Tadeusz Jachimowski. Dodatkowo latem 1944 roku po jednym miejscu w Radzie uzyskały mniejsze organizacje: „Ojczyzna”, „Raclawice” i Zjednoczenie Demokratyczne.

Rada Jedności Narodowej była organem doradczym Delegata Rządu RP na Kraj, działającego w imieniu emigracyjnych władz w Londynie. Jednocześnie miała stanowić przeciwwagę dla Krajowej Rady Narodowej – powołanej w noc sylwestrową 1943/1944 roku i zdominowanej przez komunistów. 15 marca 1944 roku RJN ogłosiła obszerną deklarację „O co walczy Naród Polski” – program demokratyzacji i reform społecznych w powojennej Polsce. Domagano się w nim także utrzymania przedwojennej granicy z ZSRR oraz przyznania odrodzonej Rzeczypospolitej – kosztem Niemiec – dodatkowych terenów na północy i zachodzie. Program ten nie doznał realizacji. RJN nie była uznawana przez Związek Radziecki. Z jej opinii nie liczyli się też zachodni alianti, co w lutym 1945 roku dobitnie pokazała konferencja jałtańska. W marcu 1945 roku część członków RJN – w tym jej przewodniczący Kazimierz Pużak (PPS) – została aresztowana przez sowiecki NKWD i trzy miesiące później bezprawnie osądzona w procesie szesnastu w Moskwie. Rada Jedności Narodowej rozwiązała się 1 lipca 1945 roku. ■



Fot. NAC

► Kazimierz Pużak

26 stycznia 1919: Odbyły się wybory do Sejmu Ustawodawczego.

Były to pierwsze powszechne wybory parlamentarne na ziemiach polskich. Głosować i kandydować mogły także kobiety, co w tamtym czasie wciąż było w Europie rzadkością. W wyznaczonym terminie nie udało się jednak przeprowadzić wyborów na terenie całego kraju – m.in. ze względu na trwające w tym czasie Powstanie Wielkopolskie i walki z Ukraińcami w Galicji Wschodniej. Początkowo do urn poszli tylko mieszkańcy części Królestwa Polskiego i Galicji. Postanowiono więc, że do sejmu zostaną dokooptowani polscy posłowie, którzy dotychczas zasiadali w parlamentach Niemiec i Austro-Węgier. Z czasem głosowanie organizowano na kolejnych terenach, np. w czerwcu 1919 roku – w Wielkopolsce, a w maju następnego roku – na Pomorzu. W marcu 1922 roku w skład Sejmu Ustawodawczego przyjęto posłów Sejmu Wileńskiego. Najwięcej mandatów w Sejmie Ustawodawczym uzyskały stronnictwa narodowe i ludowe. Marszałkiem izby został Wojciech Trąmpczyński z Wielkopolski. Profesor Dorota Malec, znawczyni historii prawa okresu II RP, podkreśla, że sejm ten, uchwalając chociażby demokratyczną konstytucję marcową (1921), „odegrał istotną rolę w budowaniu ustroju niepodległej Rzeczypospolitej. Miał [też] wielkie znaczenie symboliczne, jako wyraźny znak odrodzonego po okresie niewoli państwa polskiego”. ■



Fot. East News

► Otwarcie pierwszego Sejmu II RP, 1919 rok

28–30 stycznia 1989: W Moskwie odbyła się formalna konferencja założycielska Stowarzyszenia Memorial. Jego pierwszym prezesem został Andriej Sacharow.

Polityczna odwilż epoki Michaiła Gorbaczowa sprawiła, że w Związku Radzieckim zaczęto dość otwarcie rozmawiać o historii najnowszej. Tak narodził się ruch, którego głównym zadaniem było początkowo upamiętnienie ofiar komunistycznych represji. W 1991 roku z inicjatywy Memorialu w Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republice Radzieckiej została uchwalona ustawa o rehabilitacji ofiar represji politycznych, a 30 października ustanowiono Dniem Pamięci Ofiar Represji Politycznych.

Dziś Stowarzyszenie skupia wokół siebie kilkadziesiąt niezależnych organizacji w różnych krajach. Zajmuje się m.in. badaniami nad historią najnowszą, propagowaniem wiedzy o zbrodniach stalinowskich, a także ochroną praw człowieka w krajach byłego ZSRR. Od 1992 roku w ramach Memorialu działa Komisja Polska. Prowadzi badania nad polskimi ofiarami represji sowieckich, w szczególności nad zbrodnią katyńską. Memorial współpracował z Ośrodkiem KARTA przy opracowaniu Indeksu Represjonowanych – imiennej dokumentacji losów obywateli polskich represjonowanych przez organa władzy sowieckiej w latach 1939–1956. Dzięki Stowarzyszeniu Polacy uzyskali dostęp do wielu dokumentów z archiwów byłego ZSRR, choćby dotyczących tzw. obławy augustowskiej z 1945 roku. W 2012 roku Memorial otrzymał przyznaną przez IPN nagrodę Kustosza Pamięci Narodowej. ■



Fot. E. Ciołek

20/21 stycznia 1989:

W Warszawie został zamordowany ks. Stefan Niedziela, kapelan rodzin katyńskich.

W czasie okupacji współpracował z Delegaturą Rządu na Kraj. W Powstaniu Warszawskim służył jako kapelan Armii Krajowej. Krótko po wojnie był związany z niepodległościowym Zrzeszeniem „Wolność i Niezawisłość”. Przez wiele lat pracował w stołecznym kościele św. Karola Boromeusza – najpierw jako rektor, a następnie proboszcz. Dał się poznać jako autor patriotycznych kazań.

► Ksiądz Stefan Niedziela (1914–1989)

Wspierał weteranów AK, repatriantów, a później także Solidarność. Zabiegał o ujawnienie prawdy o Katyniu i godne upamiętnienie ofiar tej zbrodni. Był zastraszany – otrzymywał telefony i anonimy z pogrózkami. Po jego śmierci pojawiły się przypuszczenia, że został zamordowany przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa. Podejrzenia wzmożyły się, gdy półtora tygodnia później na plebanii w Białymstoku znaleziono zwłoki ks. Stanisława Suchowolca – innego kapłana, który naraził się władzom PRL. Obu spraw do dziś nie udało się wyjaśnić. Śledztwo w sprawie śmierci ks. Niedziela umorzono w 1990 roku, a z akt w nieustalonym momencie zniknęły najważniejsze dowody.

W 2008 roku ks. Stefan Niedziela został pośmiertnie odznaczony przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski. ■



NA STRZELCA ZAWSZE MOŻNA LICZYĆ

(Wywiad z F. Generalem Berbeckim).

General Dywizji, Leon Berbecki, oficer dowodzący 3 pułkiem piechoty Legjonów „Zachodnia” – bohater obrony Belży, wstąpił w szeregi polsko-bolszewicki dowódca 2 Dy-

wizji w latach 1919-20, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej, oficer dowodzący 3 pułkiem piechoty Legjonów „Zachodnia” – bohater obrony Belży, wstąpił w szeregi polsko-bolszewicki dowódca 2 Dy-

wizji w latach 1919-20, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej, oficer dowodzący 3 pułkiem piechoty Legjonów „Zachodnia” – bohater obrony Belży, wstąpił w szeregi polsko-bolszewicki dowódca 2 Dy-

wizji w latach 1919-20, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej, oficer dowodzący 3 pułkiem piechoty Legjonów „Zachodnia” – bohater obrony Belży, wstąpił w szeregi polsko-bolszewicki dowódca 2 Dy-

wizji w latach 1919-20, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej, oficer dowodzący 3 pułkiem piechoty Legjonów „Zachodnia” – bohater obrony Belży, wstąpił w szeregi polsko-bolszewicki dowódca 2 Dy-

wizji w latach 1919-20, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej, oficer dowodzący 3 pułkiem piechoty Legjonów „Zachodnia” – bohater obrony Belży, wstąpił w szeregi polsko-bolszewicki dowódca 2 Dy-

wizji w latach 1919-20, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej, oficer dowodzący 3 pułkiem piechoty Legjonów „Zachodnia” – bohater obrony Belży, wstąpił w szeregi polsko-bolszewicki dowódca 2 Dy-

wizji w latach 1919-20, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej, oficer dowodzący 3 pułkiem piechoty Legjonów „Zachodnia” – bohater obrony Belży, wstąpił w szeregi polsko-bolszewicki dowódca 2 Dy-

wizji w latach 1919-20, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej, oficer dowodzący 3 pułkiem piechoty Legjonów „Zachodnia” – bohater obrony Belży, wstąpił w szeregi polsko-bolszewicki dowódca 2 Dy-

wizji w latach 1919-20, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej, oficer dowodzący 3 pułkiem piechoty Legjonów „Zachodnia” – bohater obrony Belży, wstąpił w szeregi polsko-bolszewicki dowódca 2 Dy-

wizji w latach 1919-20, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej, oficer dowodzący 3 pułkiem piechoty Legjonów „Zachodnia” – bohater obrony Belży, wstąpił w szeregi polsko-bolszewicki dowódca 2 Dy-

wizji w latach 1919-20, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej, oficer dowodzący 3 pułkiem piechoty Legjonów „Zachodnia” – bohater obrony Belży, wstąpił w szeregi polsko-bolszewicki dowódca 2 Dy-

wizji w latach 1919-20, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej, oficer dowodzący 3 pułkiem piechoty Legjonów „Zachodnia” – bohater obrony Belży, wstąpił w szeregi polsko-bolszewicki dowódca 2 Dy-

wizji w latach 1919-20, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej, oficer dowodzący 3 pułkiem piechoty Legjonów „Zachodnia” – bohater obrony Belży, wstąpił w szeregi polsko-bolszewicki dowódca 2 Dy-

wizji w latach 1919-20, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej, oficer dowodzący 3 pułkiem piechoty Legjonów „Zachodnia” – bohater obrony Belży, wstąpił w szeregi polsko-bolszewicki dowódca 2 Dy-

wizji w latach 1919-20, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej, oficer dowodzący 3 pułkiem piechoty Legjonów „Zachodnia” – bohater obrony Belży, wstąpił w szeregi polsko-bolszewicki dowódca 2 Dy-

wizji w latach 1919-20, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej, oficer dowodzący 3 pułkiem piechoty Legjonów „Zachodnia” – bohater obrony Belży, wstąpił w szeregi polsko-bolszewicki dowódca 2 Dy-

wizji w latach 1919-20, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej, oficer dowodzący 3 pułkiem piechoty Legjonów „Zachodnia” – bohater obrony Belży, wstąpił w szeregi polsko-bolszewicki dowódca 2 Dy-

wizji w latach 1919-20, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej, oficer dowodzący 3 pułkiem piechoty Legjonów „Zachodnia” – bohater obrony Belży, wstąpił w szeregi polsko-bolszewicki dowódca 2 Dy-

wizji w latach 1919-20, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej, oficer dowodzący 3 pułkiem piechoty Legjonów „Zachodnia” – bohater obrony Belży, wstąpił w szeregi polsko-bolszewicki dowódca 2 Dy-

wizji w latach 1919-20, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej, oficer dowodzący 3 pułkiem piechoty Legjonów „Zachodnia” – bohater obrony Belży, wstąpił w szeregi polsko-bolszewicki dowódca 2 Dy-

wizji w latach 1919-20, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej, oficer dowodzący 3 pułkiem piechoty Legjonów „Zachodnia” – bohater obrony Belży, wstąpił w szeregi polsko-bolszewicki dowódca 2 Dy-

28 stycznia 1934 roku

Tygodnik „Strzelec”, czasopismo Związku Strzeleckiego, w numerze 4 z 28 stycznia 1934 roku zamieścił wywiad z gen. Leonem Berbeckim, opatrzony tytułem *Na strzelca zawsze można liczyć*. General Berbecki, wówczas inspektor armii, wstąpił się m.in. obroną Belży podczas walk z Ukraińcami w pierwszych miesiącach 1919 roku. W rozmowie stwierdził: „Uważam Związek Strzelecki za jedyną stuprocentową organizację społeczną obrony narodowej. Przede wszystkim więc Związek jest organizacją masową, powszechną i pod względem siły liczebnej bezkonkurencyjną. W założeniach swej pracy Związek Strzelecki posiada trzy zasadnicze elementy, stanowiące o wartości żołnierskiej jego członków: miłość Ojczyzny, kult Wodza oraz poczucie honoru i własnej godności strzeleckiej. [...] Dzięki tym trzem naczelnym elementom tak silnie rozwinęły się w działalności Związku Strzeleckiego, nie obawiam się powiedzieć, że na strzelca zawsze można liczyć z równą pewnością, jak na żołnierza armii regularnej, który idzie na pole walki z tą bohaterką, całkowitą gotowością oddania swego życia dla dobra Ojczyzny na rozkaz Wodza”. Obok zasad ideowych generał wymienił także trzy istotne składniki techniczne przysposobienia wojskowego członków związku: umiejętność strzelania i dokładną znajomość broni, znajomość terenu oraz łączność. „Sądzę, że te trzy naczelne założenia w pracy wyszkolenia techniczno-wojskowego oparte na tych wysokowartościowych podstawach ideowych i wychowawczych, jakie reprezentuje Związek Strzelecki, potwierdzą na polu przyszłej praktyki znakomicie tę doniosłą jego rolę, jaką w życiu społecznym i państwowym dziś spełnia” – podsumował swoją wypowiedź Berbecki. Podkreślił także, że propagowane przez związek strzelectwo „słusznie nosi nazwę sportu obrony narodowej”.



31 stycznia 1945 roku

28 stycznia 1945 roku we wsi Radogoszcz (obecnie łódzkie osiedle) została odprawiona uroczysta msza św. w intencji 1500 mężczyzn z Rozszerzonego Więzienia Policyjnego, których wycofujący się w pośpiechu Niemcy zamordowali w nocy z 17 na 18 stycznia, na kilka godzin przed wkroczeniem na te tereny Armii Czerwonej i Wojska Polskiego. W numerze 6 z 31 stycznia 1945 roku „Wolna Łódź” zamieściła szczegółową relację z przebiegu nabożeństwa, odprawionego przed murami zniszczonej fabryki włókienniczej Samuela Abbego, w której od 1940 roku mieściło się więzienie. Mszę celebrował ks. Józef Orłowski z parafii Przemienienia Pańskiego w Łodzi, który w kazaniu powiedział: „Zawdzięczając szlachetnej inicjatywie przedstawiciela Tymczasowego Rządu Rzeczypospolitej Polskiej p. pułk. [Ignacego] Logi-Sowińskiego, możemy dziś pomodlić się za dusze naszych rodaków pomordowanych tak bestialsko przez katów niemieckich, tu na Radogoszczu, skąd tyle jęków, bólu i cierpień rozlegało się przez długich pięć i pół lat. [...] Ten ból scementuje wszystkie warstwy naszego narodu, nie pozwoli mówić my stąd, a wy stąd, bo wszyscy jesteśmy dziećmi jednej Matki Ojczyzny, wszyscy pragniemy pracować na chwałę Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej. Dlatego powinniśmy się skupić wokół Krajowej Rady Narodowej, Tymczasowego Rządu Rzeczypospolitej Polskiej i Wojska Polskiego”. Warto zwrócić uwagę na podkreślone przez księdza zaangażowanie w przeprowadzenie uroczystości religijnej ppłk. Logi-Sowińskiego – działacza komunistycznego i agenta sowieckiego wywiadu. W dalszej części mszy głos zabrali inni przedstawiciele Rządu Tymczasowego oraz wojska. „Po zakończeniu uroczystości miało miejsce charakterystyczne zajęcie. Zebrani rozpoznali w tłumie Niemca [tuż po wojnie w Polsce słowa: „Niemiec”, „Niemcy” zawsze pisano małą literą – przyp. M.Ż.], który rzekomo miał brać udział w zbrodniach Radogoszcza. Ludzie usiłowali dokonać samosądu. Przedstawiciele władz nie dopuścili do tego, wyjaśniając, że sąd po przeprowadzeniu śledztwa wymierzy zasłużoną karę zbrodniarzowi” – donosiła na zakończenie „Wolna Łódź”. Odpowiedzialność za zbrodnię radogoszczką poniosło zaledwie kilkanaście osób z liczącej blisko osiemdziesięciu członków załogi więzienia. Pogrzeb ofiar odbył się pod koniec lutego 1945 roku na pobliskim cmentarzu pw. św. Rocha. Obecnie na terenie spalonej fabryki mieści się mauzoleum.

DZIENNIK BAŁTYCKI

Wielka konferencja duchow...

Pierwszy bar mleczny w Oliwie

27 stycznia 1950 roku

To było jedno z ważniejszych wydarzeń w powojennych dziejach Oliwy. Przynajmniej tak to widziała redakcja „Dziennika Bałtyckiego”, która w numerze 27 z 27 stycznia 1950 roku zamieściła relację z otwarcia pierwszego w tej dzielnicy Gdańska... baru mlecznego. Na uroczystości pojawili się nie tylko naczelnik Wojewódzkiego Wydziału Przemysłu, wojewódzki inspektor mleczarstwa czy też delegat Centralnej Spółdzielni Mleczarsko-Jajczarskiej w Warszawie, lecz także przedstawiciele władz miasta, partii, milicji i prasy. „Nowo otwarty bar mleczny zasługuje na uwagę nie tylko ze względu na swój doskonały wygląd [...], ale i z innych względów”. Jakich? Bar został zlokalizowany w bardzo dobrym punkcie Oliwy, niedaleko stacji kolejowej, przystanków autobusowych oraz gimnazjum, co miało gwarantować „znaczną frekwencję”, na którą liczyli kierownik i „czterooosobowy zespół młodych i na pewno dzielnych ekspedientek”. „O tym, że rachuby na frekwencję nie są bezpodstawne, świadczy napływ konsumentów już w pierwszych godzinach po otwarciu baru. Między klientami widzimy kilku uczniów z V Ogólnokształcącego Gimnazjum, starszą panią – emerytkę, pracownice sklepowe, które, korzystając z przerwy obiadowej, wpadły tu na gorący posiłek, robotników zatrudnionych przy pobliskiej budowie” – wyliczał jednym tchem autor tekstu. A co oferował bar? Mleko, zsiadłe mleko, mleko kakaowe, kefir, bułkę, bułkę z masłem, a nawet bułkę z masłem i serem. Według zapewnień „Dziennika”, bar miał przynosić same korzyści, zwalniał bowiem okolicznych pracowników z konieczności „taskania” ze sobą blaszank z wystygłą kawą”. Zwracano też uwagę na ceny przyjazne portwelowi: „Jacyś przyjezdni państwo z ciężkimi walizkami w rękach z zadowoleniem zajmują miejsca na wysokich stołkach, zamawiając gorące kakao – uniknęli poważnego wydatku, jaki pociągnęłoby za sobą normalne »śniadanko« w restauracji”.

wolny STRZELEC

15 stycznia 1987 roku

„Doświadczenia ostatnich lat niezbiecie dowiodły, że wszelkie dążenia do poprawy warunków naszej społecznej egzystencji muszą być ściśle związane z dążeniem do odzyskania przez Polskę pełnej wolności i niepodległości” – pisał „Wolny Strzelec” w numerze 1 z 15 stycznia 1987 roku. Związane z Solidarnością Walczącą podziemne pismo wzywało, by walczyć z reżimem komunistycznym, „nie wyrzekając się żadnego z możliwych do zastosowania środków walki”. Autorowi tekstu przyświecały ideały Józefa Piłsudskiego, by „idea wspólnej walki o własne, niepodległe państwo stała się fundamentem współpracy liczących się sił politycznych polskiego społeczeństwa, by obok słowa »niepodległość« znalazło się znane na całym świecie słowo »solidarność«”. „Wolny Strzelec” podkreślał szczególną rolę Polski w walce z systemem narzuconym przez Sowieców wielu europejskim narodom: „Fakt, iż jesteśmy społeczeństwem najbardziej zaawansowanym w rozkładzie komunizmu, zobowiązuje nas do roli moralnego przewodnika narodów, będących pod faktyczną okupacją sowiecką. Musimy wspierać i inspirować ruchy niepodległościowe zarówno w »demoludach«, jak i wśród narodów znajdujących się obecnie w granicach ZSRR”. I dalej: „Siła Polski i jej znaczenie wśród części składowych państwa rosyjskiego daje nam śmiałość stawiania sobie celu: polityczne rozbitcie państwa rosyjskiego na główne części składowe i usamowolnienie przemocą wcielonych w skład imperium Krajów”. „Wolny Strzelec” wzywał: „Nie możemy stawiać się wobec przeciwnika w upokarzającej pozycji poddanego, kupczącego naczelnymi wartościami dla uzyskania pozorów swobody czy materialnej pomyślności. Nie powinniśmy zniżać się do ugłaskiwania przeciwnika zapewnieniami o naszej lojalności wobec »realnego socjalizmu«, lecz powinniśmy ten »realny socjalizm«-komunizm otwarcie zwalczać jako system nieludzki i zbrodniczy”. Źródłem inspiracji w walce z systemem komunistycznym był dla „Wolnego Strzelca” obóz piłsudczykowski i jego przywódca, dla którego czołową dewizą były cztery słowa: niepodległość, demokracja, solidarność i czyn.

dr Mariusz Żuławnik – historyk,
naczelnik Wydziału Informacji i Sprawozdań BUIAD IPN

»Sześciu z Daru Pomorza«
Już jutro na łamach »Dziennika Bałtyckiego«

Ciepła pamięć wielkiej katastrofy

Krzysztof Gottesman

Na początku stycznia minęła kolejna rocznica urodzin Edwarda Gierka. Pamięć o pierwszym sekretarzu KC PZPR z lat siedemdziesiątych XX wieku ciągle u dużej części Polaków wywołuje nostalgię i ciepłe uczucia. Także u niektórych polityków, którzy się do niego odwołują.

Złości mnie współczesny kult Gierka. Te wszystkie szynki nazywane jego imieniem, ronda, których ma być patronem, i inne niezliczone próby jego upamiętnienia. Nie chcę popełnić jednak częstego błędu. Bywa, że nastroje społeczne idą w poprzek lub zgoła przeciw faktom i zdrowemu rozsądkowi. W przeprowadzonych parę lat temu badaniach Polacy uznali lata siedemdziesiąte za czas, w którym żyło się im najlepiej. Ale i dziś większość Polaków dobrze ocenia tamtą dekadę. Na początku zeszłego roku w środowisku SLD zrodził się pomysł, by rok 2013 obwołać Rokiem Edwarda Gierka. Propozycja w końcu upadła, ale dziennik „Rzeczpospolita” opublikował sondaż, z którego wynikało, że blisko połowa Polaków popiera taki pomysł. Przeciw była mniej niż jedna trzecia. Okazuje się, że stanowisko w tej sprawie nie wiąże się z poglądami politycznymi, ale z wiekiem. Wśród ludzi o prawicowych poglądach mających ponad 57 lat – czyli pamiętających czasy Gierka – większość chciała Roku Gierka. Nie obrażam się na te nastroje, trzeba je przyjąć takimi, jakie są, i próbować zrozumieć. A przede wszystkim pokazywać, że to tylko jedna strona medalu. Odwrotna jest zupełnie inna. Więcej, sprawia, że całość jest fałszywa. Nie jest to trud zupełnie daremny. Z tych samych ba-

dań można się mianowicie dowiedzieć, że wśród młodych ludzi mających prawicowe poglądy zwolenników Gierka i jego czasów trzeba ze świecą szukać. Wierzę, że i ci z lewicy dojdą do tych samych wniosków.

Edward Gierek urodził się w Zagłębiu Dąbrowskim w rodzinie górniczej 6 stycznia 1913 roku. Już jako młody chłopak pracował w kopalni, najpierw w Polsce, później w Belgii i we Francji. Tam działał w partiach komunistycznych i tam został po raz pierwszy zauważony przez towarzyszy radzieckich, co później pomogło mu w robieniu kariery w Polsce. Wrócił w 1948 roku i szybko wspinał się po partyjnej drabinie. Komitet wojewódzki, komitet centralny, biuro polityczne, a przede wszystkim rządy na Śląsku wzmacniały jego pozycję. Nie tylko zresztą w aparacie, ale również w szerszych grupach społecznych, nie wyłączając inteligencji. Przywódca partii Władysław Gomułka – powszechnie już niepopularny, a nawet znienawidzony zwłaszcza po Marcu '68 i inwazji na Czechosłowację – tracił zaufanie. O ile w Polsce duże szanse miał Mieczysław Moczar ze swoją grupą głodnych władzy działaczy robiących kariery po Marcu, o tyle w stolicy międzynarodowego proletariatu liczył się przede wszystkim Gierek. Pamiętano mu, że w czasie Października '56 Chruszczow mówił o nim

jako o gwarancie sojuszu i przyjaźni polsko-radzieckiej – obok Rokossowskiego, Józwiaka czy Nowaka. Gierek jako jedyny z sekretarzy wojewódzkich jeździł na urlop na Krym, co było nie tylko wyróżnieniem, ale i sygnałem dobrze rozumianym na najwyższych szczytach partyjnej władzy. W trakcie rewolty na Wybrzeżu w grudniu 1970 roku Gomułka został szybko i sprawnie usunięty. Jego miejsce zajął Gierek. W przemówieniu po objęciu władzy zwrócił się do Polaków per „Rodacy”. Nikt z komunistów tak wcześniej się nie wyrażał.

O rządach Gierka mówi się, że to czas modernizacji Polski. – Wówczas budowano w Polsce fabryki, dzisiaj się je zamyka – przekonują spadkobiercy Gierka z SLD. I tak, i nie. W Polsce rzeczywiście na początku lat siedemdziesiątych nastąpił wzrost inwestycji i poziomu życia. Nigdy przedtem – ani potem również – nie wybudowano tylu mieszkań, i to już bez ślepych kuchni. Polska otworzyła się na świat, ludzie zaczęli wyjeżdżać za granicę, również na Zachód. Chłopom zniesiono obowiązkowe dostawy, podniesiono ceny skupu, objęto ich opieką lekarską.

Listę tę rzeczywiście można by ciągnąć. Wszyscy wiedzą, że cały ten gigantyczny postęp odbywał się na kredyt. Większości to, jak się okazuje, nie przeszkadza. Było przecież tak miło. Gdy się jednak głębiej zastanowić, to wcale tak miło nie było. Ciszej – jeśli w ogóle – mówi się o tym, że te kredyty do dzisiaj odbijają się czkawką polskiej gospodarki. Podobnie mniej chętnie mówi się o uległości wobec Sowietów. Nie chodzi tylko – choć był to krok bardzo ważny i symboliczny – o wpisanie do konstytucji przyjaźni ze Związkiem Radzieckim, lecz także o rozwój przemysłu zbrojeniowego. W latach siedemdziesiątych wydaliśmy na zbrojenia ponad trzydzieści miliardów złotych, pożyczonych zresztą. Wybudowana została szeroko-torowa linia kolejowa z Hrubieszowa do Huty Katowice, tworzone były plany ataku na Zachód.

„Wracaj, Edziu, z nami kwita, lepszy złodziej niż bandyta” – głosiła wieść

gminna po wprowadzeniu przez Jaruzelskiego stanu wojennego. To też nie jest cała prawda. Represje stanu wojennego były rzeczywiście krwawe, ale i Gierek nie był takim „liberałem”, jakim chcieliby go widzieć jego obrońcy. Surowe wyroki na członków „Ruchu” i braci Kowalczyków, zabójstwa Stanisława Pyjasa i ks. Romana Kotlarza, „ścieżki zdrowia” w Ursusie i Radomiu wpisywały się w jego politykę. „Liberalizm” był zaś przede wszystkim wymuszony naciskiem Zachodu, który trzymał worek z pieniędzmi.

Jest jeszcze jedna strona rządów Gierka, o której nie lubi się mówić. To był czas wielkiej demoraliza-

cji społecznej, rozwoju społecznego konformizmu na ogromną skalę. Kto dzisiaj chce pamiętać, że w wielu szkołach był zwyczaj, że grupa uczniów po studniówce, a przed maturą zapisywała się do partii. Z przekonania? Raczej z przekonania, że tak wypada, że to się przyda. To nie była młodzież ideowa, jej ideą była bezideowość. Podobnie jak większości ówczesnych działaczy. Liczba członków PZPR przekroczyła w 1980 roku trzy miliony.

„Złodziej” z cytowanego wierszyka nie wziął się z powietrza. „Załatwiano”, „kombinowano” na potęgę. Od najwyższych kręgów partyjnych do – niestety – zwykłych ludzi. Był w tym zresztą pewien zamysł, tworzenie wspólnoty podtrzymywanej przez wzajemne korzyści, w czym też tkwi jakaś część wytłumaczenia dzisiejszej popularności Gierka.

Bo koniec był taki jak zwykle. Gospodarka realnego socjalizmu ma inne cele niż zaspokajanie potrzeb ludzi. Kolejna zima stulecia, przełomu lat 1978/1979, obnażyła do reszty nieudolność systemu.

A że przedtem było tak miło... 

Krzysztof Gottesman – dziennikarz
i publicysta, pracownik Wydziału Komunikacji
Społecznej IPN



PIES, NIE ŚWINIA

Katarzyna Adamów

Pies idealnie się nadawał do kształtowania i popularyzowania pozytywnego obrazu Milicji Obywatelskiej w społeczeństwie, zwłaszcza wśród dzieci i młodzieży. Organizowano więc pokazy sprawności psów, w telewizji prezentowano Zakład Tresury Psów Służbowych w Sułkowicach, urządzano pogadanki w szkołach oraz wycieczki do Sułkowic. Pracownicy ZTPS służyli pomocą przy realizacji filmów fabularnych, m.in. *Przygód psa Cywila* czy *Czterech pancernych i psa*.

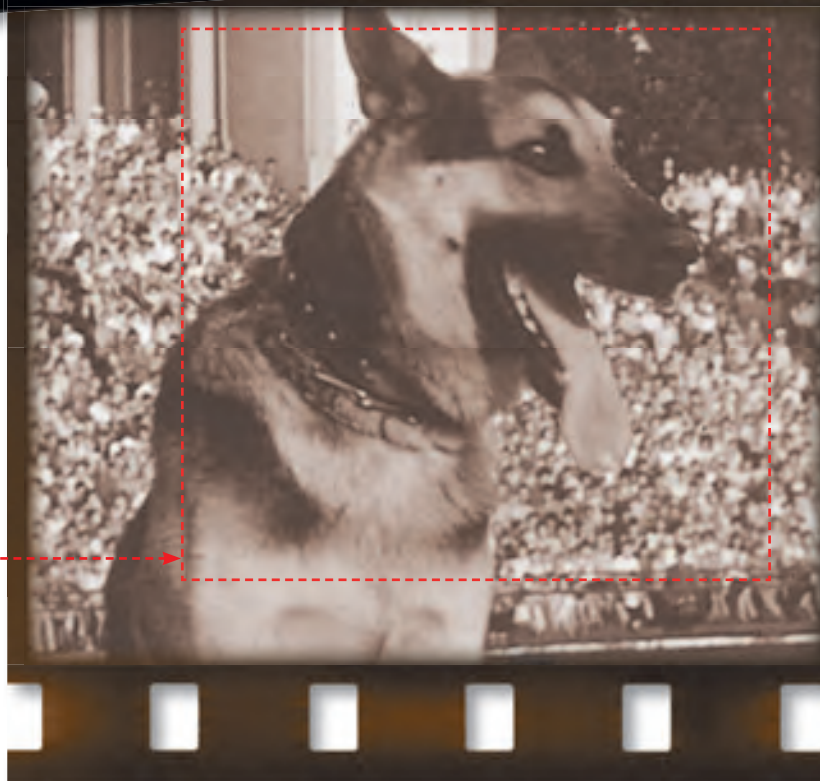
„**P**otrzebny był pies karny, ale spokojny i łagodny. Trymer to taki pieszczołek, szczególnie służby w milicji nie lubił” – tak wspominał wybór zwierzęcia do filmu *Czterej pancerni i pies* treser Franciszek Szydelko. Telewizyjny serial o przygodach załogi czołgu „Rudy 102” powstał w drugiej połowie lat sześćdziesiątych na podstawie książki Janusza Przymanowskiego, pisarza i korespondenta wojennego gazety 1. Armii Wojska Polskiego „Zwycięzimy”. W 1964 roku Przymanowski opublikował powieść dla dzieci *Czterej pancerni i pies*, którą – po sukcesie wydawniczym – umieszczono w kanonie lektur dla uczniów siódmej

klasy szkoły podstawowej. Serial zdobył ogromną popularność w kraju i za granicą. W szkołach urządzano akademie oraz teatryki dla dzieci i młodzieży, powstawały telewizyjne Kluby Pancernych. Chociaż najczęściej dziewczynki chciały być Marusią, a chłopcy Jankiem, to dla wielu osób prawdziwym bohaterem był... pies Szarik.

• Szarika zagrał wspomniany wyżej Trymer z Zakładu Tresury Psów Służbowych w Sułkowicach. Trymer nie zdał egzaminów na psa tropiącego, nie wykazywał też agresji i miał zostać odsunięty od służby. Jego pierwszym trenerem był Leonard Sosnowicz, później zastąpił go sławny „psi profesor” – Franciszek Szy-

delko. Mentorem dla Szydelki był wybitny znawca zagadnień tresury, przedwojenny policjant Józef Pawłusiewicz. Opracował on i unowocześnił techniki tresury, wykorzystując badania naukowe oraz praktyczną obserwację i znajomość psychiki zwierząt. Podkreślał, że w tresurze nie może być mowy o fizycznym karceniu, uderzony pies pamięta bowiem przykry moment i przestaje ufać swojemu przewodnikowi; znika więź łącząca człowieka ze zwierzęciem.

W artykule *Opowieści menera o psich aktorach*, zamieszczonym w 1974 roku w czasopiśmie „Pies”, Franciszek Szydelko wspominał, że często zbyt mała u twórców filmowych wiedza o zwierzę-



Fot. AIPN

tach powodowała żądanie od nich wykonania rzeczy niemożliwych. Z tego powodu przy realizacjach filmowych zwracano się z prośbą o fachowe konsultacje do zawodowych trenerów i trenerów zwierząt.

W filmie *Cztery pancerni i pies* Trymer wcielił się w rolę łącznika, obrońcy i zwiadowcy. Wykonywał niemal kaskaderskie zadania bojowe przy odgłosach wybuchów, detonacji oraz płonących budynków, ale pod czujnym okiem trenera. Filmowy Szarik uosabiał wszystkie najlepsze cechy idealnego psa służbowego. Umiał odeprzeć czynną napaść na członka załogi czołgu; tropić, ścigać i obezwładniać wroga; pilnować zatrzymanych osób i konwojować je; przeszukać teren i zabudowania, znaleźć ukrywających się tam ludzi i sygnalizować o zbliżających się oddziałach niemieckich. Za całe swoje poświęcenie otrzymywał jedynie, i to dopiero po interwencji załogi „Rudego”, prawo do stałego przydziału żywnościowego z kuchni polowej.

Popularność serialu sprawiła, że ekipa filmowa odbyła dziesiątki spotkań w kraju i za granicą. „Pierwszy Radom zorganizował uroczystość, jesienią 66. Nie było tam co prawda aktorów, tylko czołg i pies milicyjny, ale i to wystarczyło” – czytamy w tygodniku „Stolica” z 1967 roku. Bohaterowie serialu spotkali się z młodymi widzami m.in.: z okazji Dnia Dziecka na boisku przed Domem Kultury na warszawskim Targówku; na stadionie Wisły Kraków podczas pokazu sprawności Milicji Obywatelskiej czy na ulicach Łodzi, gdzie czołg nie mógł przejechać przez miasto, a „aktorów i psa milicja uratowała przed nadmiarem entuzjazmu”. Szarik był „twarzą” (mordą?) wystawy psów rasowych w Warszawie w 1967 roku. Dzieci wręcz go ubóstwiała. Pies otrzymywał od nich tarcze szkolne, plakietki, laurki, medale i odznaczenia. W wywiadzie dla „Dziennika Bałtyckiego” Janusz Przymanowski ocenił, że film wywarł największe wrażenie na najmłodszych widzach, a jego największym sukcesem „pedagogicznym” miały być telewizyjne Kluby Pancernych, zrzeszające młodzież z całego



Fot.: AIPN



Fot.: AIPN



Fot.: AIPN

kraju. Kluby prowadziły akcje propagandowe, wprowadzając dzieci w meandry historii najnowszej – m.in. organizowały spotkania z weteranami II wojny światowej. Młodzież wypełniała zadania polegające np. na ustaleniu daty wyzwolenia swojej miejscowości czy opisanu pierwszego dnia po jej wyzwoleniu. Pancerniacy opiekowali się zimą zwierzętami, organizowali akcje sprzątnięcia swojej okolicy, przygotowywali paczki świąteczne dla chorych dzieci, a nawet tropili kłusowników. W liście do redakcji jedna z drużyn przysłała mapę psich bud w swojej wiosce: „Było ich 14, z czego 12 zostało ocieplonych, a dwie nie, »bo się gospodarze sprzeciwili«. Pies głodny i zmarznięty jest ponoć bardziej zły. »Ale my nie ustępujemy. Wrzucamy przez parkan ulotki z napisem: *Psy nie mogą marznąć!*«. Dziewczynki z załogi „Mariusia” meldowały zaś, że w swojej szkole urządziły schronisko dla psów: „Mamy pięć psów i te psy nigdy nie będą już głodne”. Członkowie klubów nosili odznaki wojsk pancernych, a dowódcy emblematy oficerskie, każdy nowy klubowicz przysięgał „strzec honoru załogi, wykonywać zadania Klubu, nieść pomoc innym, z uśmiechem pokonywać trudności”. Do drużyn zapisywano nie tyl-



Fot.: AIPN

ko podwórkowe Azory i Burki, ale także koty, ptaki, chomiki – „co kto miał”. Trudności z psem czołgista były dość poważne: „Jedna z załóg, na przykład, zamiast psa znalazła dzikiego kota i jest w trakcie oswojania go”. Jak wspominał

Przymanowski, „w całej Polsce dzieci stworzyły kilkanaście tysięcy załóg na wzór załogi z filmu. Wszystkie drużyny mają jako maskotki – żółwie, chomiki, koty; najwięcej jest jednak psów”.

Nie tylko młodzież uwielbiała Szarika. Na fali ogromnej popularności serialu ekipa filmowa została zaproszona na spotkanie do Pragi. Przed odlotem kapitan czeskosłowackiego samolotu nie chciał nawet słyszeć, żeby pies leciał na pokładzie razem z pasażerami. Po wyjaśnieniach, że pies to filmowy Szarik, kapitan zaprosił go do swojej kabiny i przez całą podróż karmił smakołykami. Jak niedawno w jednym z wywiadów wspominał Szydelko, podczas spotkania w latach 70. w czeskosłowackim Beneszowie prezydent tego miasta miała zaś opowiedzieć pewien dowcip, który świetnie oddaje sympatię, jaką darzono psiego aktora: „Kiedy w 1968 roku nastąpił najazd wojsk sprzymierzonych na Czechosłowację, ku granicy jechał także »Rudy« z Szarikiem. Ale kiedy czołg dojechał do granicy polsko-czechosłowackiej, Szarik zaczął straszliwie

Fot.: AIPN

➤ Miniatura czołgu „Rudy 102” z dublerem Szarika na pokładzie podczas pochodu pierwszomajowego



► Finał pokazu sprawności milicji w Krakowie: spotkanie z Szarikiem i aktorami

Fot. AIPN

szczękać, wyskoczył z czołgu i mówi do pancernych ludzkim głosem: »Panowie, ja jestem psem, a nie świnia«. I nie przeszedł granicy». Podczas spotkania ekipy filmowej z fanami w Łodzi w 1967 roku aktorzy otrzymali od miłośników serialu kwiaty, a Szarik „uhonorowany został godnym swych zasług kawałem kiełbasy”. Dział kulturalny „Dziennika Bałtyckiego” zachęcał do nabycia książki Przymanowskiego z autografami głównych bohaterów serialu i oczywiście z odciskiem łapy Szarika.

Na temat odtwórcy roli Szarika w polskiej prasie można było znaleźć wiele ciekawych historii. Opowiadano o kilku dublerach Trymera, snuto domysły, że po zakończeniu pierwszej serii serialu pies został sprzedany, miał nawet zginąć podczas jednej z akcji kaskaderskich na planie filmowym. Prawdą jest, że Trymer po realizacji serialu został oddany w prywatne ręce, dożył późnej starości, a po śmierci został wypchany i stoi do dziś w Zakładzie Kynologii Policyjnej w Sułkowicach.

Katarzyna Adamów – starszy archiwista w Biurze Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN



W działaniach Służby Bezpieczeństwa często była wykonywana obserwacja zewnętrzna. Jej prowadzeniem zajmowali się funkcjonariusze pionu „B”: na szczeblu centrali resortu – Biura „B” Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, a w komendach wojewódzkich Milicji Obywatelskiej – wydziałów „B” MSW. Co ciekawe, ze względu na specyfikę swej pracy, byli oni (a przynajmniej z założenia powinni być) zakonspirowani nie tylko przed obserwowanymi, ale też przed innymi funkcjonariuszami SB.

Observacji podlegali zarówno cudzoziemcy (szczególnie dyplomaci z państw kapitalistycznych), jak i obywatele polscy (głównie ci zaangażowani w działalność opozycyjną). W jej ramach dana osoba była śledzona, a niekiedy również podsłuchiwana. W ten sposób ustalano jej zachowania, nawyki czy kontakty (zawodowe oraz prywatne). Obserwacja pozwalała także na ustalanie personaliów i adresów (np. skrzynek kontaktowych). Oczywiście, nie ograniczono się jedynie do obserwacji konkretnych osób, poddawano jej również określone miejsca i obiekty (np. kościoły).

Podstawą do podjęcia tego typu działania było tzw. zadanie na obserwację, zatwierdzone przez dyrekcję pionu operacyjnego (np. Departamentu III MSW), a w terenie – przez komendanta wojewódzkiego MO lub jego zastępcę ds. Służby Bezpieczeństwa. Obserwację prowadziła zazwyczaj grupa licząca od dwóch do czterech wywiadowców. Przeważnie trwało to kilka (trzy, cztery) dni, z możliwością przedłużenia w razie

potrzeby. Obserwację prowadzono pieszo, przy wykorzystaniu pojazdów lub specjalnie w tym celu zorganizowanych tzw. zakrytych punktów (posterunków) obserwacyjnych. Ten ostatni przypadek odnosił się oczywiście jedynie do obserwowania konkretnego miejsca, bez konieczności przemieszczania się funkcjonariuszy.

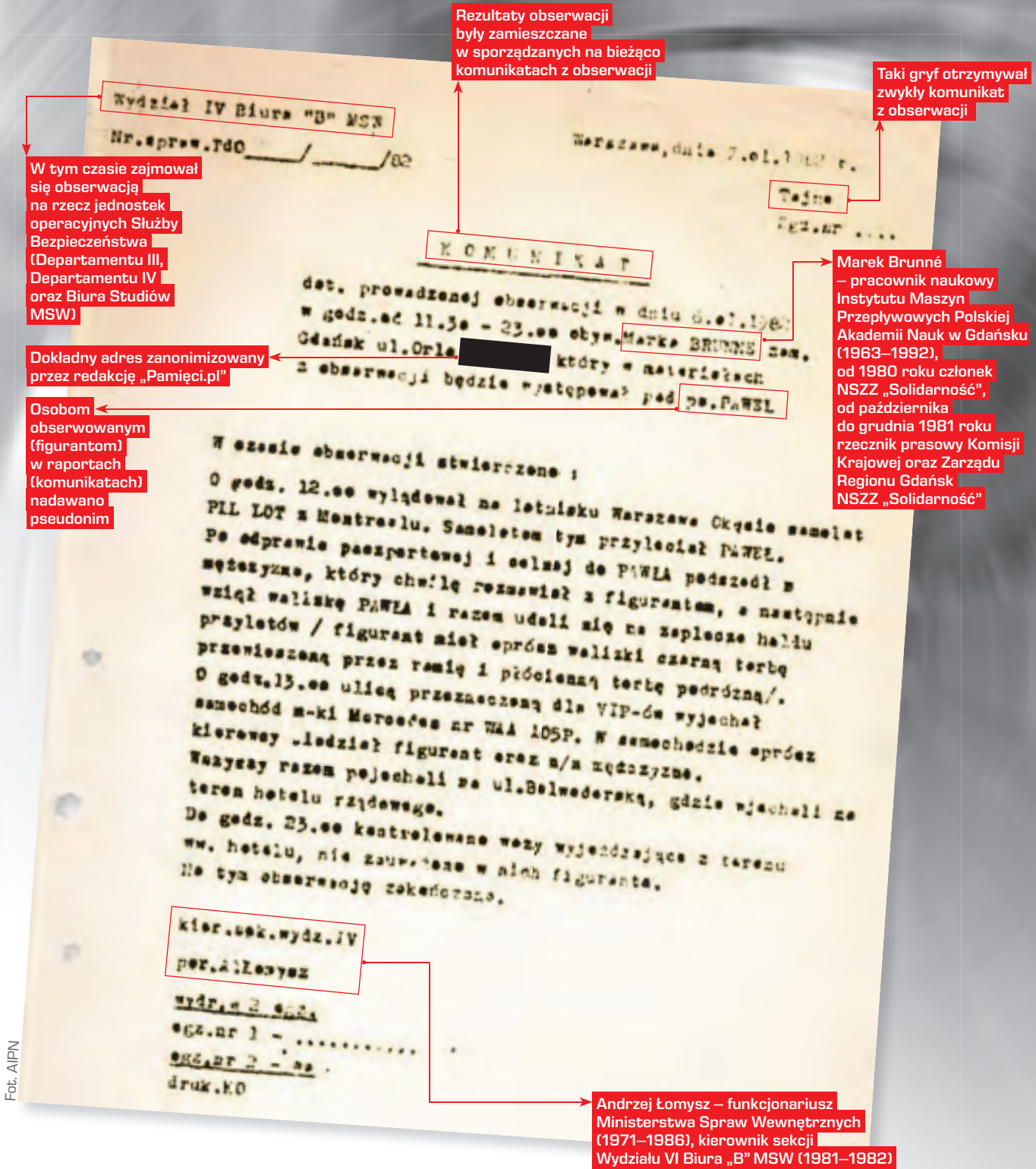
Niekiedy stosowano również obserwację jawną (zwaną japońską), która polegała na otwartym, wręcz manifestacyjnym jej prowadzeniu. W tym przypadku miała ona charakter profilaktyczny – jej celem było zazwyczaj zniechęcenie obserwowanego do podjęcia danej czynności, rzadziej – zastraszenie go.

W przypadku każdej obserwacji (czy to osoby, czy też miejsca) w pionie „B” zakładano teczkę sprawy obserwacyjnej – sprawa otrzymywała kryptonim oraz numer ewidencyjny, a osoba śledzona pseudonim. Teczka taka zawierała zadanie (zlecenie) na obserwację, plan wykonania obserwacji, plany sytuacyjne terenu, odpisy komunikatów z obserwacji, notatki dotyczące ustalonych kontaktów i adresów osób, z którymi kontaktował się obserwowany, oraz zdjęcia z obserwacji.

Komunikaty z obserwacji były sporządzane na bieżąco. Zawierały informacje o czasie rozpoczęcia, zakończenia i miejscu prowadzonej obserwacji, opis czynności wykonywanych przez osobę obserwowaną, rysopisy osób, z którymi się ona kontaktowała, spostrzeżenia i uwagi wywiadowców. Zazwyczaj komunikaty takie składały się z dwóch części – wiernego opisu zdarzeń i ich analizy dokonanej przez funkcjonariuszy. Trafiały do jednostki zlecającej obserwację, w pionie „B” pozostawiano zaś ich kopie. Najczęściej dołączano zdjęcia operacyjne oraz notatki z nagranych rozmów prowadzonych przez obserwowanego. W tym przypadku komunikat otrzymywał gryf „tajne specjalnego znaczenia”, w pozostałych zaś – o ile nie uzupełniały go dane uzyskane od agentury – klauzulę „tajny”.

Obok przykład nietypowego komunikatu z obserwacji z początku 1982 roku. Obserwowanym był Marek Brunné – były już wówczas rzecznik Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”, powracający ze Stanów Zjednoczonych do Polski stanu wojennego – 13 grudnia 1981 roku był na konferencji naukowej w Seattle. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że był on gościem peerelowskich władz – wprost z lotniska został przewieziony rządowym mercedesem do hotelu Urzędu Rady Ministrów przy ulicy Parkowej. A to dopiero początek jego niezwyklej historii. Jeszcze w dniu jego powrotu Telewizja Polska wyemitowała rozmowę z nim – był to element propagandy stanu wojennego, jeden z wielu występów działaczy Solidarności przed kamerami. W jego jednak przypadku efekt okazał się zdecydowanie większy niż w przypadku innych działaczy związku. Był to niewątpliwie sukces władz.

Od następnego dnia Brunné znalazł się pod opieką Biura Ochrony Rządu, a konkretnie wydziału BOR odpowiedzialnego za stałą ochronę najwyższego kierownictwa PZPR i władz państwowych oraz okolicznościowych delegacji zagranicznych. Mało tego, wytyczne dla borowców przygotował sam minister spraw wewnętrznych Czesław Kiszcak... Rzekomym powodem przydzielenia byłemu rzecznikowi KK ochrony były obawy przed bojówkami radykalnej Konfederacji Polski Niepodległej. Prawdziwą przyczyną natomiast – jak się zdaje – chęć dalszego wykorzystania propagandowego tego działacza. Wiadomo, że przygotowywał on list otwarty do I sekretarza Komitetu Centralnego PZPR, premiera i szefa Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego (ciała pełniącego rzekomo od 13 grudnia 1981 roku rolę administratora stanu wojennego, w praktyce będącego organem czysto fasadowym, propagandowym), Wojciecha Jaruzelskiego. Kontaktował się też telefonicznie lub osobiście z człon-



Fot. AIPN

kami rządu, np. rzecznikiem prasowym Jerzym Urbanem czy ministrem ds. współpracy ze związkami zawodowymi Stanisławem Cioskiem. Mało tego, w pisaniu listu wspierał go nawet naczelnik Wydziału III Komendy Wojewódzkiej MO w Gdańsku Czesław Wojtalik, odpowiedzialny m.in. za zwalczanie Solidarności.

Ostatecznie jednak z publikacji listu – z nieznanymi przyczyn – zrezygnowano, a postawa Marka Brunné w pierwszych tygodniach stanu wojennego do dziś pozostaje niewyjaśnioną zagadką. O ile w pełni zrozumiały jest jego powrót do kraju, w którym została niepracująca za-

wodowo żona wraz z trójką dzieci, o tyle trudniej zrozumieć jego udział w działaniach propagandowych władz PRL. 🌸

dr Grzegorz Majchrzak – historyk, pracownik BEP IPN, zajmuje się m.in. badaniem dziejów aparatu represji i opozycji demokratycznej

Po co nam historia kobiet?

Historia w ujęciu tradycyjnym jest równie nieobiektywna, jak historia badana z perspektywy *gender* – twierdzi prof. Andrea Pető w rozmowie z Natalią Jarską

Dlaczego zdecydowała się Pani na badanie historii kobiet i *gender studies*?

Moja praca magisterska dotyczyła angielskich ruchów utopijnych w XVIII wieku. Ale później zdecydowałam się zmienić dziedzinę badań na wiek XX, ponieważ zdałam sobie sprawę z tego, że zajmując się historią najnowszą, badam tak naprawdę przeszłość w teraźniejszości. Drugim powodem mojego zainteresowania tą tematyką było moje zaangażowanie polityczne.

Jaki rodzaj zaangażowania politycznego ma Pani na myśli?

Taki, żeby świat stał się bardziej demokratyczny i przyjazny, żeby był lepszym miejscem do życia dla każdego.

I to jest związane z pisaniem historii?

O tak, bardzo. Wierzę, że nasze – historyków – prace są czytane i mają oddźwięk. Podam przykład. W 2007 roku opublikowaliśmy podręcznik uzupełniający dotyczący historii kobiet i mężczyzn, a już w 2010 roku na egzaminie maturalnym na Węgrzech pojawiły się pytania o historię pracy zawodowej kobiet – czyli temat z tegoż podręcznika. Był to pierwszy raz, kiedy padło pytanie związane z historią kobiet, a uczeń chcący zdać egzamin musiał wykazać się wiedzą na ten temat. Nauczyciele, którzy czytali książkę, uznali ją za ważną. Uważam, że obecność historii kobiet na kursie historii w szkole średniej czy nawet pisanie książek o historii kobiet powoduje, że kobiety zaczynają myśleć o swojej aktualnej sytuacji społecznej. I to jest najważniejsze. Ponieważ kiedy włączają telewizję, zagląдают do gazet, to widzą mężczyzn w garniturach podejmujących ważne decyzje i nie zdają sobie sprawy z tego, w jaki sposób one mogą być aktywne w życiu politycznym. To właśnie badania naukowe mogą pokazać: kobiety były aktywnymi uczestniczkami życia publicznego, zawsze miały swój udział w historii. Ten podręcznik uzupełniający podpowiada, jak można uczyć o historii kobiet i jak zmienia się postrzeganie historii, kiedy włączyć do niej opowieści, przedmioty czy fotografie związane z kobietami. Inny przykład to moje badania dotyczące gwałtów dokonywanych przez żołnierzy Armii Czerwonej na Węgrzech w latach 1944–1945. Artykuł na ten temat, dostępny za darmo w internecie, przeczytało do tej pory ponad 100 tys. osób, na różnych stronach toczą się wokół niego dyskusje. To jest właśnie bezpośrednie oddziaływanie społeczne.



Fot. AFPN

Andrea Pető jest profesorką nadzwyczajną na Wydziale *Gender Studies* w Central European University w Budapeszcie. Autorka prac w jęz. angielskim, węgierskim, niemieckim i rosyjskim. Opublikowała m.in.: *Women in Hungarian Politics 1945–1951* (2003), *Geschlecht, Politik und Stalinismus in Ungarn. Eine Biographie von Júlia Rajk. Studien zur Geschichte Ungarns*, Bd. 12. (2007). Obecnie zajmuje się pamięcią II wojny światowej w kontekście *gender* i politycznymi ekstremizmami. Jest współprzewodniczącą AtGender: European Association for Gender Research, Education and Documentation.

Czy historia kobiet jest inna? Czy to po prostu odkrywanie, że były one aktywne, ponieważ w głównym nurcie nie są obecne?

Pierwszym krokiem jest wyciągnięcie tych historii na światło dzienne, aby pokazać, że były w przeszłości kobiety aktywne w polityce, które działały w różnego rodzaju stowarzyszeniach, kolekcjonowały obrazy, prowadziły salony. Kolejnym krokiem jest przyjrzenie się, jak ta wiedza zmienia wcześniejszy, „kanoniczny” obraz historii. Ponieważ znając losy i rolę tych kobiet, można zadać sobie pytanie, czy to, co wcześniej wiedzieliśmy, było w ogóle prawdziwe. Dlatego ważne jest, aby zadać pytanie o obraz kobiet, który jest pamiętany, i o wpływ płci kulturowej na kształtowanie pamięci, czyli przyjrzenie się instytucjom, wartościom, które konserwują, proponują i przekształcają dominujące koncepcje męskości i kobiecości. Jeśli np. spojrzeć, w jaki sposób Maria Skłodowska-Curie stała się idolką hiszpańskiego i węgierskiego ruchu kobiecego w latach trzydziestych XX wieku, to widać różnicę: w Hiszpanii pochodząca z Polski noblistka była ważną postacią świata nauki, a jej przykład był wykorzystywany przez rząd, by zachęcić kobiety do podejmowania studiów na uczelniach wyższych; z kolei na Węgrzech Skłodowska-Curie była prezentowana jako naukowiec, ale też jako matka, ponieważ ówczesnym władzom wcale nie zależało na licznej obecności kobiet na uniwersytetach. Rząd węgierski wprowadził parytety,



► Maria Skłodowska-Curie przetrwała kobietom szlaki do pracy naukowej

żeby nie dopuścić kobiet do studiów uniwersyteckich. Można zatem dokonać analizy systemów politycznych przez pryzmat ich polityki płci wobec kobiet.

Czy sądzi Pani, że płęć kulturowa wpływa na kształtowanie się pamięci o komunizmie w Europie Środkowej?

Kiedy ukazała się moja książka o organizacjach kobiecych na Węgrzech w latach 1945–1951, mój kolega powiedział, że to bardzo zastanawiające, bo badam historię partii komunistycznej. A ponieważ w jej Biurze Politycznym w ogóle nie było kobiet, to niestety nie można pisać o historii kobiet. To pokazuje, jak bardzo ograniczoną perspektywę może mieć historia polityczna. Pierwszym poziomem analizy jest zwykle policzenie, ile było kobiet we władzach partii. Drugi poziom to przyjrzenie się tym kobietom, które tam były, czasem tylko występującym w roli „dekoracji”. W systemie komunistycznym funkcjonowało wiele kobiet, które były powołane do politbiura lub na inne stanowiska wyłącznie symbolicznie.

Istnieje kilka możliwości badania historii *gender* w komunizmie. Pierwszy to prześledzenie, jak dyskurs o komunizmie stał się dominującą, kanoniczną opowieścią. A ten kanon wyklucza zniuansowane interpretacje, jeśli nie są one pokazywane przez pryzmat cierpienia. Nowa książka Małgorzaty Fidelis *Women, Communism, and Industrialization in Postwar Poland* na temat robotnic jest bardzo dobrym tego przykładem, ponieważ pokazuje, jak te kobiety cieszyły się i wykorzystywały możliwości rozwoju i awansu w systemie komunistycznym. Jeśli patrzeć

na komunizm wyłącznie jako na straszny system powodujący cierpienie u wszystkich, to gubi się całkowicie te historie i działania tych, którzy żyli i zmagali się z różnymi problemami w tym czasie. Drugi poziom analizy jest związany z zasadniczo patriarchalnymi cechami systemu komunistycznego. Partie komunistyczne w Europie Środkowo-Wschodniej nie realizowały radykalnych lewicowych tradycji – w sensie wprowadzającej rzeczywiste zmiany polityki wobec płci. One raczej przejęły idee drobnomieszczańskie. Zatem komunistyczny projekt społeczny nie był radykalny, jeśli chodzi o politykę płci. Rolą kobiet w tym programie było wykonywanie swoich obowiązków w domu. To powodowało konflikt, ponieważ stale funkcjonowała polityczna retoryka równości oraz bodźce do tego, aby kobiety włączyły się w rynek pracy, podczas gdy niewiele zmieniło się w sferze emocji i podporządkowania kobiet. ►

Fot. AIPN

KOBIETA NA BARYKADZIE
I nie wstaniem w walce, się szlachetki mamy,
A mocą tej szlachetki wygramy i wygramy.
Rok

Nr 2-3

Warszawa, dn. 21 sierpnia 1944

Gdy ploną domy...

Młyn historii miale ziarno pod nowy siew. Trzeci już tydzień żyje porwani kołem tego mlyna. Co więcej, istniejący nie tylko materiałem. W ry młyn ten obrabia, ale i tymi, którzy w ruch puszczają jego koła. W czeni zostaliśmy w krąg bezpośrednich twórców historii, tych, którzy świat. Włączeni przez krew, śmierć, ból, cierpienie, pożary i z... Nasze zwycięstwo będzie zwycięstwem światła... na po... N... przez łapa



► Praca w fabryce: dla niektórych kobiet droga awansu; na zdjęciu: robotnice Zakładów Przemysłu Bawełnianego w Zambrowie z mistrzem brygadzystą

Fot. AIPN

Ale pojawiają się w historii kobiet tematy, które można powiązać z antykomunistycznym schematem, jak gwałty czerwonarmistów, o których Pani pisała. Czy są jeszcze jakieś inne przykłady?

Oczywiście. Są historie kobiet jako ofiar – ofiar nacjonalizacji lub zwalczania religii w czasach komunizmu. Ale – znów – jest to kwestia ram. Bo jak rozumieć prześladowanie zakonnice w tym kontekście? Można spojrzeć na nie jako na ofiary. Ale można także przyrzeć się koncepcji zakonnicy w kontekście religijnym – jako kogoś niezależnego i obalającego dominujący dyskurs. W moich obecnych badaniach przyglądam się płci wywiadu i szpiegostwa podczas zimnej wojny. Były zakonnice werbowano wówczas do bardzo niebezpiecznych zadań: przenoszenia informacji z jednego miejsca w drugie oraz do udzielania schronienia wykrytym agentom. To, co robiły w komunizmie, także było wyrotowe, ponieważ utrzymywały, często z ogromnym trudem, swoją siatkę.

A zatem historia kobiet to po prostu inna perspektywa? Bo mówimy tu o różnych interpretacjach.

Owszem, mówimy o interpretacjach, źródłach, a także o różnych drogach życiowych. Bo droga to sposób, w jaki każdy planuje swoje życie. Pytanie brzmi: jak historycy zdobywają informację o tym, w jaki faktycznie sposób działały opisywane przez nich kobiety. Myślę, że kluczową sprawą w historii kobiet jest spojrzenie na nie same jako na czynniki sprawcze ich własnego życia. Sprawczość jest tym rodzajem kategorii, na który składają się interakcje i negocjacje. Historia kobiet patrzy właśnie na ten złożony proces negocjacji, bo odzwierciedla on społeczeństwo, w którym żyły. Nie tylko historia społeczna, lecz także historia kulturowa i inne gałęzie historii mogą czerpać z perspektywy *gender*. To jest jedna sprawa. Inna jest taka, że są tacy, którzy twierdzą, że historia kobiet jest osobną dziedziną wiedzy, ze swo-

ją metodologią, źródłami i interpretacją. Jak się przekonaliśmy w ciągu ostatnich 40 lat, kiedy rozpoczęła się profesjonalizacja historii kobiet, trudno jest ją badać w oderwaniu od innych perspektyw. Moim zdaniem należy patrzeć również na inne aspekty analizy, bo to pomaga w dostrzeżeniu właściwego kontekstu. Weronika Grzebalska w książce, nad którą pracuje, analizuje strukturę pamiętania, która sprawiła, że kobiety uczestniczące w Powstaniu Warszawskim stały się niewidoczne.

Wytlumaczmy różnicę między historią w perspektywie *gender* a historią kobiet.

W warunkach Europy Środkowej byłabym bardzo ostrożna, podejmując tę debatę. Mamy przecież bardzo dużo podstawowej pracy do zrobienia w rozwoju wiedzy o historii kobiet. Ale informacje trzeba zbierać, mając w pamięci to, że trzeba uważać na ramy gromadzenia wiedzy. Historia kobiet jest przede wszystkim o kobietach i dotyczy kobiet jako czynników zmiany w przeszłości. *Gender* natomiast dotyczy kobiecości i męskości – tego, jak są skonstruowane, utrzymywane i przekazywane za pośrednictwem różnych systemów wartości, stereotypów i instytucji.

Nie jest to jednak rozwój linearny, a pisanie historii w perspektywie *gender* nie jest rozwiązywaniem problemów, ale raczej uwypukleniem tego, że nie należy bezkrytycznie akceptować ram „prawdy”. A zatem każde stwierdzenie jest ważne, w zależności od tego, kto patrzy, kto jest narratorem i jaki ta narracja ma kształt. Bardzo często historyk stawia się w pozycji Boga, opowiadając, że coś się wydarzyło, zapominając o tym, że jego opinie jako osoby piszącej wpływają na dopowiedzenie tego, co jeszcze nie zostało zbadane. Podam przykład: węgierska rewolucja 1956 roku jest jednym z najlepiej przebadanych tematów w naszej historii. Ale jednej sprawy nie przebadano przez bardzo długi czas. Mam na myśli demonstrację tysięcy kobiet

z 4 grudnia 1956 roku, które – wychodząc na ulice z kwiatami – protestowały przeciwko sowieckiej okupacji i wywożeniu młodych węgierskich mężczyzn w charakterze zakładników na Syberię. Był to jedyny masowy protest przeciwko sowieckiej okupacji w 1956 roku, ale jego opis nie znalazł się w kanonie narracji o rewolucji aż do momentu, gdy jedna z moich studentek napisała na ten temat pracę magisterską. Pierwszym krokiem była próba odtworzenia tamtych wydarzeń i pokazania roli kobiet w tej historii, a to z kolei pociągnęło za sobą kolejny krok w postaci przesłędzenia, jak informacja o tym wpływa na zbiorową pamięć o 1956 roku.

Jak to się stało, że to wydarzenie zostało zapomniane?

Nie zostało zapomniane, tylko pominięte. Zapomnienie bowiem ze swej natury jest nieświadomione, a pominięcie to cały proces strukturalny. Historycy uznali, że polityczna aktywność kobiet była nieistotna. Podobnie stało się w przypadku masowej demonstracji w Budapeszcie zorganizowanej przez Margit Slachtę przeciwko traktatowi pokojowemu po I wojnie światowej. Inny przykład: kobiety biorące udział w Powstaniu Warszawskim nie zostały zapomniane, ale pomija się je jako krytykujące dominującą „męskość”.

W Polsce mamy chyba do czynienia z podobnym zjawiskiem. Po słynnych strajkach w Grudniu 1970 roku były też – w lutym następnego roku – strajki w fabrykach w Łodzi. Nie zostały zapomniane, ale są niedoceniane. Tymczasem były ważne, bo to w ich wyniku cofnięto decyzję o podwyżkach cen. Ponadto w opisie łódzkich strajków często nie wspomina się w ogóle o tym, że ich bohaterkami były kobiety.

Zawsze trzeba sobie zadać pytanie o miejsce płci i jej znaczenie w konstruowaniu ram włączania lub wyłączenia kogoś lub czegoś z narracji. Ale takie pytanie należy sobie zadać z wielu punktów widzenia. To niekoniecznie *gender* przynosi wytłumaczenie, ale wypadkowa na przykład *gender*, klasy i pochodzenia. A więc jeśli chcemy zrozumieć zaangażowanie kobiet w strajk, musimy wziąć pod uwagę kategorię płci, ale też klasy społecznej czy religii. Myślę, że wszystko to razem pozwoli nam zrozumieć motywacje udziału tych kobiet w strajku. Pomijanie aspektu płci rzeczywiście jest problemem. Jeśli np. opisujemy historię wywiadu z czasów zimnej wojny, ignorując fakt, że płeć miała znaczenie w zdobywaniu informacji i zarządzaniu nimi, to wykluczamy bardzo istotną część tej historii.

Wielu naukowców nie uznaje historii kobiet, bo są przekonani, że to się łączy z feminizmem, który jest ideologią, ruchem politycznym. Czy da się pisać historię kobiet, jeśli nie jest się feministką?

Feminizm ma bardzo wiele różnych odmian. Wspomniana Margit Slachta była feministką chrześcijańską, pierwszą deputowaną do węgierskiego parlamentu w 1920 roku. Któż mógłby wyrzucić ją poza kanon węgierskiej historii bez narażania się na oskarżenie o to, że jest ograniczony? Sztuczka polegająca na

etykietowaniu historii jako nauki „obiektywnej” i „niezideologizowanej”, stosowana po to, żeby zamaskować własne uprzedzenia i ograniczenia, już nie działa.

Myślę, że ci naukowcy boją się ideologii w ogóle.

Ale to oznaczałoby, że zakładają, iż oni sami są ponad jakąkolwiek ideologią. Ale oni również są zideologizowani, stawiając „nie-gender” (mężczyzn, klasę średnią czy ludzi białych) w centrum narracji. Po prostu nie ma czegoś takiego jak obiektywna historia. Założenie, że istnieje, jest tak szkodliwe, jak tylko można sobie wyobrazić. Skutkuje bowiem tym, że eliminowane jest wszystko, co nie mieści się w danej kategorii, co nie ma uprzywilejowanej pozycji. Często jest to wykorzystywane przeciwko historii kobiet. Tłumaczy się, że sprowadza się ona do emocji i sfery prywatnej; jest feministyczna, więc nie może być obiektywna. Wszystko to wymaga autorefleksji, a jej brakuje na uniwersytetach.

Wróćmy do pytania o cel uprawiania historii kobiet. Powiedziała Pani, że chodzi o to, żeby pokazać rolę kobiet, pokazać ich sprawczość. Czy w ogóle istnieje historia kobiet i historia mężczyzn, czy raczej jest jedna historia i jedynie pewne jej aspekty w szczególności odnoszą się do kobiet?

Jeżeli historia kobiet nie opowiada również o mężczyznach, to znaczy, że coś z nią nie tak. Powinna opowiadać o mężczyznach i zajmować się konstrukcją męskości. To jest bardzo ciekawe, jak kategorie płci są budowane i jakie jest ich wzajemne oddziaływanie. Nie chodzi o kobietę w sensie kobiecego ciała. Często się mówi, że nie to, co kobieta ma między nogami, stanowi o jej kobiecości, ale sposób jej myślenia, wzory kulturowe i społeczne, a także proces socjalizacji. ■

► Podporucznik pilot Janina Lewandowska – jedna z pierwszych kobiet pilotów; jedyna kobieta zamordowana w Katyniu





► Minister spraw zagranicznych Polski Józef Beck (w środku) w towarzystwie ministra spraw zagranicznych Niemiec Konstantina von Neuratha (z prawej) i ambasadora Polski w Niemczech Józefa Lipskiego (z lewej) przed budynkiem Kancelarii Rzeszy, 1935 rok

Fot. INAC

„Z Polską małżeństwo z rozsądku, a nie z miłości”

Marcin Przegiętka

Zacytowane w tytule słowa zapisał 2 grudnia 1936 roku Joseph Goebbels, minister propagandy III Rzeszy, po posiedzeniu rządu, na którym Hitler mówił o obowiązującej od niemal trzech lat polsko-niemieckiej deklaracji o niestosowaniu przemocy. Czy rzeczywiście odprężenie w relacjach z Polską było podyktowane jedynie bieżącą sytuacją międzynarodową?

W ydarzenia poprzedzające wybuch II wojny światowej doczekały się różnych, czasem skrajnych interpretacji. Dużo kontrowersji budzi polsko-niemiecka deklaracja o niestosowaniu przemocy, podpisana 26 stycznia 1934 roku, którą Adolf Hitler wypowiedział pięć lat później, podczas przemówienia w Reichstagu 28 kwietnia 1939 roku.

Rewizjonistyczny konsensus

Od odzyskania niepodległości w 1918 roku stosunki Polski z Niemcami były złe. Konflikt o ziemię zaboru pruskiego i w efekcie spory w sprawach mniejszościowych oraz wojna celna uniemożliwiały poprawę relacji między Berlinem a Warszawą.

Niemcy kwestionowały przebieg granicy z Polską, domagając się zwrotu Górnego Śląska i Pomorza (a nieraz nawet Wielkopolski) oraz przyłączenia Wolnego Miasta Gdańska. W tej sprawie istniał w Republice Weimarskiej „rewizjonistyczny konsensus” – konieczność doprowadzenia do odzyskania części utraconych ziem uznawały niemal wszystkie liczące się partie polityczne (dystansowała się od nich jedynie część polityków lewicy i pacyfiści), a różnice między nimi dotyczyły jedynie sposobu, w jaki ten cel miał zostać osiągnięty. Konflikt przybrał na sile na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych XX wieku, w czasie silnej polaryzacji politycznej w Niemczech. Kampanie wyborcze skrajnie prawicowych partii wykorzystywały

m.in. hasła antypolskie i postulaty rewizji granicy z Rzeczpospolitą.

Jednym z ugrupowań, które stosowały taką retorykę, była Narodowosocjalistyczna Niemiecka Partia Robotników (NSDAP), która przejęła władzę w Niemczech w 1933 roku. Chociaż wiele wskazuje na to, że obejmujący urząd kanclerza Adolf Hitler nie miał w pełni sprecyzowanego programu wobec Polski, to jednak jego wstępny zarys można odnaleźć w napisanej podczas pobytu w więzieniu w Landsbergu nad Lechem książce *Mein Kampf*. Znajdujemy w niej kilka zdań dotyczących wschodniego sąsiada Niemiec. Wynika z nich, że przysły dyktator III Rzeszy sprzeciwiał się dotychczasowej „bismarckowskiej” – jak to ujął – polityce wobec Polaków, odmawiając jej skuteczności. Sądził, że Polaków nie można zgermanizować, gdyż proces ten będzie jedynie powierzchowny, a ponadto doprowadzi on do „zepsucia” niemieckiej krwi. Niewłaściwą politykę wobec Polaków, których jedynie „drażniono”, nie doprowadzając do jakiegokolwiek rozstrzygnięcia, uznawał za jedną z przyczyn klęski cesarskich Niemiec. Hitler zamierzał germanizować ziemię, a nie ludzi. Wiąże się to z jego postulatem zdobycia przestrzeni życiowej (*Lebensraum*) na wschodzie, chociaż nigdzie nie znajdziemy potwierdzenia, czy już wtedy przysły Führer zamierzał poszukiwać jej na terytorium II RP. Spór o to nadal toczą historycy. Jak słusznie zauważa Jerzy W. Borejsza, rozstrzygające powinny być położenie Polski „pośrodku drogi na wschód, nakreślonej przez Hitlera dla III Rzeszy”, i fanatyczny rasizm Hitlera. Rozwinięcie planów Hitlera przynosi jego druga książka (tzw. *Zweites Buch*), napisana w 1928 roku, ale niepublikowana przed 1945 rokiem. Również w niej mamy do czynienia z krytyką dotychczasowej, zbyt liberalnej, polityki wobec Polaków w okresie I wojny światowej, która w 1918 roku doprowadziła do odrodzenia niepodległej i niezależnej od Niemiec II Rzeczypospolitej.

Jednym z najważniejszych celów Hitlera, obok zdobycia „przestrzeni życiowej”, było pokonanie Francji, która w największym stopniu upokorzyła Niemcy w czasie

konferencji pokojowej po I wojnie światowej i stanowiła zagrożenie dla planów hegemonii III Rzeszy w Europie. Aby jednak tego dokonać, konieczne było najpierw rozbicie systemu sojuszy łączących Paryż z Czechosłowacją i Polską. W przeciwnym wypadku w razie wojny z Francją nad Niemcami zawisłaby groźba walki na dwa fronty.

W pierwszych miesiącach po dojściu do władzy Hitler kontynuował rewizjonistyczny kurs wobec Polski, znany z czasów Republiki Weimarskiej i podzielany przez niemal wszystkie partie i rządy niemieckie. Pogląd o konieczności skłonienia rządu polskiego do ustępstw terytorialnych na rzecz Niemiec zdobywał coraz więcej zwolenników również we Francji i Wielkiej Brytanii, które na początku 1933 roku skłaniały się ku takiemu rozwiązaniu w imię ocalenia pokoju w Europie. Było to z perspektywy Warszawy o tyle niebezpieczne, że groziło podjęciem decyzji za jej plecami przez dyrektoriat mocarstw, czemu stanowczo sprzeciwiała się dyplomacja polska. Wkrótce nastąpił jednak przełom w stosunkach między Niemcami a Polską.

Sondowanie Francji

Wzrost poparcia dla partii nacjonalistycznych w Republice Weimarskiej i coraz częstsze incydenty na granicy oraz w Gdańsku uważano w Warszawie za przejawy coraz agresywniejszej polityki Berlina wobec wschodniego sąsiada. Dla Polski jedynym sojusznikiem w razie konfliktu z Niemcami była Francja, z którą w 1921 roku zawarliśmy sojusz. Józef Piłsudski wiedział, że od wejścia w życie traktatów lokarneskich w 1926 roku Paryż nie był już przekonany, że „pokój nad Renem zależy od pokoju nad Wisłą”, ponieważ granice zachodnie Niemiec objęto gwarancjami, czego zabrakło w odniesieniu do granic wschodnich. Marszałek postanowił więc sprawdzić, czy II Rzeczpospolita mogłaby jeszcze liczyć na pomoc Francji w razie wojny z Niemcami. Sondaż ten przeprowadzono nieoficjalnie, ale umyślnie nie do końca dyskretnie. Chodziło bowiem o to, aby jednocześnie wymóc na Berlinie powstrzymanie coraz agresywniejszej retoryki. W tym celu Wojsko Pol-



Fot. INAC

► Józef Beck

skie przeprowadziło demonstracyjnie manewry. Zamiarem Piłsudskiego było tylko stworzenie atmosfery „wojny prewencyjnej”. Dlaczego tylko atmosfery? Ponieważ II Rzeczpospolita była zbyt słaba i zbyt biedna, aby prowadzić „prawdziwą” wojnę ofensywną z Niemcami. Chociaż Wojsko Polskie przewyższało liczebnie Reichswehrę (znaczące ograniczenia narzucił jej traktat wersalski z 1919 roku), to Niemcy miały znacznie większy potencjał gospodarczy i, łamiąc zobowiązania międzynarodowe, prowadziły potajemnie zbrojenia, na które następnie godziły się kolejne konferencje rozbrojeniowe.

Ostrzeżenie pod adresem Berlina przyniosło skutek i Hitler zdecydował się na odprężenie w stosunkach z Polską. Potwierdzeniem tego było podpisanie 26 stycznia 1934 roku polsko-niemieckiej deklaracji o niestosowaniu przemocy. W umowie zawartej na 10 lat obie strony deklarowały, że wszelkie konflikty będą rozwiązywać na drodze pokojowej i nie będą ingerować w sprawy wewnętrzne drugiego państwa. Deklaracja nie zawierała jednak uznania przez Berlin polsko-niemieckiej granicy, co sprawiło, że konflikt dotyczący Pomorza nie został rozwiązany, a jedynie „zamieciony pod dywan”. Faktem jest jednak, że podpisanie umowy doprowadziło do pierwszego od czasu traktatu wersalskiego (czyli od kilkunastu lat) odprężenia w stosunkach polsko-niemieckich. Niemcy zaprzestały propagandy skierowanej przeciw granicy ►

polsko-niemieckiej. Z perspektywy Warszawy układ był bardzo ważnym elementem tzw. polityki równowagi, która zakładała, że Polska nie powinna angażować się po stronie żadnego z potężnych sąsiadów – Niemiec ani Związku Radzieckiego – przeciw drugiemu. Inny ważny element tej doktryny stanowiła podobna umowa z ZSRR (pakt o nieagresji), podpisana 25 lipca 1932 roku.

Dzięki deklaracji o nieagresji z Niemcami rząd polski zamierzał osiągnąć samodzielność w polityce międzynarodowej, uniezależniając się od Francji, na której pomoc w razie konfliktu z Niemcami już wówczas trudno było liczyć. Państwa trzecie straciły możliwość wywierania nacisku na Polskę przez wykorzystanie napiętych stosunków między Berlinem a Warszawą. Również III Rzesza odniosła z deklaracji pewne korzyści. Jej zawarcie pozwoliło Berlinowi na wyjście z izolacji międzynarodowej, w której rząd Hitlera znalazł się po opuszczeniu Ligi Narodów jesienią 1933 roku. Odprężenie w stosunkach z Polską miało przekonać Zachód o pokojowych zamiarach III Rzeszy. Tymczasem okres ten narodowi socjaliści wykorzystali na umocnienie swej pozycji i zwalczanie przeciwników politycznych wewnątrz kraju.

Nieuprawniona krytyka

Polsko-niemiecka deklaracja o nieagresji spotkała się z negatywną oceną ze strony przeciwników sanacji, szczególnie gdy okazało się, że nie zapobiegła tragicznym wydarzeniom 1939 roku. Piłsudskiego i ministra spraw zagranicznych Józefa Becka krytykowano za lekkomyślne obdarzenie Hitlera zaufaniem: podpisano z nim umowę, której i tak nie dotrzymał. Władze II RP zdawały sobie jednak sprawę z tego,

że poprawa stosunków Polski z sąsiadami zapewniona przez deklarację polsko-niemiecką i umowę polsko-radziecką nie będzie trwać wiecznie. W kwietniu 1934 roku, trzy miesiące po podpisaniu deklaracji, na zamkniętej naradzie w Głównym Inspektoracie Sił Zbrojnych Piłsudski powiedział: „Mając te dwa pakt, siedzimy na dwu stołkach – co nie może trwać długo. Musimy wiedzieć, z którego spadniemy najpierw i kiedy”. Jeszcze poważniejszym zarzutem było uznanie deklaracji o niestosowaniu przemocy za świadomy wybór Becka, by dzięki sojuszowi z Niemcami dołączyć do grona faszystowskich państw, prowadzących agresywną politykę wobec sąsiadów. Uznanie Polski za państwo kolaborujące z III Rzeszą bardzo odpowiadało stanowisku dyplomacji radzieckiej, która – rozsiewając takie pogłoski już w latach trzydziestych XX wieku – dyskredytowała rząd polski

na arenie międzynarodowej. Wbrew tym insynuacjom, deklaracji nie towarzyszyły żadne tajne umowy, nie przewidywano również współdziałania Polski i Niemiec w razie wojny, trudno więc mówić o jakimkolwiek „pakcie” czy „sojuszu”. Mimo to teza o polsko-niemieckim ścisłym współdziałaniu – związana z „czarną legendą” sanacyjnych rządów – była podtrzymywana m.in. przez historyków radzieckich. Zwolenników tej interpretacji nie zabrakło również w PRL, a jej prezentowanie było wyrazem negowania całego dziedzictwa II Rzeczypospolitej.

Dziś nie ma już wątpliwości, że polsko-niemieckie stosunki w latach 1934–1938 dalekie były od dobrosąsiedzkich relacji. Tym bardziej dalekie były od sojuszu. Hitler bezskutecznie usiłował wpłynąć na Warszawę, aby ta przystąpiła do paktu antykominternowskiego, skierowanego przeciw ZSRR. Krok taki, nie do pogodzenia z „polityką równowagi”, byłby nie tylko sprzeczny z polską racją stanu, ale i nie odpowiadałby nastrojom społeczeństwa. W Niemczech polecenie wstrzymania polityki antypolskiej natrafiło na opór urzędników państwowych i partyjnych, którzy nie zmienili w większym stopniu postępowania wobec m.in. mniejszości polskiej w Rzeszy. Po podpisaniu deklaracji sytuacja w Gdańsku – który był dla Piłsudskiego barometrem stosunków między Warszawą a Berlinem – poprawiła się tylko przejściowo. Narodowi socjaliści nie zamierzali rezygnować z planu włączenia miasta do Rzeszy i systematycznie przejmowali w nim kontrolę nad wszystkimi dziedzinami życia. Zarówno w Niemczech, jak i w Polsce deklaracja o niestosowaniu przemocy nie wywołała zbytniego entuzjazmu, uznawano ją powszechnie – jak pisze historyk Karina Pryt – za „nakazaną przyjaźń”,



Fot. NAC

► Minister spraw zagranicznych Polski Józef Beck (w środku) w towarzystwie ministra wojny Rzeszy Wernera von Blomberga (z prawej) i naczelnego dowódcy wojsk lądowych gen. Wernera von Fritscha przed Grobem Nieznanego Żołnierza przy Unter den Linden

której cel nie był do końca zrozumiały. Wzajemne kontakty kulturalne pozostały chłodne i powierzchowne. Mimo zakończenia wojny celnej nie odnotowano ożywienia w stosunkach gospodarczych. Jak przekonuje historyk Marek Kornat, trudno odnaleźć przesłanki jakiegokolwiek współdziałania również w dziedzinie politycznej, np. w czasie kryzysu monachijskiego, chociaż wydawałoby się, że interesy Polski i Niemiec wobec Czechosłowacji były w 1938 roku zbieżne. Możemy różnie oceniać postępowanie Becka wobec Pragi w sprawie Zaolzia, pamiętajmy jednak, że Beck, uznając rozpad Czechosłowacji i zaspokojenie żądań Niemiec za nieuchronne (wszak żaden z sojuszników nie pomógł), nie popierał żądań niemieckich, tylko węgierskie. Dążenie do stworzenia wspólnej, polsko-węgierskiej granicy było zbieżne z jego ideą Trzeciej Europy, bloku państw „neutralnych” między Rzeszą a ZSRR.

Koniec udawania

Przełom w stosunkach polsko-niemieckich przyniosła jesień 1938 roku. Po unieszkodliwieniu Czechosłowacji – której odebrano Sudety, gdzie znajdowały się najważniejsze fortyfikacje, i narzucano szereg zobowiązań ograniczających suwerenność – następnym krokiem Hitlera było „rozbicie” kolejnego sojusznika Francji. W najlepszym wypadku Polska miała szansę stać się jednym z wasali III Rzeszy, który zostałby pozbawiony możliwości samodzielnego decydowania o swoim losie. Tytułowe „małżeństwo z rozsądku” nie było już Hitlerowi potrzebne, ponieważ Polska, kierując się polityką równowagi, zachowywała dystans wobec planów Hitlera dotyczących ZSRR i tym samym blokowała III Rzeszy ekspansję na wschód. Jednocześnie, jako państwo pozostające w sojuszu z Francją, uniemożliwiała ekspansję w kierunku zachodnim. Jasno wynika z tego, że niezależna Warszawa stała się dla Hitlera solą w oku i tylko zmuszenie Rzeczypospolitej do skrajnej uległości umożliwiłoby realizację jego planów w Europie. Dyktatorowi III Rzeszy nie zależało na równorzędnym sojuszu, lecz jedynie na zyskaniu państwa satelickie-

go, dla którego uzależnienie od rosnącego w siłę sąsiada można porównać tylko do staczania się po równi pochyłej.

24 października 1938 roku minister spraw zagranicznych III Rzeszy Joachim von Ribbentrop przekazał ambasadorowi polskiemu Józefowi Lipskiemu niemieckie propozycje, które miały doprowadzić do „całkowitego rozwiązania” (*Gesamtlösung*) problemów występujących w relacjach polsko-niemieckich. W zamian za przedłużenie deklaracji o niestosowaniu

negocjacji sygnalizował wyłącznie w wypadku sprawy Gdańska i autostrady, nie próbując jednak z góry daleko idących warunków stawianych przez dyktatora III Rzeszy. Nieprzyjęcie wszystkich żądań było dla Hitlera równoznaczne z odrzuceniem „wspaniałomyślnej oferty”.

Odmowę spełnienia warunków i próbę znalezienia przez Polskę oparcia w Wielkiej Brytanii Hitler uznał za pretekst, który pozwolił mu publicznie wypowiedzieć deklarację o nieagresji, co miało miejsce



Fot. NAC

► Minister spraw zagranicznych Polski Józef Beck (czwarty z prawej) w asyście dyplomatów i wojskowych składa wieniec na Grobie Nieznanego Żołnierza przy Unter den Linden; widoczny m.in. ambasador Polski w Berlinie Józef Lipski (drugi z prawej)

przemocy, oprócz – zdawałoby się – niegroźnych dla Polski propozycji włączenia Wolnego Miasta Gdańska do Rzeszy i zbudowania przez Pomorze eksterytorialnej autostrady do Prus Wschodnich, Niemcy oczekiwały od Warszawy przystąpienia do paktu antykominternowskiego oraz wprowadzenia klauzuli konsultacyjnej (czyli zobowiązania się obu państw do wzajemnego uzgadniania swych poczynań na arenie międzynarodowej), co doprowadziłoby niewątpliwie do uzależnienia Rzeczypospolitej od III Rzeszy. Z czasem oferta niemiecka stała się żądaniem, które Beck – ku aprobacie przeważającej części społeczeństwa – odrzucił. Gotowość do

28 kwietnia 1939 roku. Wobec tego, że już 11 kwietnia wydał rozkaz rozpoczęcia przygotowań do wojny z Polską, wszelkie próby mediacji były skazane na niepowodzenie, co potwierdziły wydarzenia kolejnych miesięcy. Dzięki zawarciu paktu Ribbentrop–Mołotow z 23 sierpnia 1939 roku Niemcy zapewniły sobie nie tylko neutralność, ale i współdziałanie ZSRR. 1 września 1939 roku rozpoczęła się wojna polsko-niemiecka, a 17 września na terytorium II Rzeczypospolitej wkroczyła Armia Czerwona. 🇺🇸

dr Marcin Przegiętka – historyk, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN, zajmuje się badaniami nad okupacją niemiecką ziem polskich



Fot.: AIPN

Mordechaj Chaim Rumkowski – kat czy ofiara?

Waldemar Kowalski

Przez prawie pięć lat zarządzał drugim co do wielkości gettem w okupowanej Polsce – gettem łódzkim. Usiłował przekształcić je w znakomicie zorganizowaną fabrykę, produkującą na potrzeby Niemców, co – jak twierdził – miało poprawić los bytujących w getcie Żydów. Postawiony przed dramatycznymi wyborami, zgodził się na wysłanie do obozu zagłady ponad 15 tys. dzieci, starców i chorych w czasie „wielkiej szpery”. Mylił się jednak, że decyzja ta uchroni pozostałych mieszkańców getta przed wywózką na śmierć. W końcu i on tragicznie zakończył swój żywot, ginąc w Auschwitz.

Kim w oczach Żydów był, nazywany „królem Chaimem”, Mordechaj Chaim Rumkowski? Czym zapracował sobie na opinię kolaboranta i dlaczego część jego rodaków widziała w nim wybawiciela? Co sprawia, że postać ta do dziś wywołuje kontrowersje, budząc zarówno szacunek, jak i odrazę?

W październiku 1939 roku, gdy Rumkowski z niemieckiej nominacji został przełożonym Starszeństwa Żydów w Łodzi, miał 62 lata i bogaty życiorys za sobą. Mieszkańcom „miasta włóknarzy” był znany przede wszystkim jako działacz syjonistyczny, kupiec, fabrykant, agent ubezpieczeniowy i społecznik, założyciel Domu Sierot w podłódzkim Helenówku.

Jednak dopiero wybuch wojny, paradoksalnie, umożliwił Rumkowskiemu awans zawodowy. Pomimo działań zbrojnych nie opuścił Łodzi, choć postąpiła tak większość członków zarządu gminy żydowskiej miasta z jej przewodniczącym Lejbem Minbergiem na czele. Taki obrót wydarzeń sprawił, że Rumkowski, doświadczony organizator, został zarządcą

łódzkiego getta, utworzonego w lutym 1940 roku, a odizolowanego od reszty miasta już w kwietniu.

Krążyły jednak pogłoski, że zawdzięczał to stanowisko zupełnie przypadkowi. Według jednej z plotek, Niemcy mieli zdecydować się na jego wybór tylko dlatego, że z powodu swej bujnej, siwej czupryny wydawał się najstarszym spośród działaczy gminy. Krytycy Rumkowskiego podkreślali, że jego nominacja na prezesa Judenratu była korzystna dla okupantów.

Państwo „króla Chaima”

Z chwilą zamknięcia getta łódzkiego (Ghetto Litzmannstadt) za drutami kolczastymi i zasiekami znalazło się ok. 160 tys. Żydów. Zmuszono ich nie tylko do wyzbycia się wszelkich kosztowności, ale także do wymiany pieniędzy na nową walutę, nazywaną od nazwiska przełożonego Starszeństwa Żydów „rumką”. Poza gettem nie miała ona żadnej wartości.

Choć żydowska dzielnica zamknięta w Łodzi przypominała wielki obóz pracy, życie jej mieszkańców toczyło się na pozór normalnie. Funkcjonowały szpitale, szkoły, sądy i kuchnie, działały kabarety, rewie, organizowano koncerty i projekcje filmowe, obchodzono święta żydowskie.

Zgodnie z rozkazami Niemców, Rumkowski – nazywany „Prezesem” – rygorystycznie pilnował spokoju w getcie, dbał o porządek publiczny, przeprowadzał konfiskatę żydowskiego mienia. Odpowiadał za sprawy gospodarcze, opiekę społeczną, służbę zdrowia, aprowizację, aparat policyjny. Choć był w podeszłym wieku, osobiście wizytował zakłady pracy, nie dbając zbytnio o własne zdrowie. „Moje fabryki, moi lekarze, moje szpitale, moi Żydzi” – te słowa Prezesa szczególnie często powtarzano na ulicach getta.

Determinacja Rumkowskiego w dogłębieniu życia getta była powodowana dążeniem do uczynienia z żydowskiej dzielnicy opłacalnego dla Niemców obozu pracy, który Prezes usiłował wyregulować „jak szwajcarski zegarek”. Praca stanowiła według niego jedyną przepustkę do życia. Na każdym niemal kroku powtarzał, że nadzieję na przetrwanie trudów okupacji niesło zatrudnienie w zakładach pra-

cy (zarządzanych przez Centralne Biuro Resortów Pracy). W 1943 roku było ich w getcie aż 119 – wszystkie produkowały „na chwałę” gospodarki III Rzeszy.

Tyran, kolaborant, degenerat?

Próby uczynienia z getta samowystarczalnego żydowskiego „państwka”, które – siłą rzeczy – nie mogły się powieść bez niemieckiej akceptacji, były różnie odbierane przez Żydów mieszkających w zamkniętej dzielnicy. Część z nich oskarżała Rumkowskiego o zbyt daleko posuniętą uległość w stosunku do okupantów, „owocną” współpracę z bremeńskim kupcem Hansem Biebowem, administrującym gettem ze strony Niemców. „Jego [Rumkowskiego – W.K.] krytycy [...] mówili o nim, że mógłby współpracować z samym diabłem, gdyby do tego przyszło. Nie wiedzieli, jak bardzo mają rację” – pisał Steve Sem-Sandberg, autor głośnej książki *Biedni ludzie z miasta Łodzi*.

Wśród całej gamy zarzutów wobec Prezesa są także m.in. oskarżenia o batożenie Żydów bez powodu. „Rumkowski, prezes łódzkiej Gminy, zachowuje się jak dyktator. Mówi się, że jest nie-normalny [...]. Chodzi po mieście z pejczem i w rozmowach przybiera taki sam ton jak naziści. Czasem nawet bije ludzi” – pisała w *Dzienniku z getta warszawskiego* Mary Berg (właśc. Miriam Wittenberg), wspominając pobyt Rumkowskiego w Warszawie.

Przebywał on w warszawskim getcie m.in. we wrześniu 1940 roku. Jego stołeczny odpowiednik, Adam Czerniaków, nie miał jednak o przybyści z Łodzi dobrego zdania. „Jednostka dla niego [Rumkowskiego] nie egzystuje. Ma Sonderkommando do spraw rekwizycji. Zbiera brylanty i futra [...]. Jest to samochwalec. Zarozumiały i głupi. Szkodliwy, bo wmawia władzom, że u niego jest dobrze” – charakteryzował Rumkowskiego w swym dzienniku Czerniaków.

Niepopularnego w Warszawie „króla Chaima” oskarżał także Emanuel Ringelblum, autor *Kroniki getta warszawskiego*: „[...] starzec, człowiek o wybujałych ambicjach i trochę pomyłony. Opowiadał cuda o getcie [łódzkim]. Jest tam żydowskie państwo, mające 400 policjantów i 3 więzienia. Ma on ministerstwo spraw zagranicznych i wszelkie inne ministerstwa [...]. Uważa się za pomazańca bożego” – pisał o Rumkowskim żydowski historyk warszawskiego getta.

Boskie posłannictwo, w które według części mieszkańców getta wierzył Prezes, nie przeszkadzało mu wcale – jak twierdzili – w bezwzględny wykorzystywaniu Żydów. Przeciwnicy Rumkowskiego rozpowiadali, że żył ponad stan, organizował wystawne przyjęcia, hucznie świętował kolejne rocznice zamknięcia getta. Miał opływać w bogactwa, rozwieszać swoje portrety po getcie, jeździć po nim karetą, nie szanować judaizmu. ▶

▶ Chaim Rumkowski przemawia do Żydów zgromadzonych na bazarze



5. Sep
ist 26 im Getto bis
**ALLGEMEINE
VERBRE**

Wśród stawianych mu zarzutów pojawia się również zmuszanie do kontaktów seksualnych swoich sekretarek oraz urządzenie w prywatnej willi na Marysinie domu publicznego. Inne, anonimowe świadectwa – jeszcze z czasów pracy Rumkowskiego w Domu Sierot w Helenówku – mówią o jego skłonności do niemoralnych zachowań w stosunku do nieletnich, z molestowaniem seksualnym włącznie. O tego typu oskarżeniach pisał niechętny szefowi podlódzkiego sierocińca Jechiel Kac, pracujący w nim w latach 1929–1930.

Skrajnie negatywny wizerunek Rumkowskiego nakreślił po wojnie polski pisarz żydowskiego pochodzenia Adolf Rudnicki, autor eseju *Kupiec łódzki*. Wspominał o Prezesie jako o „cesarzu getta”, bezwzględny tyranie, starcu ogarniętym wizją stworzenia w Łodzi własnego żydowskiego państwa. „We wszystkich jego przemówieniach uderza histeryczne wołanie: pracujcie. Tak krzyczy człowiek, który na stół rzuca wszystko, co posiada, który lęka się, lecz i wierzy, który jest nie-szczęśliwy, gdyż sądzi, że inni nie widzą tego, co on widzi z taką dokładnością” – tłumaczył Rudnicki.

Nie było tajemnicą, że ulica w getcie często drwiła z żydowskiego zarządcy, wytykając mu jego przywary. Jeden z zachowanych utworów satyrycznych – *Lokomotywa* – ukazuje Prezesa jako niestru-

dzonego przywódcę, do końca wierzącego w ostateczny sukces swojego „państwa”: „Stoi na rynku stary mężczyzna [...] / Stoi przeklina, prycha i sapie / Pot z rozgrzanego mu czoła kapie / Uff jak gorąco / Och jak gorąco / Och jak męcząco / Obiecująco!”.

Nie taki Prezes straszny...

„[...] z jednej strony to racja, ale z drugiej to z kim ma współpracować, skoro właśnie taka jego rola, żeby pośredniczył między Żydami a Niemcami?” – pisała o Rumkowskim w kontekście stawianych mu zarzutów o dobre stosunki z okupantami jego sekretarka Etki Daum, autorka pamiętnika z getta. Była przekonana, że powtarzane na ulicy sady o jej przełożonym miały niewiele wspólnego z prawdą. „Ci, którzy tak swobodnie krytykują Rumkowskiego, nie wytrzymałby na jego miejscu dłużej niż dwie godziny. Z jego obowiązkami i tą odpowiedzialnością, która na nim spoczywa. I można mówić o Prezesie to czy tamto, że lubi pochlebstwa albo splendory, ale nie można odmówić mu wielkiej pracowitości” – tłumaczyła Daum. Według niej, Prezesa i Biebową wcale nie łączyły przyjacielskie stosunki; mało tego, dochodziło między nimi do kłótni, a nawet rękoczynów. Potwierdza to relacja mieszkanka getta, Jakuba Poznańskiego, który w *Pamiętniku z getta łódzkiego* pisał, jak pewnego razu pijany Biebow tak „dotkliwie poturbował” Rumkowskiego na Bałuckim Rynku, że ten dostał krwotoku i konieczna była jego hospitalizacja. „Przekonał się naocznie, jak bardzo niepopularny jest nasz prezes. Ludność getta szczerze się cieszy,

▶ Tablica przed gettem łódzkim: „Teren zamieszkały przez Żydów – wstęp wzbroniony”

że Rumkowskiego pobito” – relacjonował Poznański.

Bliscy współpracownicy Rumkowskiego przyznawali, że miał on porywczy charakter, nie znosił sprzeciwu, nawet ze strony pozostałych członków Starszeństwa Żydów. „Jednego dnia bije ludzi po twarzy i wyzywa o byle głupstwo, drugiego dnia rozdaje cukierki na ulicy” – napisała Daum, tłumacząc fakt częstego wpadania Rumkowskiego w furję przemęczeniem i życiem w ciągłym stresie. Mimo to ludzie z otoczenia Prezesa byli przekonani, że robił bardzo wiele na rzecz poprawy bytu Żydów w getcie.

Zdarzało się, że Rumkowski topił smutki w alkoholu, był przybity, apatyczny – zwłaszcza po 4 września 1942 roku, kiedy to na Placu Strażackim w Łodzi ogłosił Żydom początek „wielkiej szpery”, akcji wysiedleńczej z getta, w której wyniku na śmierć do niemieckiego obozu w Chełmnie nad Nerem wysłano od 15 do 20 tys. żydowskich dzieci, starców i chorych. „Rozumiem was, matki, widzę wasze łzy. I tak samo czuję, co wy czujecie w waszych sercach, wy, ojcowie [...]. Dzielę wasz ból. Cierpię z powodu waszej boleści i nie wiem, jak to przeżyję – ale muszę znaleźć siły, aby to uczynić” – tłumaczył stojący przed żydowskim tłumem Prezes. „Przez cały czas trwania szpery [od 5 do 12 września] Rumkowski siedział w biurze. Nigdzie nie wychodził. Nie pokazywał się ludziom [...]. To nie był już ten sam Prezes co kiedyś. To był strzęp dawnego przełożonego” – relacjonowała Daum. Podkreśliła, że ogłoszenie Żydom „wielkiej szpery” było dla Rumkowskiego osobistą tragedią, gdyż – z racji jego przedwojennego zajęcia – szczególnie leżało mu na sercu los dzieci.

Jedną z najczęściej towarzyszących mu osób w getcie był Szmul Rozensztajn, jego osobisty sekretarz. W swych sprawozdaniach określał Prezesa jako człowieka postawionego przed trudnymi wyborami, przemawiającego do Żydów po ojcowsku, zawsze w trosce o ich dobro. „Wiem, co mówią o mnie za moimi plecami. Jedno pojmuję – nie jestem przestępcą. Siostry i bracia, dopóki będzie biło moje serce, będę waszym sługą. Każde wam ulże-



nie jest moją radością. Nie szanuję mojego zdrowia. Pięknie jest żyć dla was i umrzeć dla was” – cytował w *Notatniku* jedno z przemówień swojego przełożonego Rozensztajn.

Rumkowski odarty z mitów

Według Moniki Polit, autorki najnowszej biografii Rumkowskiego *Mordechaj Chaim Rumkowski – prawda i zmyślenie*, przełożony Starszeństwa Żydów, wbrew kształtowanej przez lata obie-gowej opinii, był ofiarą zbrodniczej polityki niemieckiej, nie zaś wyrachowanym katem narodu żydowskiego, do którego przynależał.

Dogłębna analiza tworzonej przez lata czarnej legendy Rumkowskiego, przeprowadzona przez Polit, podważyła wiarygodność części powojennych relacji Żydów ocalałych z Zagłady. Badaczka dowodzi, że prawdziwy obraz żydowskiego zarządcy getta znacznie odbiegał od jego powszechnie uznawanego, skrajnie negatywnego wizerunku – utrwalonego m.in. przez przeciwników syjonizmu, z którym utożsamiał się Prezes. „Rumkowski jest po ludzku słaby, przejmująco bezsilny, miotany wewnętrznymi wątpliwościami, rozdarty między powinnością obrony współbraci Żydów a obowiązkiem posłuszeństwa wobec niemieckich rozkazów. Obraz przełożonego Starszeństwa Żydów wstrząsanego łkaniem lub mdlejącego z nerwowego wyczerpania po zażegnaniu wielkim wysiłkiem niebezpieczeństwa grożącego gettu porusza i głęboko zapada w pamięć” – pisze Polit.

Jak podkreśla, o skali trudności wyborów, przed którymi musiał stawać Rumkowski, świadczy m.in. treść jego wypowiedzi z 4 września 1942 roku, zapowiadającej wysiedlenia dzieci i starców do obozu zagłady. „Złamany Żyd stoi przed wami. Nie zazdroście mi. To jest najtrudniejszy ze wszystkich rozkazów, jaki[e] musiałem kiedykolwiek wydać. Wyciągam do was moje złamane, trze-

sące się ręce i błagam: dajcie tym rękom ofiary!” – wołał Rumkowski.

Obwieszczając Żydom hiobową wieść, tłumaczył, że w obliczu niemieckich rozkazów musiał wybrać „mniejsze zło”, choć był świadom tragizmu tej decyzji. Powoływał się jednak na zapewnienia Niemców i przekonywał, że wysiedlenie żydowskich dzieci i starców z getta ocali jego produktywnych mieszkańców. „Muszę przygotować tę trudną i krwawą operację, muszę



Fot.: AIPN

▶ Przygotowanie wysyłki dóbr zagrabionych Żydom z łódzkiego getta do Berlina; na szafie z prawej strony tarcza z dziesięcioma przykazaniami zrabowana z łódzkiej synagogi

odciąć gałęzie, aby ocalić pień. Muszę zabrać dzieci, ponieważ jeżeli tego nie zrobię, inni mogą być także zabrani. – Broń Boże” – mówił w przededniu „wielkiej szpery”.

Wyraźnie nacechowane emocjami słowa Prezesa – tłumaczy Polit – świadczą o jego determinacji w dążeniach do utrzymaniu opłacalności getta dla Niemców za wszelką cenę, nawet za cenę ofiar w ludziach. „W warstwie symbolicznej plan Rumkowskiego miał zaświadczyć wobec – jak się wyrażał – «przedstawiciele władzy» (czyli Niemców) o absolutnej przydatności i produktywności narodu żydowskiego jako takiego, a zatem miał być mocnym argumentem w śmiertelnie poważnym targu o przetrwanie Żydów

z łódzkiego getta” – wyjaśnia autorka biografii Rumkowskiego.

W jej opinii, był on nie tylko sprawnym organizatorem, ale i przywódcą z prawdziwego zdarzenia „stróżem getta”, który nie bał się brać ogromnej odpowiedzialności za życie łódzkich Żydów na swoje barki. Zapewnienie im zatrudnienia uważał za gwarancję nie tylko ich egzystencji, ale także bezpieczeństwa w getcie – jego zaś utrzymanie zmniejszało prawdopodobieństwo kolejnych niemieckich represji. Wszystko to, w warunkach walki o przetrwanie w nieludzkich czasach wojny, stwarzało Żydom stłoczonym w getcie nadzieję na ocalenie.

Świadectwa ofiar Holokaustu na temat Rumkowskiego, choć różnorodne, przynajmniej w części potwierdzają, że jego tragizm wynikał z funkcji, którą sprawował. Uzależniony od Niemców, wbrew swej woli musiał decydować o życiu i śmierci swych rodaków, do końca wierząc w opłacalność getta. Choć ostało się ono najdłużej ze wszystkich gett założonych przez Niemców w okupowanej Polsce, nie doczekało wyzwolenia. Jego ostateczna likwidacja nastąpiła w sierpniu 1944 roku. Niemcy nie oszczędzili nawet Rumkowskiego – wyjechał z Łodzi do Auschwitz ostatnim transportem 29 sierpnia 1944 roku.

Choć brak źródeł nie pozwala na odtworzenie ostatnich chwil życia szefa łódzkiego Judenratu, śmierć Prezesa szybko stała się przedmiotem domysłów i spekulacji. Jedną z wersji wydarzeń, odrzuconą przez historyków i innych badaczy, każe postrzegać fiasco planów Rumkowskiego dotyczących getta jako akt żydowskiej sprawiedliwości dziejowej. Zgodnie z tą wersją, pojechał on do niemieckiego obozu specjalną salonką doczepioną do wagonu kolejowego. Na miejscu mieli oczekiwać na niego żądni zemsty Żydzi, którzy ponoc... własnoręcznie wrzucili znenawidzonego Prezesa do krematoryjnego pieca. ■

Waldemar Kowalski – historyk, dziennikarz

Droga do „Burzy”

Marek Gałęzowski

Mija 70 lat od rozpoczęcia przez Armię Krajową akcji „Burza” – wielkiej operacji, która od początku nie miała szans powodzenia.

Zmiany sytuacji militarnej na froncie wschodnim w 1943 roku, spowodowane klęskami wojsk niemieckich, a w konsekwencji stopniowy odwrót Wehrmachtu z ZSRS i zbliżanie się Armii Czerwonej do ziem polskich, wymuszały na dowództwie Armii Krajowej decyzję o formie wystąpienia zbrojnego przeciw Niemcom. Kierownictwo wojskowe i cywilne Polski Podziemnej znajdowało się w bardzo trudnej sytuacji, gdyż władze sowieckie nie tylko nie utrzymywały już w tym czasie stosunków z rządem polskim na uchodźstwie, lecz – co więcej – odnosiły się wrogo do strony polskiej. Przejawami tej postawy były pretensje terytorialne do ziem wschodnich Rzeczypospolitej, wspieranie komunistów działających w okupowanej Polsce i otwarcie zwalczających legalne władze polskie na uchodźstwie oraz w kraju, a także bezwzględne postępowanie partyzantki sowieckiej wobec obywateli polskich i struktur Polski Podziemnej w województwach północno-wschodnich RP, okupowanych przez Niemców.

Jak i kiedy się bić?

Klęska Francji w czerwcu 1940 roku odsunęła w przyszłość bliskie, jak powszechnie sądzono w okupowanej Polsce, zakończenie wojny. Nie wpłynęła jednak na zmianę priorytetu dowództwa

armii podziemnej, którym było uwolnienie ziem polskich spod okupacji niemieckiej i sowieckiej drogą czynu zbrojnego. O jego rozpoczęciu mieli zdecydować suwerennie sami Polacy. Dowództwo Związku Walki Zbrojnej – poprzednika AK – nie rozważało w ogóle tradycyjnego polskiego dylematu „bić się czy nie bić”, lecz jedynie wybór odpowiedniego momentu wojny do samodzielnego wystąpienia oraz jego charakter.

W pierwszym, opracowanym na początku 1941 roku planie działań, mających na celu oswobodzenie Polski spod okupacji, prognozowano, że między Niemcami a ZSRS wybuchnie wojna, a całość okupowanych ziem polskich znajdzie się pod okupacją niemiecką. Podstawowym założeniem planu było wystąpienie polskiego podziemia przeciw Niemcom w chwili klęski wojennej III Rzeszy. Wystąpienie to miało polegać na skoordynowanym ataku na siły niemieckie stacjonujące w Generalnym Gubernatorstwie i Łódzkiem (ten region został wcielony do Rzeszy) oraz uderzeniu na wybrane cele na Górnym

Śląsku. W kolejnym etapie, przy wsparciu lotniczym aliantów oraz Polskich Sił Zbrojnych z Zachodu, zamierzano zdynamizować działania, przenosząc je na kolejne obszary wcielone do Rzeszy. Na wypadek wkroczenia na ziemie polskie Armii Czerwonej w ślad za wycofującymi się Niemcami, zamierzano kontynuować walkę konspiracyjną. Ten ostatni scenariusz wydarzeń uważano za najmniej prawdopodobny, jakby obawiano się dopuścić możliwość, że trzeba będzie podjąć takie wyzwanie.

Plan ten, noszący nazwę Raport operacyjny nr 54, przesłany 5 lutego 1941 roku rządowi RP na uchodźstwie, dotarł do Londynu trzy dni po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, a więc w zupełnie nowej sytuacji politycznej. O tej pierwotnej koncepcji oswobodzenia ziem polskich spod okupacji należy jednak pamiętać, ponieważ zawierała ona elementy obecne w przyszłych rozważaniach dowództwa ZWZ-AK na ten temat – dążenie do odtworzenia w podziemiu sił zbrojnych o strukturze zbliżonej do *Ordre de Bataille* przedwojennego WP oraz liczenie na pomoc z zewnątrz, bez sprecyzowania, w jaki sposób zostałyby ona udzielona.

Przygotowanie planu zlikwidowania okupacji niemieckiej jesienią 1941 roku mogło się wydawać przedwcześnie: wojska niemieckie i wspierające je dywizje sojusznicze parły na Moskwę, a niemal cała Europa znajdowała się pod okupacją lub dominacją III Rzeszy. Mimo to prace nad planem kontynuowano. Kolejny ich etap zakończył się 8 września 1942 roku, kiedy dowódca AK, gen. Stefan Rowecki, podpisał Plan powstania. Dokument ten dotarł jednak do Londynu dopiero 23 marca 1943 roku. W opracowaniu, którego autorami byli przedwojenni ofi-



cerowie dyplomowani – płk Stanisław Tatar, płk Jan Bokszczanin i mjr Jerzy Kirchmayer – przyjęto, jak w poprzedniej wersji, że odpowiednie warunki do rozpoczęcia jawnej walki z Niemcami nastąpią w momencie klęski wojennej III Rzeszy. Wówczas też powstanie rozpoczęte w GG, po wyzwoleniu centralnych ziem polskich, zostanie rozszerzone na pozostałe obszary RP okupowane przez Niemców (postulat wsparcia AK przez Polskie Siły Zbrojne pozostał w mocy).

Wśród siedmiu podstawowych celów powstania, poza likwidacją okupacji niemieckiej, były m.in. zdobycie na Niemcach wyposażenia wojskowego, odbudowa regularnej armii, współdziałanie AK z cywilnymi strukturami podziemia w odbudowie administracji państwowej, utrzymanie porządku wewnętrznego. Wśród tych celów wymieniono także „przeciwstawienie się zakusom ukraińskim” na Wołyniu i na Kresach Południowo-Wschodnich, w związku z tworzeniem tam (za przyzwoleniem Niemców) licznych ukraińskich oddziałów paramilitarnych. Było to jednak pustosłowie, ponieważ nie tylko nie przygotowano się na możliwość walk, lecz także nie zapewniono ochrony ludności polskiej zagrożo-

nej przez Ukraińską Powstańczą Armię, która zimą na początku 1943 roku dokonała pierwszych masowych mordów na Polakach. Nie zmieniło się to i później, a przedsięwzięta samoobrona była działaniem spóźnionym i zwykle oddolnym, podejmowanym spontanicznie przez zagrożoną ludność oraz lokalne struktury AK. Nie mogła więc zapobiec tragedii Polaków na tym terenie.

Jeszcze jeden listopad

Twórcy planu powstania liczyli z grubsza na powtórzenie scenariusza wydarzeń z 1918 roku, czyli zbliżonego do tego z czasów klęski wojennej zaborców Polski, kiedy to uparty czyn samych Polaków prowadzonych przez Józefa Piłsudskiego zaowocował odzyskaniem niepodległości. Jednak ta wojna nie była powtórką poprzedniej: Francja w 1940 roku poniosła błyskawiczną klęskę; Włochy, podczas I wojny światowej walczące po stronie aliantów, tym razem były sprzymierzone z Niemcami; społeczność międzynarodowa nie protestowała przeciwko zaborom dokonany przez ZSRS latem 1940 roku; wreszcie – ta wojna miała charakter totalny. Kalkulacja opierająca się na tym, że historia



Fot. NAC

▶ Pułkownik Stanisław Tatar

się powtórzy, była więc całkowicie błędna – tym szkodliwsza, że uniemożliwiła przygotowanie odpowiedniej strategii na czas, kiedy na ziemie polskie wkroczy Armia Czerwona, a Wehrmacht nadal nie będzie pokonany.

Premier i Naczelnny Wódz, gen. Władysław Sikorski, w listopadzie 1942 roku, kiedy stosunki między Polską a ZSRS były bardzo chłodne, ale jednak formalnie utrzymywane, opowiadał się za ujawnieniem AK na wyzwolonym przez nią obszarze. W jego przekonaniu świadczyłyby to najlepiej o suwerenności państwa polskiego. Walkę zbrojną

z Sowiecami uznawał za szaleństwo, przekonując, że ujawnione struktury Polskiego Państwa Podziemnego powinny wyraźnie podkreślić pozytywny stosunek do ZSRS jako sojusznika w walce z Niemcami. Była to więc *de facto* zapowiedź planu „Burza”. General Rowcecki odnosił się do tego stanowiska z dużym dystansem, opowiadając się za pozostaniem AK w konspiracji. Przede wszystkim jednak liczył na to, że wojna z Niemcami wyczerpie Sowieców na

▶ Partyzanci mierzą do celu



Fot. NAC

Depesza dowódcy AK gen. Tadeusza Komorowskiego do Naczelnego Wodza PSZ gen. Kazimierza Sosnkowskiego z 19 listopada 1943 roku:

[...] Zarządzenie do „wzmoczonej akcji dywersyjnej” wydaję następujące:

1. „Wzmoczona akcja dywersyjna” otrzymuje kryptonim „Burza”.

2. Cel i zadania „Burzy”:

Podkreślenie naszej woli bicia Niemców i to nawet w wypadku niekorzystnego dla nas stosunku sił, czyli wśród okoliczności niezezwalających na podjęcie powszechnego powstania oraz samoobrona przed wyniszczeniem nas przez wycofujących się Niemców.

3. Wykonanie Burzy

Działania będą polegały na zaciętych nękanii cofających się straży tylnych niemieckich [...] na silnej dywersji na całej głębokości terenu, w szczególności na komunikację. [...]

cyt. za *Armia Krajowa w dokumentach*, t. 3

tyle, że nie będą oni mogli zagrozić niepodległości Polski.

Zrealizowanie celów powstania zależało jednak nie tylko od sprzyjających okoliczności politycznych, na które Polacy mieli minimalny wpływ, lecz także od spełnienia wielu innych, praktycznych warunków. Wśród nich najważniejsze było uzbrojenie oddziałów AK, by mogły nawiązać walkę z silnymi wciąż Niemcami. W lutym 1943 roku było ono daleko niewystarczające i stało się jasne, że bez dostaw broni z zewnątrz armia podziemna nie będzie mogła wykonać postawionych przed nią zadań powstańczych. Jednak

Brytyjczycy nie byli skłonni do znaczącego wsparcia AK, tak jak zresztą nie uczynili tego wobec Polski przed wrześniem 1939 roku. Po zerwaniu stosunków z rządem RP przez ZSRS – co stało się wiosną 1943 roku – pomoc Brytyjczyków dla AK systematycznie malała i nie wpłynęła na jej skalę opinia brytyjskiego Połączonego Sztabu Planowania, według którego polskie podziemie było „najsilniejsze, najlepiej zorganizowane i najbardziej zdeterminowane” w Europie. W praktyce pomoc okazana Polakom sprowadziła się do przekazania takiej ilości broni, by zachować pozory, a może, by starczyło jej do wykonania zadań niezbędnych z punktu widzenia celów wojskowych aliantów. Dużo więcej broni i sprzętu „pompowano” chociażby w grecki ruch oporu, mimo że był on znacznie słabszy od AK.

Niewykonany rozkaz

Zmieniająca się w ciągu 1943 roku sytuacja militarna na froncie oraz pogarszająca się sytuacja polityczna Polski po zerwaniu stosunków dyplomatycznych przez Stalina, wraz z rosnącym

dystansem sojusznika brytyjskiego, musiały zostać uwzględnione w planie powszechnego wystąpienia przeciw Niemcom. 26 października 1943 roku gen. Kazimierz Sosnkowski, po śmierci gen. Sikorskiego nowy Naczelnny Wódz Polskich Sił Zbrojnych, w uzgodnieniu z rządem RP nakazał rozpoczęcie przygotowań do jawnej walki z Niemcami. Jej podjęcie uzależnił jednak od spełnienia kilku warunków. Za najważniejsze uważał podejście wojsk alianckich do granic polskich od zachodu bądź południa, wsparcie działań AK przez lotnictwo sprzymierzonych oraz przekazanie broni i, *last but not least*, przetrzucenie rządu polskiego i Naczelnego Wodza na obszar opanowany przez aliantów. W wypadku gdyby w czasie powstania przeciw okupantom niemieckim na ziemi polskiej wkroczyła Armia Czerwona, a władze sowieckie nadal nie uznawały polskich, rząd polski miał złożyć protest u państw alianckich przeciw naruszeniu suwerenności Polski, a oddziały AK po likwidacji okupacji niemieckiej, lecz w obliczu nowego zagrożenia, miały ponownie przejść do konspiracji.

► Żołnierze oddziału leśnego 1. kompanii samborskiej podczas akcji „Burza” – Okręg Armii Krajowej Stanisławów



Generał Tadeusz Komorowski „Bór”, następca aresztowanego przez Niemców gen. Roweckiego, zakwestionował jednak rozkaz gen. Sosnkowskiego i przedstawił inną koncepcję, której nadał kryptonim „Burza”. Zakładała ona, że tereny polskie będą oswobodzane przez oddziały Armii Krajowej w walce z Niemcami ustępującymi pod naporem Armii Czerwonej. Następnie żołnierze AK, wraz z ujawnionym aparatem administracyjnym Delegatury Rządu RP na Kraj, mieli występować przed dowództwem wojsk sowieckich jako gospodarze ziem polskich. Dowódca AK uzasadniał niewykonanie rozkazu Naczelnego Wodza tym, że ponowne przejście AK do konspiracji nie będzie możliwe, a jej zmagania z Niemcami będą mogły zostać przedstawione przez propagandę sowiecką jako efekt działań prowadzonych przez komunistów. Zdecydowany

na realizację swojego planu rozesał jego wytyczne jako obowiązujące do wszystkich okręgów AK. Miało to uniemożliwić odwołanie „Burzy” przez gen. Sosnkowskiego.

Naczelnny Wódz otrzymał depeszę gen. „Bora” dopiero 2 stycznia 1944 roku. Dwa dni później przedstawił swoje stanowisko premierowi rządu RP na uchodźstwie Stanisławowi Mikołajczykowi. Uważał ujawnienie za „rozpaczliwy poryw całopalny Kraju, mający na celu zadokumentowanie praw Polski do istnienia”, i wzywał rząd, by powrócić do koncepcji z 26 października 1943 roku. Chciał, by alianci zachodni zobowiązali się, że nie uznają żadnych zmian terytorialnych przed zakończeniem wojny i „użyją wszystkich swych wpływów, by zapewnić ludności naszych ziem, zajmowanych przez armie sowieckie, bezpieczeństwo i poszanowanie praw”. Ostrzegwał, że milczenie Zachodu może doprowadzić do walki na dwa fronty lub do próby „zbrojnego powstania – nieste-



Fot. NAC

Depesza Naczelnego Wodza PSZ gen. Kazimierza Sosnkowskiego do dowódcy AK gen. Tadeusza Komorowskiego z 11 stycznia 1944 roku:

Sowiety stoją niezmiennie na stanowisku, że przynależność do Rosji ziem na wschód od linii Molotow–Ribbentrop nie podlega dla nich dyskusji. Jestem przekonany, że na tych terytoriach nie zamierzają oni uznać w żadnych okolicznościach ani nawet praw gospodarza, ani tego, by charakter i zakres działania władzy sowieckiej był określony przez legalne władze polskie. Wreszcie próby wcielenia czy przyłączenia oddziałów Waszych do wojsk Berlinga, są bodaj więcej niż prawdopodobne [...]. Wedle mego zdania, istotnym celem gry Sowieców jest przekształcenie Polski w wasalną republikę komunistyczną lub zgola w XVII republikę sowiecką, na co wyraźnie wskazuje mieszanie się w nasze sprawy wewnętrzne i personalne.

cyt. za *Armia Krajowa w dokumentach*, t. 3

ty **bez broni** [podkr. Sosnkowskiego] na terenie zalanym przez milionowe armie niemieckie”.

Generał Sosnkowski, przebywając w Londynie, nie miał możliwości, by narzucić swoją wolę gen. Komorowskiemu, także i dlatego, że dowódcę AK wsparł Stanisław Mikołajczyk. Premier, nie doceniając skali zagrożenia sowieckiego, zmienił stanowisko rządu z października poprzedniego roku i zaprobował decyzję gen. Komorowskiego, uznając ją za zdecydowanie na wyrost za wolę kraju. Wyrazem nowego stanowiska rządu była depesza przesłana ➤



Fot. NAC

dowódcy AK 18 lutego 1944 roku, w której znalazła się formuła, z którą mieli wystąpić wobec Sowietów przedstawiciele ujawnionych polskich władz wojskowych. Każdemu z nich nakazywano, by wkraczającym Sowietom deklarował, że jest przedstawicielem suwerennych władz polskich, i zapewniał o woli pełnej współpracy z ZSRS „przeciw wspólnemu wrogowi”.

Polacy, podejmując decyzję o formie wystąpienia przeciw Niemcom, nie wiedzieli o postanowieniach konferencji w Teheranie z jesieni 1943 roku. USA i Wielka Brytania zgodziły się wówczas, by Związek Sowiecki zagarnął wschodnie województwa RP. Decyzję z Teheranu początkowo trzymano w tajemnicy, ale zaledwie cztery dni po wspomnianej depeszy rządu premier brytyjski Winston Churchill – nie po raz pierwszy tak dobitnie i obcesowo, lecz po raz pierwszy publicznie – w przemówieniu wygłoszonym w brytyjskim parlamencie uznał pretensje ZSRS wobec polskich ziem wschodnich za uzasadnione. Władze sowieckie, które od dawna nie ukrywały swoich zamiarów w tej sprawie, teraz uzyskały *de facto* wsparcie polityczne drugiego z mocarstw koalicji prowadzącej wojnę z III Rzeszą. Nie wpłynęło to jednak na dalszą politykę rządu RP i dowództwa wojskowego w kraju. W praktyce więc żołnierze AK z województw wschodnich (przeważnie ich mieszkańcy) mieli uderzyć na wojska niemieckie. Te – co prawda – wycofały się już się pod naporem Armii Czerwonej, lecz nadal były bitne i uzbrojone w ciężką broń, której AK nie miała w ogóle. Wobec wojsk sowieckich zaś kazano wystąpić żołnierzom AK w roli gospodarza, mimo bardzo dużego prawdopodobieństwa, że zamierzają one pozostać na ich ziemi na stałe.

Niechciany sojusznik

Dowódca AK i oficerowie z jego najbliższego otoczenia, decydując się na realizację planu „Burza”, wbrew stanowisku Naczelnego Wodza i pierwotnej opinii rządu, podjęli decyzję suwerenną. Nie kierowali się naciskami z zewnątrz

czy prowokacją wewnętrznego agentury. Mimo że byli świadomi dotychczasowej polityki sowieckiej wobec Polski, plan „Burza” miał być nie tylko kolejnym wyrazem dobrej woli Polaków wobec ZSRS, lecz przede wszystkim manifestacją podkreślającą prawo Polski – pierwszego państwa w Europie, które stawilo opór III Rzeszy Niemieckiej – do niepodległości i integralności państwowej. Zdając sobie sprawę z możliwości niekorzystnego rozwoju wypadków, co przewidział gen. Sosnkowski, dowództwo AK liczyło mimo wszystko na to, że ewentualne represje przeciwko ujawniającym się żołnierzom podziemnego wojska i administracji spotkają się z protestem zarówno władz polskich na uchodźstwie, jak i zachodnich aliantów. Było to jednak mylne przypuszczenie, oparte jedynie na przeczcuciu, gdyż żadnych gwarancji w tej sprawie rząd polski nie otrzymał. Żadne przesłanki nie wskazywały też na to, że jawne wystąpienie Polaków – manifestujących prawo do niepodległego bytu – i deklaracje przyjaznego stosunku do Sowietów spotkają się z inną reakcją niż prześladowania i likwidacja struktur Polskiego Państwa Podziemnego, bynajmniej nie tylko w okręgach wschodnich.

Wojska sowieckie przekroczyły przedwojenną granicę Rzeczypospolitej 4 stycznia 1944 roku, w pobliżu Sam na Wołyniu. W drugiej połowie marca 27. Wołyńska Dywizja Piechoty – największa odtworzona jednostka AK – przystąpiła do wykonania „Burzy”. Początkowo samodzielnie, potem wspólnie z wojskami sowieckimi, prowadziła walki z Niemcami w rejonie Kowla, której to współpracy władze ZSRS oficjalnie zaprzeczyły. Polska dywizja w czasie zmagania poniosła ciężkie straty – zginął m.in. jej dowódca, płk Jan Wojciech Kiwerski „Oliwa”. Porażka „Burzy” na Wołyniu i nieudana próba współpracy z Sowietami były kolejnym dowodem rzeczywistych intencji ZSRS wobec Polaków. Kiedy w drugiej połowie czerwca 1944 roku „Burza” rozpoczęła się w innych okręgach AK, wszędzie – czy było to Wilno, Lwów czy Lublin – powtarzał się podobny scenariusz: bohaterki bój AK

z przeważającymi siłami niemieckimi, znaczone lokalnymi sukcesami, czasami we współpracy z Sowietami, ujawnienie legalnych władz i wojska, represje sowieckie w postaci aresztowań, masowych wywózek na wschód, a nierzadko mordów na żołnierzach podziemnej armii, mimo że nigdzie nie występowali oni przeciw zajmującym ziemi polskie Sowietom.

Daremne ostrzeżenia

Decyzję o akcji „Burza” podjęli dowódca AK gen. Komorowski i jego najbliższe otoczenie. Odpowiedzialność rządu i jego przedstawicielstwa w kraju polegała na tym, że ją zaaprobowali, przechodząc do porządku nad groźbą ze strony sowieckiej. Tymczasem przedstawiała ona dotyczyć już tylko kształtu granicy wschodniej Polski, a zaczęła – jej niepodległości. Stale ostrzegali przed tym narodowcy i piłsudczycy. Ci ostatni w piśmie „Polska Walczy”, w drugiej połowie lipca 1944 roku, zawarli dramatyczne przesłanie: „Wołamy na cały świat: Rosja atakuje Polskę! Zbliża się chwila straszliwych doświadczeń polskiego narodu walczącego o swą wolność. Do Polski ma wkroczyć sowiecka Targowica i w oparciu o rosyjskie bagnety dokonać dzieła podboju Polski na rzecz Rosji. Zbliża się chwila sowieckiej okupacji wszystkich polskich ziem”. Ani jednak złe doświadczenia, ani ostrzegawcze głosy płynące z własnych szeregów, nie wpłynęły na zmianę decyzji władz polskich i dowództwa AK, które walkę z Niemcami, niezależnie od niekorzystnych dla Polski zmian w sytuacji międzynarodowej, uznawały za dogmat, nie znalazły natomiast skutecznych środków obrony niepodległości przed Sowietami. Ci zaś, jeszcze w czasie trwania „Burzy”, z bezwzględną konsekwencją zaczęli tworzyć komunistyczne struktury władzy, które kilka miesięcy później przemocą narzucili Polakom. ■

dr Marek Gałęzowski – historyk, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN, koordynator Centralnego Projektu Badawczego BEP „Ziemia polskie pod okupacją 1939–1945”, autor książek poświęconych najnowszej historii Polski; ostatnio opublikował monografię *Przeciw dwóm zaborcom. Konspiracja piłsudczykowska w kraju w latach 1939–1947* (2013)

Zatrzymać „Wolną Polskę”

Janusz Wróbel

W połowie lat pięćdziesiątych z Ameryki do Europy wyruszył statek pod banderą z orłem w koronie. Wściekli komuniści w Warszawie nie mieli pomysłu, jak temu zaradzić.

W połowie grudnia 1955 roku na biurka Bolesława Bieruta, Jakuba Bermana i Józefa Cyrankiewicza, najwyższych wówczas dostojników Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, trafiła krótka depecha ambasadora PRL w Londynie Eugeniusza Milnikiela. Dyplomata informował, że w następnym miesiącu firma żegluga Pulaski Transport Line ma przejąć w Stanach Zjednoczonych statek, który z polską załogą i pod nazwą „Wolna Polska” pływać będzie na szlaku atlantyckim między Ameryką a Europą. Kapitanem statku miał zostać Jan Ćwikliński. Szyfrogram Milnikiela zwracał uwagę na jeszcze jeden istotny szczegół planowanego przedsięwzięcia: na maszcie „Wolnej Polski” łopotać miała flaga armatora przypominająca przedwojenną

banderę Polskiej Marynarki Handlowej. Dwa równoległe białe pasy miał przebiegać pas czerwony, na którego tle planowano umieścić białego orła w koronie. Co więcej, mundury oficerów i marynarzy miały być wzorowane na polskich przedwojennych uniformach.

„Dezerterski” wchodzi na pokład Przywódcy PRL nie mogli mieć wątpliwości, że chodzi o przedsięwzięcie o wyraźnie antykomunistycznym wydźwięku. Podejrzewali, że przez użycie nazwy „Wolna Polska” właściciele Pulaski Transport Line chcą przypomnieć światu o zniewoleniu narodu polskiego, który od dziesięciolecia musiał znosić krwawą komunistyczną dyktaturę, narzuconą Polsce przez Stalina pod koniec II wojny światowej.

Nazwisko Jana Ćwiklińskiego również prowadziło do jednoznacznych skojarzeń. Ten wybitny kapitan



► Kapitan Jan Ćwikliński

żeglugi wielkiej przez kilka powojennych lat dowodził liniowcem pasażerskim m/s „Batory”, flagowym statkiem Polskiej Marynarki Handlowej. W roku 1953 Ćwikliński zszedł ze statku w porcie Newcastle i poprosił o azyl polityczny w Wielkiej Brytanii. Jego „dezercję” władze próbowały zataić przed społeczeństwem, ale nie mogło się to udać, gdyż do kraju docierały wiadomości z Zachodu na falach Radia Wolna Europa i BBC. W wywiadach Ćwikliński podkreślał, że do porzucenia mostka kapitańskiego skłoniła go obawa przed aresztowaniem i panująca w Polsce atmosfera policyjnego terroru.

Władze PRL od chwili, gdy dotarła do Polski depecha Milnikiela, podjęły starania, aby „Wolna Polska” nie pojawiła się w europejskich portach. Przede wszystkim starano się zdobyć jak najwięcej informacji o tym, kto jest inspiratorem i realizatorem pomysłu wysłania na morskie ►

► „Wolna Polska” zacumowana prawdopodobnie w jednym z europejskich portów, ok. 1957 roku





► Kapitan Ćwikliński (w środku) na pokładzie statku „Batory” podczas rejsu do Stanów Zjednoczonych

szlaki statku o tak „provokacyjnej” nazwie. Od tego zależał wybór sposobów przeciwdziałania tej inicjatywie.

Za głównego pomysłodawcę powołania polskiej „emigracyjnej floty handlowej” uznano w Warszawie kapitana Jana Ćwiklińskiego, który zresztą mówił o tym otwarciu w wywiadach udzielanych prasie amerykańskiej. Jego plan miał się spotkać z poparciem Kongresu Polonii Amerykańskiej, który najprawdopodobniej pośredniczył pomiędzy pomysłodawcą a kręgiem polonijnego biznesu.

Wynalazca, prawnik, kapitan

Jeszcze przed końcem 1955 roku z ambasady PRL w Waszyngtonie napłynęły pierwsze informacje o właścicielach Pulaski Transport Line, Inc. Okazało się, że byli nimi Frank N. Piasecki, Feliks Piekarski, Walter L. Guzewicz i Artur L. von Górski.

Bez wątpienia najwybitniejszą postacią w tym gronie był Frank Piasecki, Amerykanin polskiego pochodzenia, urodzony w 1919 roku w Filadelfii.

Na tamtejszym uniwersytecie ukończył lotnicze studia inżynierskie, a potem pracował na odpowiedzialnych stanowiskach w fabrykach samolotów. Był jednym z najzdolniejszych wynalazców w dziedzinie lotnictwa. W 1943 roku – jako drugi Amerykanin po Igorze Sikorskim – odbył lot na helikopterze własnej konstrukcji. Miał ogromny udział w zaprojektowaniu i produkcji ciężkich helikopterów z serii HRP, których masowo używały amerykańskie siły zbrojne. To m.in. dzięki Piaseckiemu Amerykanie uzyskali przewagę technologiczną nad Związkiem Sowieckim, co umożliwiło powstrzymanie jego ekspansji politycznej. Dodać trzeba, że Piasecki odnosił wielkie sukcesy również jako przedsiębiorca. Był założycielem i prezesem firm Piasecki Helikopter Corp. i Piasecki Aircraft Corp. Był dumny ze swego polskiego pochodzenia, działał w wielu polonijnych stowarzyszeniach, m.in. w Kongresie Polonii Amerykańskiej.

Frank Piasecki był głównym udziałowcem PTL, ale było oczywiste, że

wkraczając na nowe pole działalności gospodarczej, musiał mieć pomocników lepiej przygotowanych zawodowo do prowadzenia linii żeglugowej. Prezesem firmy był Walter L. Guzewicz, również specjalista w dziedzinie lotnictwa, przez kilka lat główny inżynier w zakładach Piaseckiego. Później pracował na kierowniczych stanowiskach w innych dużych firmach.

Wiceprezesem był prawnik Feliks Piekarski, mający za sobą praktykę w kancelariach adwokackich oraz na stanowiskach w administracji miejskiej Filadelfii i stanu Pensylwania. Udzielał się też w organizacjach polonijnych. Sekretarzem Pulaski Transport Line został Artur L. von Górski, dyrektor dużej amerykańskiej firmy produkującej kasy pancerne, a kierownikiem biura i inspektorem – Jerzy Prokulski, doświadczony kapitan marynarki handlowej, który jeszcze przed wojną dowodził dużymi statkami (m.in. „Lwów”, „Warszawa” i „Lech”), miał też doświadczenie na innych stanowiskach, m.in. jako inspektor Towarzystwa Żeglugowego Gdynia–Ameryka.

Dyplomatom PRL w Waszyngtonie udało się ustalić, że kapitał zakładowy firmy pochodzi bezpośrednio od właścicieli i wynosi 0,5 mln dolarów. Podejrzewano jednak, że może być ona subwencjonowana z innych źródeł, choć nic konkretnego na ten temat nie zdołano ustalić.

„Błogosławieństwo” Andersa

Nietrudno było się zorientować, w jakim celu założono Pulaski Transport Line, gdyż szeroko wypowiedział się na ten temat kapitan Jan Ćwikliński w obszernym wywiadzie, nadanym 2 stycznia 1956 roku przez Radio Wolna Europa. Treść tej rozmowy znamy dzięki serwisowi nasłuchu Polskiego Radia, który dostarczał materiałów bezpiecze i partyjnym dygnitarzom. Kapitan Ćwikliński, pytany o cel założenia PTL, odpowiedział: „[...] głównym celem założenia pierwszej polskiej linii okrętowej było danie możliwości pracy na morzu naszym marynarzom [...], którzy nie powrócili do Polski [...] następnie danie możliwości pracy tym, którzy flotę reżimową porzu-

cili, szukając wolności na Zachodzie”. W dalszej części wywiadu stwierdził, że chodzi również o osiągnięcie celu politycznego i propagandowego, w tym przede wszystkim o ukazanie światu, iż istnieje niezależna polska linia żeglugaowa, nawiązująca do tradycji marynarki handlowej suwerennej Rzeczypospolitej z lat 1918–1939. Zapowiedział ponadto, że na statku „Wolna Polska” będzie male muzeum morskie z pamiątkami ukazującymi osiągnięcia polskiej floty z poprzednich dziesięcioleci.

Pytany o załogę statku, odpowiedział, że zwrócił się w tej sprawie do związku byłych oficerów Polskiej Marynarki Handlowej i w porozumieniu z nim dokonał wyboru właściwych ludzi. Załogę stanowić miało dwudziestu polskich marynarzy i oficerów ze Stanów Zjednoczonych oraz osiemnastu z Wielkiej Brytanii. Wśród nich mieli być marynarze, którzy zeszli z pokładów statków i poprosili o azyl na Zachodzie. Byli to m.in. członkowie załóg trawlera „Puszczyc” i transatlantyku „Batory”. Starszym oficerem na „Wolnej Polsce” miał zostać kapitan Hilary Mikosza, wslawiony wyprowadzeniem w sierpniu 1940 roku statku s/s „Cieszyn” z kontrolowanego przez kolaborancki francuski rząd Vichy portu w Kaolacku (Francuska Afryka Zachodnia) i doprowadzeniem go do portu brytyjskiego. Po wojnie wrócił do kraju,

ale – podobnie jak Ćwikliński – zorientowany się w panujących tu stosunkach, opuścił swój statek w jednym z zachodnich portów.

Polityczny cel przedsięwzięcia stał się jeszcze bardziej wyraźny po spotkaniu jeszcze bardziej wyraźny po spotkaniu Ćwiklińskiego i grupy osiemnastu marynarzy z gen. Władysławem Andersem w Instytucie gen. Sikorskiego w Londynie. Generał, cieszący się niepodważalnym autorytetem wśród emigracji politycznej, a do tego zdecydowany przeciwnik komunizmu, dał przedsięwzięciu swoje „błogosławieństwo”.

27 grudnia 1955 roku kapitan Ćwikliński razem z kilkunastoma marynarzami odleciał z Londynu do Stanów Zjednoczonych i przygotowania do pierwszego rejsu nowej linii żeglugaowej wkroczyły w ostatnią fazę. Pierwszym, i na razie jedynym, statkiem PTL miał być parowiec „Wolna Polska”, poprzednio noszący nazwę „George W. Kendall”. Statek został wydzierzawiony od firmy Cambridge Steamship Corporation. Była to jed-

nostka typu Liberty – szybko i masowo budowanego podczas II wojny światowej w stocznjach amerykańskich, aby uzupełnić straty spowodowane atakami niemieckich U-Bootów. Wyporność Liberty wynosiła 14 100 ton, napędzane były maszynami parowymi o mocy 2500 KM, co pozwalało rozwinąć prędkość 11 węzłów. W pięciu ładowniach mogły przewozić ponad 9 tys. ton drobnicy lub ładunków masowych.

Burmistrz, kongresman, nuncjusz

W połowie stycznia 1956 roku w Nowym Jorku odbyła się uroczystość poświęcenia statku i podniesienia flagi. Według relacji dyplomatów PRL, wzięło w niej udział ok. 2 tys. osób, w tym wielu prominentnych polityków amerykańskich i polonijnych. Obecny był m.in. burmistrz Nowego Jorku Robert F. Wagner, kongresman Tadeusz Machrowicz z Michigan i prezes stanowego wydziału Kongresu Polonii Amerykańskiej Franciszek Nowoter. Wydarzenie szeroko relacjonowała prasa polonijna.

„Wolna Polska” przeznaczona była do żeglugi trampingowej, bez ustalonego z góry planu przewozów, dostosowując się do zamówień klientów. Pierwszy rejs ▶

▶ Powitanie polskiego transatlantyku „Batory” w Gdyni, 4 maja 1947 roku



statek odbył w styczniu 1956 roku, przevoząc węgiel z Ameryki do włoskiego portu Genua. Przybycie do dużego europejskiego portu tego niezwykłego statku stało się swego rodzaju sensacją. Na powitanie przybyli przedstawiciele duchowieństwa i polskich organizacji uchodźczych działających we Włoszech. Nie zabrakło przedstawicieli tamtejszych władz, fotoreporterów i dziennikarzy miejscowej prasy. Wejście do portu „Wolnej Polski” sfilmowane zostało przez włoską kronikę filmową. Kapitan Ćwikliński wydał na statku przyjęcie dla dziennikarzy oraz prominentnych przedstawicieli władz i polskiej diaspory.

Dobre przyjęcie spotkało „Wolną Polskę” w jednym z kolejnych rejsów do hiszpańskiej Walencji. Miejscowe władze, nastawione zdecydowanie antykomunistycznie, powitały polski statek wręcz z entuzjazmem. Burmistrz wręczył kapitanowi Ćwiklińskiemu symboliczne klucze do miasta, a załoga została przyjęta na specjalnej audyencji przez nuncjusza papieskiego w Hiszpanii.

Towarzysze francuscy, na pomoc!

Władze w Warszawie śledziły rejsy „Wolnej Polski” ze wzrastającą irytacją, zdając sobie sprawę z tego, że przynoszą one szkody wizerunkowi PRL, uświadamiając zachodniej opinii publicznej, że państwo nad Wisłą jest krajem niesuwerennym i opresyjnym. Bolesne dla komunistycznych dygnitarzy było również przypomnienie zasług polskich lotników, żołnierzy i marynarzy w latach II wojny światowej oraz działalności rządu RP na uchodźstwie, wciąż uważanego przez polską diasporę za jedyne prawowitego reprezentanta narodu polskiego.

Komuniści polscy nie zamierzali jednak biernie przyglądać się rejsom „Wolnej Polski”. Zastanawiano się, w jaki sposób unieruchomić statek polonijnego armatora lub przynajmniej ograniczyć propagandową działalność kapitana Ćwiklińskiego i jego załogi. Zadanie to wydawało się tym pilniejsze, że z Ameryki dochodziły sygnały, iż PTL przygotowuje się do wydzierzawienia

kolejnego statku i przyjmuje już podania od starających się o pracę polskich marynarzy.

W Warszawie postanowiono działać na kilku polach jednocześnie: dyplomatycznym, prawnym i handlowym, nie zaniedbując kontrakcji propagandowej.

Przede wszystkim korzystano z pomocy zachodnich partii komunistycznych, silnych zwłaszcza we Włoszech i Francji. Chodziło o to, aby włoscy lub francuscy dokerzy, członkowie komunizujących związków zawodowych, odmówili rozładunku „Wolnej Polski”, co musiało narazić armatora na poważne straty. Podejmowane z inspiracji polskich władz wysiłki w tym kierunku odniosły niewielki skutek. Nie udało się w ten sposób na dłużej unieruchomić „Wolnej Polski”. Wiadomo, że w porcie Le Havre demonstrujący pod czerwonymi flagami francuscy komuniści zablokowali na pewien czas nabrzeże, przy którym cumowała „Wolna Polska”, uniemożliwiając rozładunek, ale ostatecznie parę dni później blokadę usunięto.

Na niewiele zdały się również protesty dyplomatyczne. Według planu opracowanego w Warszawie, ambasada PRL w Waszyngtonie miała złożyć skargę do władz amerykańskich, że towarzystwo transportowe mające siedzibę w Stanach Zjednoczonych używa na swej fladze godła Polski, co miało stać w sprzeczności z postanowieniami Międzynarodowej Konwencji o Ochronie Własności Przemysłowej, zabraniającej państwom sygnatariuszom rejestracji znaku towarowego lub handlowego, którego elementem byłoby godło innego państwa.

W końcu czerwca 1956 roku polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych wyśtosowało w tej sprawie notę dyplomatyczną do rządu amerykańskiego, ale odpowiedź, która nadeszła dwa miesiące później, nie mogła usatysfakcjonować jej adresatów. Amerykanie, odpowiadając na zarzuty strony polskiej, stwierdzili, że nie mogą wydać zakazu używania flagi, ponieważ „statek »Wolna Polska«, chociaż został wynajęty przez amerykańską firmę Pulaski Transport Line, stanowi własność panamskiej spółki akcyjnej Cambridge

Steamship Corporation i jest zarejestrowany na podstawie praw Liberii”. Odrzucili też twierdzenia władz polskich, że w tym konkretnym przypadku mają zastosowanie zapisy wspomnianej konwencji, tłumacząc, że „flaga okrętowa nie jest znakiem fabrycznym, ponieważ nie jest używana w związku z towarami i wyprodukowanymi dobrami. Nie jest również znakiem handlowym, ponieważ nie jest używana dla zidentyfikowania usług [...], lecz jedynie dla zidentyfikowania statku, który pod nią pływa”.

W Warszawie stało się jasne, że Waszyngton ani myśli zastosować jakiegokolwiek restrykcje, które mogłyby zagrozić inicjatywie Franka Piaseckiego i jego kolegów.

Ostatni rejs

A jednak kilka miesięcy później, wiosną 1957 roku, na „Wolnej Polsce” opuszczono biało-czerwoną flagę, a sam statek powrócił do dawnej nazwy. Stało się tak jednak nie za sprawą kolejnej interwencji peerelowskiego MSZ, lecz głębokich zmian politycznych, jakie dokonały się w Polsce.

Polski Październik 1956 roku i związana z tym wymiana przywództwa partyjnego, uwolnienie i rehabilitacja wielu więźniów politycznych oraz ogólna liberalizacja życia społecznego w kraju, obudziły nadzieję emigracji, że Polska zmierza, powoli acz nieuchronnie, ku demokracji. W tych warunkach kontynuowanie przedsięwzięcia – zdaniem kapitana Ćwiklińskiego – traciło sens. Wpływ na decyzję o nieprzedłużaniu umowy dzierżawnej z właścicielem „Wolnej Polski” miały też najpewniej wysokie koszty eksploatacji wysłużonego statku.

„Wolna Polska” była tylko epizodem w dziejach polskiej marynarki handlowej, ale rozgłos, który towarzyszył jej rejsom, nie pozwalał zapomnieć Zachodowi o wolnościowych aspiracjach Polaków. 🇵🇱

dr hab. Janusz Wróbel
– historyk, pracownik Oddziałowego
Biura Edukacji Publicznej IPN w Łodzi;
ostatnio wydał: *Polonia chicagowska
w dobie Solidarności (1980–1989)*
(2012)



Solidarność w sądzie

Tomasz Kozłowski

Do niezależnych związków zawodowych zapisywali się wszyscy, łącznie z milicjantami, prokuratorami, pracownikami MON. Komunistów jednak szczególnie irytowali zbuntowani sędziowie.

Fot. PAP

Teresa Thiel-Ornass zaczynała swoją sędziowską karierę w latach siedemdziesiątych w Zielonej Górze. W 1975 roku pierwsze kroki stawiała w Sądzie Rejonowym, gdzie przez kolejnych pięć lat poznawała tajniki swojego rzemiosła, w tym jedną złotą zasadę – kluczem do właściwej pracy jest podległość aparatowi partyjnemu. Do dziś pamięta, że częścią codziennej rutyny był widok przewodniczącej wydziału, która wychodząc w południe z sądu, rzuciła „idę do komitetu”. Nikt nie pytał, do jakiego, bo było oczywiste, że chodzi o Komitet Wojewódzki Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Sześć lat później, zgodnie z głosami większości sędziów, na prezesa Sądu Wojewódzkiego w Gdańsku wybrano Zbigniewa Szczurka. – Składając gratulacje, życzyliśmy mu, aby ścieżki do KW PZPR zarosły trawą – wspomina Thiel.

Długie trwanie

Komuniści, od momentu przejścia władzy w Polsce, wiedzieli, że kontrola nad sądownictwem jest jednym z elementów niezbędnych do skutecznego i długotrwałego rządzenia. Dzięki wpływo-

► Proces sprawców zabójstwa księdza Jerzego Popiełuszki; składowi sędziowskiemu przewodniczy prezes Sądu Wojewódzkiego Artur Kujawa; z prawej – pełnomocnicy oskarżycieli posiłkowych: Edward Wende, Jan Olszewski, Andrzej Grabiński; Toruń, 22 stycznia 1985 roku

wi na przebieg śledztwa, rozprawy oraz sentencję wyroku, dokonywano zabójstw w białych rękawiczkach. Sprawców tzw. zbrodni sądowych z tamtych czasów ściga się do dziś.

Skala bezprawia była tak wielka, że po 1956 roku przystąpiono do weryfikacji kadr sędziowskich. Sędzia Józef Waszkiewicz, członek aktywu partyjnego Najwyższego Sądu Wojskowego, tłumaczył wtedy, że „słowa »winien jest system« stanowią dzisiaj punkt wyjścia dla sprawców [...] System, proszę towarzyszy, nie spada z nieba, system tworzą ludzie. Ich rolę w systemie da się ustalić, mimo że strach zagroził im drogę do samokrytyki”. Na deklaracjach i chęciach jednak się skończyło.

Biuro Polityczne Komitetu Centralnego PZPR, za pośrednictwem Wydziału Administracyjnego KC, kierowało działalnością sądownictwa i ją nadzorowało, dyktowało też kształt polityki karnej. Adam Strzembosz, sędzia i członek Solidarności, wspominał, że za Gomułki i Gierka stosowano pozytywizm prawniczy – system wyzuty z moralności i eli-

minujący możliwość swobodnej oceny sprawy przez sędziego – a orzecznictwo polegało na ścisłym stosowaniu się do litery kodeksu. Z rozbrajającą szczerością przyznał to w 1981 roku w czasie posiedzenia kolegium Ministerstwa Sprawiedliwości wiceminister Józef Mikos, który skwitował dekadę Edwarda Gierka: „Nie ma wizji, jak ma wyglądać polityka karna. Apelowaliśmy do prezesów sądów o dyskusję na ten temat. Do 1980 roku polityka była określana przez organy partyjne – uchwały i dyrektywy: zaostrzyć kary. My to przenosiliśmy w teren”.

Królowały biurokracja i statystyka. W sądownictwie powszechnym prawie co trzeci sędzia był pracownikiem funkcyjnym. To oni musieli dbać o wydajność swoich podwładnych: „Młodzi sędziowie wiedzą, że najważniejsza dla kariery jest ocena ich pracy przez administrację, ocena sformalizowana. Dobry sędzia to ten, który szybko wydaje wyroki – pisała w 1981 roku Joanna Strzelecka, dziennikarka »Tygodnika

Mazowsze« specjalizująca się w problematyce prawnej. – Sędzia jest oceniany za ilość załatwionych spraw, »zgodny« charakter, działalność społeczno-polityczną i szybko zapomina o tym, że wątpliwości zawsze winny przemawiać na korzyść oskarżonego, że wyroki mają być zawsze zgodne z jego sumieniem».

Prawo, przepisy i wytyczne mogły się zmieniać. Niezmienna musiała być lojalność środowiska sędziowskiego. W tym duchu szkolono kolejne pokolenia aplikantów. System wydawał się dość stabilny. Jednak pewne rzeczy się zmieniały. Mimo że większość sędziów na kierowniczych stanowiskach stanowili ludzie lojalni wobec aparatu partyjnego, to jednak w latach siedemdziesiątych nadchodziła zmiana pokoleniowa wśród sędziów niższego szczebla. W latach 1980–1981 okazało się, że kręgosłupem Solidarności pracowników wymiaru sprawiedliwości stali się w sporej części sędziowie młodszy, z krótszym stażem. Minister sprawiedliwości Jerzy Bafia ocenił, że „działacze związkowi [...] są ludźmi bardzo młodymi, o jeszcze niedużym doświadczeniu w resorcie”. Miał rację, to byli ludzie, którzy nie przeszli jeszcze szkoły komunistycznego sądownictwa i czuli się pokrzywdzeni przez panujące w sądach układy.

O chleb i niezależność

Zacząło się w Gdańsku. Po podpisaniu Porozumień Sierpniowych to właśnie Wybrzeże było centrum działalności niezależnych związków zawodowych. W październiku w budynku gdańskiej Solidarności spotkała się grupa sędziów i pracowników sądowych z całego kraju. Powołali oni do życia Krajową Komisję Koordynacyjną Pracowników Wymiaru Sprawiedliwości „Solidarność”.

Powstanie takiego związku zaniepokoiło prezesów sądów wojewódzkich i kierownictwo Ministerstwa Sprawiedliwości. Prezes Sądu Wojewódzkiego w Gdańsku tłumaczył: „W Gdańsku odbyło się zebranie Komisji Koordynacyjnej reprezentującej interesy pracowników naszego resortu zrzeszonych w Solidarności z siedzibą w Gdańsku. Są to okręgi: Elbląg, Szczecin, Wrocław, Kraków i Gdańsk. U mnie w okręgu grupa ta liczy ok. 180 osób. Są wśród nich sędziowie. Ja tej grupy nie mogę nie dostrzegać”. Popierał go zaniepokojony kolega z Górzowa Wielkopolskiego: „Solidarność jest w ofensywie [...] Zabrałem głos na tym spotkaniu [ze związkowcami] i powiedziałem, że nie możemy strajkować, porównałem naszą pracę do pracy służb zdrowia, straży pożarnej. Przedstawiciel Solidarności stwierdził, że strajkować za nas będzie Ursus i Stilon”.

Władze obawiały się zmian, które postulowali związkowcy. Nie dość, że domagali się poprawy warunków pracy i płacy, to jeszcze mieli plany reformy działalno-

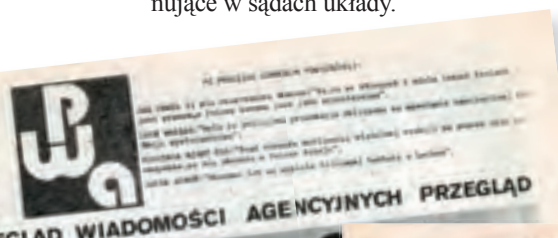
ści sądów. W liście wysłanym do ministra sprawiedliwości żądali: znowelizowania prawa o ustroju sądów powszechnych, wybierania prezesów oraz wiceprezesów przez samorząd sędziów, powoływania prezesów Sądów Rejonowych spośród kandydatów przedstawionych przez samorząd sędziowski, powoływania sędziów Sądu Najwyższego na czas nieokreślony. Wszystkie te żądania były podporządkowane jednemu nadrzędnemu celowi – realnemu uniezależnieniu sędziów od nacisków i wzmocnieniu samorządu.

NSZZ Pracowników Wymiaru Sprawiedliwości „Solidarność” cały czas pozyskiwał zwolenników, zapisywali się do niego sędziowie i pracownicy administracyjni zatrudnieni w wymiarze sprawiedliwości. Nie był to jednak jedyny związek działający w sądach. W tym samym czasie co Solidarność powstał tzw. związek autonomiczny pod nazwą NSZZ Pracowników Wymiaru Sprawiedliwości. Nazwy takie same, z wyjątkiem jednej symbolicznej różnicy – słowa „Solidarność”.

Adam Strzembosz pisał, że pod koniec października, kiedy w Poznaniu miał miejsce zjazd związku solidarnościowego, jednocześnie zjechali tam ludzie zakładający związki autonomiczne: „[...] delegaci na konferencję podzielili się na dwie części. Ci, którzy przeszli na salę, gdzie obradowała Krajowa Komisja Koordynacyjna Pracowników Wymiaru Sprawiedliwości NSZZ »Solidarność«, po powrocie do swych macierzystych sądów stali się propagatorami tego związku w sądownictwie i ministerstwie”. Ci drudzy działali w związku autonomicznym, wspieranym przez władze jako przeciwwaga dla Solidarności.

Gdzie dwóch się bije...

W stosunkowo niedługim okresie popularność obu związków rozłożyła się dość równomiernie. W drugiej połowie listopada przynależność do Solidarności deklarowało co najmniej 1600 osób, do związków autonomicznych ok. 1200. W marcu 1981 roku w resorcie pracowało ok. 21 tys. osób, z czego do Solidarności należało ok. 10 tys. (w tym 978 sędziów i asesorów), a do



związku autonomicznego prawie 6 tys. (1626 sędziów i asesorów).

Rozkład popularności między poszczególne związki pozwolił kierownictwu Ministerstwa Sprawiedliwości na lawirowanie w negocjacjach. Rozmowy z władzami rozpoczęły się już w listopadzie. Oba związki zawodowe (Solidarność i autonomiczny) zażądały podwyżek wynagrodzeń średnio o tysiąc złotych. Ministerstwo wołało rozmawiać na tematy finansowe, niż poruszać kwestie reform systemowych. W sprawach zmiany obowiązującego prawa negocjacje wyraźnie kulały. Wkrótce znalazły się w impasie, który przerwał dopiero Adam Strzembosz, oświadczając, że „społeczeństwo polskie wysoko ceni sobie podstawowe imponderabilia: wolność, godność osobistą i swobody obywatelskie [...] sprawy płacowe są tu pięciorzędne [...] problemy samorządności sędziowskiej i związana z tym niezawisłość sędziowska powinny być rozstrzygnięte w tym resorcie i w tym budynku [...] Obecnie będziemy musieli mówić [o tym głośno]. Będziemy społeczeństwu tłumaczyć”.

To oświadczenie właściwie skończyło rozmowy. Kadra kierownicza sądów wojewódzkich, Ministerstwo Sprawiedliwości oraz Wydział Administracyjny KC PZPR były zdecydowanie przeciwne zwiększaniu uprawnień samorządu. Minister Jerzy Bafia pomstował: „związek branżowy starał się utrzymać w postulatach w ramach działalności związkowej. Solidarność natomiast podejmuje sprawy, które są nie do załatwienia [...] wydaje się, że bardziej chodzi tu o konflikt niż o porozumienie [...] prowokują do kolidacji z Sądem Najwyższym, z Prokuraturą”.

W sytuacji zaostrzającego się konfliktu ministerstwo zdecydowało się na manewr taktyczny: 11 lutego 1981 roku minister podpisał porozumienie ze związkami autonomicznymi, uznając je tym samym za jedyne reprezentanta środowiska. Umowa regulowała kwestie finansowe, socjalne i organizacji pracy. Do kwestii reform systemowych przywiązywano mniejszą wagę. W dalszej

perspektywie wspieranie przez ministerstwo autonomicznego związku zawodowego nie przyniosło jednak skutków pozytywnych z punktu widzenia władzy. Według opracowanego na początku 1982 roku raportu Ministerstwa Sprawiedliwości: „[...] związek ten zawiódł pokładane nadzieje. Jego kierownictwo, licytując się z Solidarnością, wysuwało nierealne żądania w zakresie socjalno-bytowym i samorządowym. Maksymalistyczne żądania kierownictwo tego związku uzgadniało z NSZZ »Solidar-

owników wymiaru sprawiedliwości, Lecha Wałęsa przedstawił jako oficjalne stanowisko władz krajowych Solidarności do negocjacji z rządem. W czasie tych rozmów stronę związkową reprezentował zespół do spraw praworządności, kierowany przez Zbigniewa Bujaka, szefa mazowieckiej Solidarności. W gremium tym znalazł się też Adam Strzembosz. Pod drugiej stronie stołu zasiadł minister sprawiedliwości.

W ramach pracy zespół Solidarności próbował przerwować m.in. pomysły



Fot. Zbigniew Matuszewski/PAP

► Spotkanie komisji rządowej z udziałem ministra sprawiedliwości Jerzego Bafia (pierwszy z prawej) z przedstawicielami Solidarności, m.in. Adamem Strzemboszem (pierwszy z lewej) i Zbigniewem Bujakiem (drugi z lewej) w sprawie przestrzegania prawa w Polsce; 24 kwietnia 1981 roku

ność«. Ten stan rzeczy, często wbrew początkowym zamierzeniom, nie tylko nie stanowił przeciwwagi dla związku »Solidarność«, ale wręcz przeciwnie – doprowadzał do dezorientowania kadry resortu i przeciwstawiania jej w niektórych przypadkach kierownictwu”.

Koniec snu

Zgodnie z zapowiedzią Adama Strzembosza, wygłoszoną w czasie negocjacji w grudniu 1980 roku, sędziowie kontynuowali walkę o reformę prawa, szukając poparcia w Krajowej Komisji Porozumiewawczej Solidarności. W kwietniu 1981 roku postulaty, sformułowane wcześniej przez związek pra-

weryfikacji kadr sędziowskich. Strzembosz wyjaśniał, że „chodzi tu o sędziów, którzy specjalizują się w orzekaniu w sprawach pewnego typu”. Minister Bafia uznał to za „namawianie do złamania zasady niezawisłości sędziów”, jednak czuł potrzebę usprawiedliwienia: „[...] były różne lata i różne sytuacje. Odnowy nie można zaczynać od wyrzucania ludzi za popełnione błędy”. Jednak kiedy Bujak zasugerował, że taki krok jest konieczny, aby „odbudować autorytet sędziów”, minister nie wytrzymał. To „zamach na niezawisłość sędziowską” i „polowanie na czarownicę” – perorował. Odpowiedział mu Adam Strzembosz: „[...] są sędziowie, których ►



Fot. PAP

► Proces jedenastu działaczy opozycji oskarżonych o próbę obalenia ustroju PRL siłą; na zdjęciu oskarżeni Jacek Kuroń i Adam Michnik oraz obrońcy: Jerzy Woźniak, Tadeusz de Virion, Jolanta Zabarnik-Nowakowska; Warszawa, 13 lipca 1984 roku

wyroki są łamaniem prawa [...], nie chodzi o pomyłki [...] [oni] »mylili się« naminnie». Ostatecznie kwestia rozliczenia trafiła na długą listę spraw, których nie rozstrzygnięto.

Jednocześnie sędziowska Solidarność zaangażowała się w projekt powołania zespołów eksperckich do opracowania nowelizacji: prawa o ustroju sądów powszechnych, cywilnego, pracy i ubezpieczeń społecznych, gospodarczego i administracyjnego. NSZZ PWS „Solidarność” wraz z reprezentantami środowisk prawniczych, brał udział w pracach działającej od początku roku 1981 Centrum Obywatelskich Inicjatyw Ustawodawczych. Pod koniec roku duża część projektów pionierskich rozwiązań, pozwalających na zlikwidowanie wielu patologii wymiaru sprawiedliwości, była już gotowa.

Weryfikacja

Po wprowadzeniu stanu wojennego władze energicznie przystąpiły do weryfikacji środowiska sędziowskiego. Do 1 lutego 1982 roku przeprowadzono rozmowy ze wszystkimi członkami Solidarności, większość wystąpiła ze związku. W połowie maja w jego szeregach pozostało tylko 279 osób, w tym 118 sędziów. Związek trzymał się jakoś tylko w swojej kolebce – w okręgu gdańskim liczba członków So-

lidarności wynosiła wtedy 110 osób, czyli prawie połowę ogólnopolskiego stanu.

W ramach przywracania dyscypliny Rada Państwa odwołała 26 sędziów, kolejnych zdegradowała. Część sędziów „zrezygnowała” z zajmowanego stanowiska po rozmowach. Całościowy bilans wprowadzania nowego porządku nie jest znany. Trudno oszacować wszystkie przypadki „dobrowolnej rezygnacji”, degradacji, ucieczki na emeryturę lub rentę.

Członkowie związku nie mieli szans w starciu z komisjami weryfikacyjnymi. Co nie znaczy, że poddawali się bez walki. Aleksandra Makowska-Prochera, prezes Wydziału Rodzinnego Sądu Rejonowego w Białej Podlaskiej, przewodnicząca zakładowej Solidarności, przy wsparciu kolegów oskarżała komisję weryfikacyjną o to, że „prowadzenie rozmów i żądanie występowania ze związku pod groźbą zwolnienia z pracy jest bezprawne”. Domagała się, aby członkowie komisji byli ścigani na podstawie... dekretu o stanie wojennym. Z punktu widzenia władz najczarniejszą owcą polskiego sądownictwa był chyba jednak asesor Zbigniew Bełz z Gorzowa Wielkopolskiego. Od wprowadzenia stanu wojennego był ściągany przez prokuraturę powszechną i wojskową za organizowanie podziemnej Solidarności,

a potem Solidarności Walczącej. Aresztowano go dopiero w 1983 roku.

W maju 1982 roku na międzywydziałowym spotkaniu zorganizowanym przez Wydział Kadr KC w sprawie polityki kadrowej meldowano zakończenie czystki: „po 13 grudnia 1981 roku zweryfikowano zespoły sędziowskie [...] Niektórzy sędziowie być może przyczaili się, a ich postawa polityczna uwidacznia się jedynie w orzeczeniach”. Aby zapewnić dopływ nowej kadry, która podobałaby realizacji prawa stanu wojennego, do połowy 1982 roku powołano co najmniej dwustu nowych sędziów.

Działalność Solidarności zrzeszającej pracowników wymiaru sprawiedliwości była istotnym elementem solidarnościowej rewolucji w latach 1980–1981. Wcześniej środowisko sędziów było jednym z filarów władzy komunistycznej. Przez lata zaostrzano prawo karne. Jednocześnie ograniczając pole do niezależnych decyzji sędziów, ograniczano ich niezawisłość. Związek starał się z tym walczyć, jednak jego prace zostały przerwane przez stan wojenny. Mimo to sędziowie i prawnicy z Solidarności często kontynuowali swoją reformatorską działalność w latach osiemdziesiątych, m.in. jako doradcy i działacze podziemnej Solidarności. W 1989 roku część z nich wzięła udział w obradach Okrągłego Stołu, gdzie przedstawiali program reformy wymiaru sprawiedliwości. Niektórzy stali na straży wprowadzanych po 1989 roku zmian – jako osoby działające w Ministerstwie Sprawiedliwości, Sądzie Najwyższym czy Trybunale Konstytucyjnym.

Zbigniew Szczurek, który w 1981 roku przy wsparciu sędziów miał zostać wybrany na prezesa Sądu Wojewódzkiego, ten sam, któremu życzenia niezależności składała sędzia Thiel, nie został wówczas powołany na stanowisko. Zgodnie z opinią Wydziału Administracyjnego KC, „nie dawał gwarancji prawidłowego kierowania sądem w warunkach stanu wojennego”. Funkcję tę objął dopiero w 1990 roku. 🇺🇸

Kosecki w krainie generałów

Grzegorz Wołk

W PRL piłkarz był towarem. Zdany na łaskę prominentów, nie miał swobody w wyborze klubu.

► Napastnik drużyny warszawskiej Roman Kosecki; stadion Legii, mecz ligowy Legia Warszawa – Olimpia Poznań, Warszawa, 1989 rok



Gdyby Janusz Zaorski kręcił *Piłkarski poker* kilka lat później, a nie w roku 1988, być może oprócz drużyn „Powiśla” i „Czarnych” znalazłby się w nim klub „resortowy”. Jednym z wątków pobocznych mogłaby być historia Romana Koseckiego, o którego sportowej karierze zdecydował gen. Czesław Kiszczak. W tej opowieści znajdziemy zresztą więcej generałów. Między innymi szefa MO i SB w Krakowie Jerzego Grubę, jego odpowiednika z Warszawy Edwarda Kłowskiego czy szefa szkolenia bojowego wojska Wojciecha Barańskiego. Wymienieni generałowie wywarli przemożny wpływ na pierwsze lata kariery Koseckiego.

Podobne problemy miało więcej zawodników. Wynikały one z modelu uprawiania sportu, który istniał w PRL. Od czasu zmian wprowadzonych w latach 1948–1949 obowiązywał bowiem model sowiecki. Wszystkie kluby uzależniono od trzech instytucji: komunistycznych związków zawodowych (kluby przyzakładowe, których było najwięcej), wojska oraz Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego (tworzyły Zjednoczenie Sportowe „Gwardia”, przejęte później przez MSW). W stolicy Gwardię utworzono już w 1948 roku z przekształcenia KS Grochów. Zawodników z drużyn „związkowych” zatrudniano na fikcyjnych etatach górników, mechaników czy ślusarzy. Piłkarze przez lata nie widzieli formalnego miejsca pracy. Podobnie zresztą było w klubach wojskowych i gwardyjskich. Piłkarze Legii nie widzieli poligonu, a milicjanci i zomowcy z Gwardii nie patrolowali ulic. Ich zadaniem była gra w piłkę nożną. Kosecki zapewne nigdy nawet nie przymierzył munduru zomowca.

Towarzyszu generale, napastnika pilnie potrzebujemy
Gra w klubach resortowych niosła ze sobą wymierne korzyści, ale była również odbierana przez niektórych zawodników i kibiców jako coś wstydliwego. Odmowy jednak zdarzały się rzadko. Przed dylematem, czy grać dla „milicyjnego” klubu (po zmianach roku 1956 tak nazywano klub Gwardii, aczkolwiek ►

często jego prezesami byli wysocy rangą funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa), stanął w roku 1986 Roman Kosecki. Wychowanek RKS Mirków nie miał szczęścia do trenerów. Wcześniej nie przeszedł testów w Wiśle Kraków, a Legia zrezygnowała z jego powoływania. Powoływania w sensie dosłownym, gdyż jako klub wojskowy wykorzystywała możliwość wcielania do obowiązkowej wówczas służby wojskowej. Podkradła w ten sposób najzdolniejszych piłkarzy z całego kraju. Koseckiego nie chciała, przynajmniej chwilowo.

Koseckiego wysoko cenił za to gen. Edward Kłossowski. Prezes Gwardii Warszawa i szef stołecznej SB w jednym z oficjalnych pism zanotował: „Zawodnik bardzo utalentowany o dużych możliwościach rozwojowych i perspektywiczny dla naszego klubu”. Gwardia nie miała jednak pieniędzy. W związku



► Czesław Kiszczak
– „patron” kariery Koseckiego

Fot. Tadeusz Zegoździński/FORUM

z tym gen. Kłossowski zwrócił się z prośbą o sfinansowanie transferu do gen. Józefa Chomętowskiego, szefa Departamentu Kadry i Szkolenia Zawodowego

MSW. Chodziło o niebagatelną sumę 6,2 mln zł (przeciętne wynagrodzenie w tym czasie wynosiło ok. 24 tys. zł).

Prezes Gwardii nie ukrywał, że korzyści z transferu miał odnieść nie tylko klub. „Jest to korzystne i potrzebne dla Resortu Spraw Wewnętrznych i Stołecznego Garnizonu, tak z politycznego, jak i sportowego punktu widzenia” – pisał do gen. Józefa Chomętowskiego. Dodatkowym argumentem było zbliżające się czterdziestolecie klubu, którego uświetnieniem miał być awans do ekstraklasy. Bez wartościowego napastnika był on jednak wątpliwy. Resort nie mógł nie przychylić się do wniosku i w kasie MSW pieniądze się znalazły.

Prośba o przyznanie funduszy trafiła na biurko gen. Chomętowskiego jesienią 1986 roku, a już w styczniu następnego roku Kosecki kwitował odbiór miliona złotych „jako ekwiwalent[uj] za grę w piłkę nożną”. Jeszcze wcześniej, bo 30 listopada 1986 roku, Kosecki został „ukadrowiony”, czyli formalnie zatrudniony na etacie milicjanta plutonu liniowego ZOMO. Upiekł w ten sposób dwie pieczenie na jednym ogniu. Zarobił sporą sumę pieniędzy oraz pozbył się problemu służby wojskowej, odbywając ją zastępczo w plutonie ZOMO.

Gwardyjskie szarże

Marzenia generałów się nie spełniły. Gwardia nie awansowała do pierwszej ligi mimo dobrej gry Koseckiego. Jubile-



usz obchodzone w smutnych nastrojach. Podobnie było w Legii, dla której trzecie miejsce w lidze było porażką. Dlatego też szukano wzmocnień. Jednym z celów transferowych okazał się dwudziesto-dwuletni Kosecki, wybijająca się postać drugiej ligi. Prezes Legii, gen. Wojciech Barański, starał się naprawić błąd popełniony dwa lata wcześniej, kiedy to umożliwiono Koseckiemu grę w Gwardii. We wrześniu 1988 roku poprosił prezesa Gwardii o przekazanie Koseckiego do Legii. Generał Kłosowski stanowczo odmówił. W końcu nie po to wysupłał z kasy MSW 6,2 mln zł, żeby po niespełna dwóch latach rezygnować ze swojej gwiazdy. Prezes Gwardii był zdeterminowany, żeby Kosecki wypełnił kontrakt.

Trudno mu się dziwić. Sezon 1987/1988 „Kosa” miał wyjątkowo udany, co zaowocowało debiutem w reprezentacji kraju, mimo gry w drugiej lidze. Publiczne wypowiedzi samego zawodnika, w których deklarował chęć gry w Legii, nie nastrajały szefostwa Gwardii optymistycznie. Być może liczone na to, że piłkarz zmieni zdanie w razie awansu do ekstraklasy. Jak się okazało, niesłusznie. Gwardia nigdy nie powróciła do ekstraklasy, a Kosecki okazał się ostatnim jej graczem powołanym do reprezentacji.

Towarzyszu Kiszczak, pomóżcie

Tak jak Gwardia nie chciała oddać „Kosy”, tak Legia za wszelką cenę chciała doprowadzić do transferu. Generał Barański powoływał się przy tym na wywiady prasowe, w których Kosecki jasno deklarował chęć gry w Legii. Wysuwał również inne argumenty, jak chociażby taki, że gra w wyższej lidze pozwoli zawodnikowi się rozwinąć, z korzyścią dla reprezentacji.

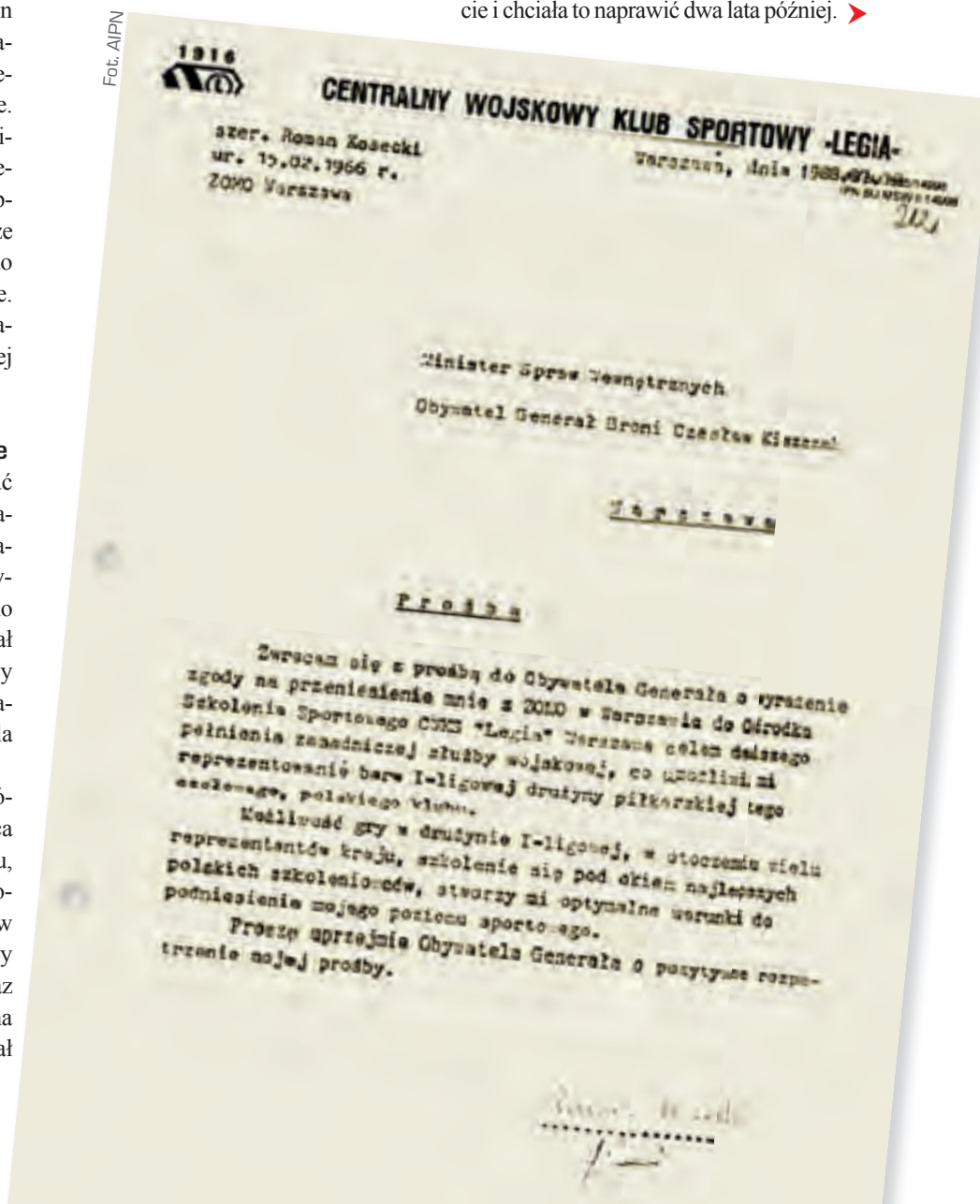
Po fiasku bezpośrednich rozmów, które przeprowadzono na przełomie marca i kwietnia oraz we wrześniu 1988 roku, w kierownictwie wojskowych postanowiono udać się wprost do zwierzchników gen. Kłosowskiego. W grę wchodziły dwie osoby: gen. Czesław Kiszczak oraz gen. Wojciech Jaruzelski. Wybór padł na pierwszego. Być może wpływ na to miał

fakt, że Kiszczak zasiadał w przeszłości (jeszcze jako pułkownik) w zarządzie sekcji piłkarskiej Legii.

Barański poinformował ministra spraw wewnętrznych, że „w CWKS »Legia« założono program zbudowania silnej piłki nożnej w Warszawie na skalę europejską. Program ten zakłada poszerzenie dobrze układającej się dotychczas bliskiej współpracy z KS »Gwardia« Warszawa [...] zwracam się zatem do Towarzysza Generała z prośbą o wyrażenie zgody na przeniesienie żołnierzy ZOMO Roberta [sic!] Koseckiego i Tomasza Dziubińskiego do pełnienia służby w Ośrodku Szkolenia Sportowego CWKS »Legia« oraz przeprowadzenie transferów z KS »Gwardia« Warszawa i GKS »Broń« Radom”.

Tomasz Dziubiński nigdy do Legii nie trafił. Rozegrał trzy sezony w Wiśle Kraków, zostając królem strzelców pierwszej ligi. Przytaczana korespondencja pokazuje kulisy transferów do klubów resortowych. Pisanie o Koseckim i Dziubińskim jako „żołnierzach ZOMO” było świadome i niesło ważne konsekwencje. Obaj, chociaż grali w piłkę, formalnie odbywali zastępczą służbę wojskową. Fakt ten, jako „odstąpienie od swoich uprawnień”, podnosił w korespondencji z prezesem Gwardii gen. Barański. Legia jako klub wojskowy miała bowiem bezwzględne pierwszeństwo w pozyskaniu „Kosy” – mogła go powołać do służby wojskowej, w której ramach grałby w Legii. Jednak w 1986 roku nie poznała się na jego talentach i chciała to naprawić dwa lata później. ➤

Fot. AIPN



W związku z listem ofertym Prezydium Zarządu Warszawskiego Klubu Sportowego "Gwardia", które zajęło stanowisko wobec mojej osoby na okoliczność ewentualnego mojego transferu do I-ligowego zespołu piłkarskiego, pragnę oświadczyć, że w niniejszym liście Br. pod usilną zgodą działaczy CWKS "Legia" Warszawa podpisałem wyrażającą poświadczenie o przeniesienie mnie z MSW do MSW na obojętność odbywania dalszej zawodniczej służby wojskowej). Krok ten podjęto w celu mojej strony nieświadzą o celowości przekwalifikowania odbywającej w resorcie MSW zawodniczej służby wojskowej do MSW.

Stosownie do powyższego, pragnę oświadczyć i oświadczyć podanie dotyczące dalszego odbywania służby wojskowej w Ministerstwie Obrony Narodowej i zamierzam ją wykonywać w przepisowym terminie w służbie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Tym samym wyrażam się z uprzejmą prośbą o umożliwienie zaistniałej sprawy, gdyż pragnę pozostać w resorcie MSW i dalej kontynuować karierę piłkarską w barwach Warszawskiego Klubu Sportowego "Gwardia".

Koniec obrzędów!

1 x Zarząd WKS "Gwardia" 1-ws
1 x Zarząd CWKS "Legia" 1-ws

Roman Kosecki

Fot. AIPN

W tym czasie Kosecki był już zdecydowany na przejście do Legii, czemu dał wyraz, pisząc do gen. Kiszczaka – podobnie jak Dziubiński – prośbę o przeniesienie do jednostki wojskowej, czyli CWKS.

Resort się wspiera

Nieczysta gra gen. Barańskiego nie wywołała entuzjazmu w MSW. Złuszczka gen. Kłowski musiał czuć się ograny (co szefowi stołecznych esbeków z pewnością nie zdarzało się zbyt często). Złuszczka prośby Koseckiego i Dziubińskiego adresowane do gen. Kiszczaka zostały wysłane poza jego plecami. Obaj piłkarze formalnie służyli w jednostce MSW, a tutaj podległość służbowa była bezwzględnie wymagana. Pisanie raportu ponad głowami zwierzchników było czynem odważnym, ale i lekkomyślnym.

Nie wiemy, czy gen. Kiszczak interesował się sportem i kibicował Legii. W tym przypadku zachował się lojalnie wobec podwładnego. Pismo prezesa Legii adresowane do gen. Kiszczaka trafiło na biurko gen. Kłowskiego. Minister zażądał wyjaśnień. Jego niezadowolenie wzbudził brak dyscypliny wykazany przez

obu piłkarzy. General Kłowski miał się tłumaczyć z tego, kto pozwalał na nawiązywanie pozasłużbowych kontaktów z zawodnikami. Esbecy „opiekujący się” Gwardią nie mieli najmniejszego zamiaru odpuszczać Legii w sprawie transferu swojej gwiazdy. Ponadto nie było tajemnicą, że oba resorty nie darzyły się sympatią, stąd sprawę potraktowano ambicjonalnie.

Nie wiadomo, czy Kosecki został przekonany siłą argumentów gen. Kłowskiego, czy najzwyczajniej zastraszonej. W końcu stanowiska szefa SB w stolicy nie dostawało się za koncyliacyjność i łagodny sposób bycia. Wystarczyło kilka dni, by prośba o przeniesienie do CWKS została zastąpiona przez Koseckiego listem adresowanym do MSW. Przyszły gwiazdor polskiej piłki przyznawał, że został zmanipulowany przez działaczy Legii, i prosił „o anulowanie zaistniałej sprawy, gdyż pragnę pozostać w resorcie MSW i dalej kontynuować [tak w oryginalnej] karierę piłkarską w barwach Warszawskiego Klubu Sportowego Gwardia”. W wywiadzie udzielonym w 1995 roku przyznawał zaś: „Temu klubowi [Gwardii] zawdzięczam wiele – choć-

by możliwość »pokojowego« odbicia służby wojskowej. Z tego klubu, przecież wtedy II-ligowego, trafiłem do reprezentacji”.

General Gruba wkracza do gry

Wydawało się, że sprawa Koseckiego jest zamknięta i o odejściu z Gwardii nie ma mowy. Sytuacja zmieniła się, gdy zakusy na piłkarza zaczęła robić krakowska Wisła. Tutaj sprawa wymagała większej czujności ze strony prezesa Kłowskiego. Wisła jako klub gwardyjski miała większe możliwości od nielubianych wojskowych. Złuszczka że jej prezesem był gen. Jerzy Gruba, kojarzony z masakrą górników w kopalni „Wujek” oraz tuszowaniem dowodów w sprawie zabójstwa Grzegorza Przemyska. Gruba miał silną pozycję w MSW, więc jego prośba o transfer Koseckiego miała duże szanse powodzenia. Zdezorientowany Kiszczak pytał swoich podwładnych, dokąd w końcu Kosecki przechodzi: do Legii czy Wisły? Być może to wtedy szef MSW podjął salomonową decyzję i Wisłę „odał” Dziubińskiego, a Legii Koseckiego.

Jednak Legia

Ostatecznie Kosecki dopiął swego. General Kłowski nie odpuścił, ale po dwóch latach zastępczej służby wojskowej musiał oddać zawodnika. Stało się to na wiosnę sezonu 1988/1989, kiedy to „Kosa” rozegrał w Legii dziesięć meczów i strzelił trzy bramki. W kolejnym sezonie grał już we wszystkich meczach ligowych (strzelił pięć bramek), a Legia obroniła puchar i wywalczyła dodatkowo superpuchar Polski. Tymczasem zmieniła się w Polsce sytuacja polityczna, co miało bezpośrednie przełożenie na kluby resortowe. O ile Legia potrafiła się odnaleźć w nowej rzeczywistości, o tyle kluby gwardyjskie (oprócz Wisły) podupadły. Czasy, w których telefon ministra potrafił zatwierdzić transfer, odchodziły w przeszłość. Jednak tematów na *Piłkarski poker 2* wciąż nie brakuje i możemy się tylko dziwić, że taki film jeszcze nie powstał. 🍀

Grzegorz Wołk – historyk, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN



► Podziemni drukarze (na zdjęciu druk „Tygodnika wojennego”) dbali o zachowanie reguł konspiracji, ukrywając twarze podczas dokumentacji ich pracy; Warszawa, luty 1982 roku

Stan wojenny, czyli szybka lekcja konspiracji

Jan Olszek

Stan wojenny spowodował, że Solidarność musiała zejść do podziemia. Co to właściwie znaczyło?

Główną formą aktywności Solidarności po 13 grudnia 1981 roku było prowadzenie niezależnej działalności wydawniczej. W drugim obiegu ukazywały się tysiące tytułów czasopism i książek. Dziennikarze prasy podziemnej, drukarze czy kolporterzy tylko częściowo mogli wykorzystywać dotychczasowe wzorce działania – czyli te z czasów opozycji przedsierpniowej i legalnej Solidarności. Część z tych osób nie miała zresztą wcześniejszych doświadczeń. Konspirowania uczono się więc w praktyce. Pierwsze działania związane w tworzeniu podziemnych pism były trudne, nie istniały jeszcze stałe, powtarzalne mechanizmy postępowania.

Klienci „Smyka”

Sytuację dobrze obrazuje kilka relacji z pierwszych tygodni stanu wojennego. Włodzimierz Grudziński, kolportujący najpopularniejsze pismo stanu wojennego – „Tygodnik Mazowsze”, umówił się z redaktorką naczelną Heleną Łuczycową w warszawskim domu handlowym „Smyk”. Wspominał: „Ja przyszedłem, się tam kręcę, oglądam te ubranka, patrzę – rzeczywiście jest Helena po drugiej stronie, się zobaczyliśmy, podeszliśmy. Stoimy, oglądamy ubranka, rozmawiamy. No, i tak sobie chodzimy, ale ja patrzę, że jest jakiś facet, który się nam przygląda, to znaczy udaje, że się nie przygląda, i tak za nami chodzi. Mówię: »Słuchaj, Helena, mamy ogon«. A ona: »Nie, nie, nie, on jest umówiony ze mną po tobie«”.

Podobne spotkanie z Heleną Łuczycową wspominał prowadzący archiwum pisma Piotr Pacewicz. Pierwszy materiał dostał bezpośrednio od niej. „Byłem

z nią chyba przez Anię [Bikont] umówiony na przystanku autobusowym pod ówczesnym kinem Moskwa. I miałem informację, że o jakiejś tam godzinie »X« przyjedzie dziewczyna w futrze i w okularach. No, i rzeczywiście stoję na tym przystanku, było zimno jak cholera i wysiadła Helena, tylko że było to takie wyliniałe małe futerko, które nie za bardzo wyglądało na futro. W związku z tym tak krążyliśmy wokół siebie na tym przystanku. Ona ma strasznie kiepski wzrok. W pewnym momencie jednak chyba się zorientowaliśmy, że my to my, i ona, dając mi takie bardzo niezgrabne znaki, kazała mi za nią iść. Więc szedłem za nią. Sądzę, że trudniej zwrócić na siebie bardziej uwagę, niż myśmy to zrobili, w każdym razie poszła gdzieś do jakiejś klatki schodowej, weszła na samą górę, tak już na poziom strychu tej klatki, i tam zaczęła zza ubrania wyjmować bibułę. I w tym momencie ktoś z tych ►



lokatorów szedł na strych. Ja to wziąłem od niej, wpakowałem sobie w spodnie, za sweter. I to była pierwsza dostawa tego towaru”.

Sytuacje zapamiętane w formach anegdot wiele mówią o tamtym czasie. Warunki wymagały podejmowania nowego rodzaju działań, nawiązywania nowych kontaktów, z czym wiązało się pewne ryzyko. Podobnie jak Helena Łuczywo działało wówczas wielu twórców pism. Skomplikowane systemy działania, struktury druku czy kolportażu nie były jeszcze wówczas rozwinięte. W pierwszych tygodniach stanu wojennego konspiratorzy nawiązywali ze sobą kontakty, sprawdzając się wzajemnie. Ważna była zasada ograniczonego zaufania. Jednocześnie istotne było spotkanie się z kimś osobiście, żeby precyzyjnie przekazać informacje i przekonać się, czy można danej osobie zaufać. W czasie pierwszych prób konspiracyjnych spotkań groza stanu wojennego mieszała się z próbami podziemnej działalności, zapamiętanymi jako zabawne.

Podziemne BHP

Z czasem, na podstawie nowych i dawnych doświadczeń, powstawał pewien niepisany kodeks konspiracyjnego zachowania. Osoby przychodzące na spotkania redakcji podziemnego pisma, drukarni czy punktu kolporterskiego były zobowiązane do szczególnej ostrożności. Należało sprawdzić, czy nie jest się obserwowanym. Niektórzy mieli swoje sposoby upewniania się, że nie są śledzeni: jechali okrężną drogą, często przesiadali się, przechodzili przez ruchliwe miejsca publiczne, budynki lub podwórka z dwoma wyjściami, korzystali ze specjalnie przeznaczonych do tego lokali nazywanych śluzami. Wykorzystywano też w tym celu te miejsca publiczne, który umożliwiały szybką zmianę samochodu po zbiegnięciu po schodach. W Warszawie taką rolę pełniło np. kilka punktów na Trasie Łazienkowskiej oraz plac Zamkowy.

Konspiratorzy starali się – na tyle, na ile było to możliwe – odseparować poszczególne pionierzy produkcji pisma: re-

dakcję, druk i kolportaż. Dzięki temu w momencie zatrzymania osoby z jednego z tych kręgów, można było łatwiej uniknąć zatrzymania osób z innego pionu. Zasadą, często łamaną, było nieangażowanie się przez jedną osobę w wiele form aktywności opozycyjnej. Stosowano hasła dla zweryfikowania osób oraz szyfry. Dawano znaki przez odpowiednie ustawianie zasłon, firanek czy doniczek stojących w oknach. Osoby ukrywające się przybierały pseudonimy, używano fałszywych dokumentów. Rzadko korzystano z telefonów. W razie pilnej potrzeby dzwoniło z budek telefonicznych.

Zaufać czy nie?

W działaniu podziemnej Solidarności najważniejsze było zaufanie. To jedno z najważniejszych pojęć dla zrozumienia mechanizmów funkcjonowania konspiracji. W lutym 1982 roku – w „Liście do 14 zakładów”, który był przesłaniem do zakładów skupionych wokół Państwowego Instytutu Geologicznego – pisał o tym Maciej Zalewski, działacz Międzyzakładowego Komitetu Koordynacyjnego, jednej z głównych struktur warszawskiego podziemia, i zarazem współtwórca „Woli”, jednego z najpopularniejszych warszawskich pism drugiego obiegu. Zalewski podkreślał, że logiczną zasadą funkcjonowania podziemia jest nieufność wobec innych z obawy o możliwość zniszczenia organizacji. Jednocześnie wskazywał na to, że dla rozwoju działalności konieczne jest odchodzenia od tej zasady – stworzenie wspólnoty ludzi, którzy sobie ufają. W podziemiu wielokrotnie należało podejmować takie ryzyko. „Wtedy trzeba komuś zawierzyć, przemyśleć program, przyjąć porękę, na chwilę odsonić się. Ta chwila powinna być jak najkrótsza, odsłonięte pola najmniejsze, poręka najpewniejsza. Ale ta minimalizacja ryzyka nie znosi zupełnie. Wtedy najłatwiej zawodzą nerwy, spokojny namysł, rozważa. Wtedy najłatwiej o błąd lub prowokację. W takiej sytuacji nigdy za dużo ostrożności. Tak naprawdę tylko z początku solidarność między ludźmi opiera

się na odruchu buntu. Nie pogodzimy się z wojną, z tym stanem, który pozbawił nas nadziei. Ale solidarność odmowy nie jest tą wartością, którą chcemy zbudować. Będziemy solidarni, gdy w poczuciu współodpowiedzialności zaufamy sobie. Ostrożnie, z namysłem. Ale zaufamy”.

Tekst Macieja Zalewskiego dotyczył konkretnej sytuacji, ale dobrze oddaje dylematy solidarnościowej konspiracji. Jej uczestnicy stale wahali się między nieufnością – wynikającą z potrzeby zachowania bezpieczeństwa – a zaufaniem, które umożliwiało podejmowanie współpracy. Można w pewnym uproszczeniu powiedzieć, że w tworzeniu podziemnej sieci kierowano się dwiema zasadami. Trzeba było ufać współpracownikom na tyle, by stworzyć efektywny mechanizm postępowania, i być nieufnym na tyle, by zachować bezpieczeństwo. Siłą rzeczy każdy konspirator musiał ufać pewnej liczbie osób, które działały wokół niego. Każdy kontakt był obciążony pewnym ryzykiem, które minimalizowano przez odpowiednie środki bezpieczeństwa i sprawdzanie danych osób. Powiązania, które tworzyły podziemną sieć, opierały

się właśnie na zaufaniu. Wprowadzenie do opozycyjnych tajemnic niesprawdzonych osób wiązało się z ryzykiem.

W czasie spotkań konspiratorów panowała atmosfera niedopowiedzenia. Każdy miał wiedzieć tyle, ile było potrzebne do wykonania jego zadań. Dziennikarz prasy drugiego obiegu Krzysztof Czaubański z pewną przesadą wspominał moment pojawienia się na zebraniu redakcji „Przeglądu Wiadomości Agencyjnych”: „Zwyczaj bezpiecznie jest nie wiedzieć więcej, niż potrzeba, a już w tamtych wojennych, polsko-jaruzelskich latach zasada ta była dobrą receptą na przetrwanie. Dlatego jak tylko pierwszy raz zaszedłem do redakcji »PWA«, tak od razu zapomniałem, gdzie ona się mieści i kogo w niej spotykam. Ten stan trwa do dziś”.

Dotyczyło to zwłaszcza spraw personalnych: imion i nazwisk oraz adresów. Nowe osoby nawiązujące współpracę często nie przedstawiały się z imienia i nazwiska, informacje o działalności podawano im bardzo ostrożnie. Idący na spotkanie konspirator często nie wiedział, z kim ma do czynienia. Dobrze oddaje to doniesienie tajnego współpra-



Fot.: AIPN

cownika Służby Bezpieczeństwa o pseudonimie „X-2” z grudnia 1984 roku: „W dniu 14 grudnia byłem umówiony z kolporterką dostarczającą nielegalne wydawnictwa (»Wola« i »T[ygodnik] M[azowsze]«). W dniu tym zgłosił się jednak do mnie nieznan mi mężczyzna w wieku ok. 35 lat, blondyn średniego wzrostu, i wręczył mi, abym rozkolportował wśród swoich kolegów z MZK, 15 egzemplarzy wydawnictwa »Wola« nr 42 oraz 5 egzemplarzy »Tygodnika Mazowsze«. W trakcie rozmowy [...] nie komentował przyczyn nieobecności stałej kolporterki”. „X-2” dostał propozycję zorganizowania punktu druku i zgłoszenia się po pomoc do parafii św. Klemensa, gdzie przepustką do załatwienia sprawy miał być specjalny sposób zapukania do drzwi. W rozmowie nie padły jednak żadne nazwiska. Tego rodzaju rozmowy przebiegały szybko: załatwiano sprawę bez rozmawiania o zbędnych szczegółach. Doniesienia zachowane w dokumentach SB pokazują, jak było to ważne wobec prób docierania do takich środowisk przez policję polityczną PRL.

Niekiedy wiązały się z tym problemy. Jak wspomina Aleksandra Zawłocka (jedna z organizatorek kolportażu ▶



Fot.: Ania Pietuszkó / FORUM

▶ Redakcja podziemnego „Tygodnika Mazowsze”, od lewej stoją: Wojciech Kamiński, Tomasz Burski, Joanna Szczęsna, Helena Łuczywo, Piotr Pacewicz, Anna Bikont, od lewej siedzą: Krzysztof Leski, Marta Woydt, Zofia Bydlińska, Olga Iwaniak; 1988 rok



„Woli”), po zatrzymaniu Macieja Zalewskiego środowisko „Woli” nie wiedziało, gdzie znajduje się przechowywany przez niego sprzęt. Zawłocka, która była tam raz z Zalewskim, pamiętała tylko, że to Konstancin. Ostatecznie miejsca nie udało się znaleźć. Takich sytuacji było z pewnością wiele. Dopytywanie o szczegóły bywało czymś podejrzanym, nie wypadało zadawać zbyt wielu pytań. W myśl konspiracyjnych zasad należało nie pytać, co dana osoba robi, a jeśli się wiedziało, to należało udawać, że się nie wie. Nawet gdy sobie ufano, przekazywano tylko niezbędne informacje. Konspirator miał wiedzieć możliwie najmniej. Dariusz Stola i Bogdan Wróblewski, koledzy ze studiów, kolportowali „Wolę”, odbierając egzemplarze pisma z tego samego miejsca i tego samego dnia od Aleksandry Zawłockiej, obaj jednak długo o tym nie wiedzieli. Zawłocka, która знаła Stolę z chóru, nie wiedziała, że pod koniec lat osiemdziesiątych zaczął on pracować w redakcji pisma.

Oczywiście, zdarzało się często, że te zasady były łamane, ludzie z różnych środowisk opozycyjnych się znali, o niektórych rzeczach wiedzieli, a innych mogli się domyślać. W solidarnościowej konspiracji istniały różne stopnie wtajemniczenia. Ci znajdujący się blisko redakcji czasem wiedzieli, kto tworzy poszczególne pisma, niekiedy znali ich z widzenia, pseudonimu czy nawet nazwiska. Inni mniej więcej wiedzieli, jakie środowisko może stać za danym tytułem, nie znając – a często nie chcąc znać – szczegółów. Osoby kolportujące niewielkie ilości bibuły oraz jej czytelnicy przeważnie nie mieli o twórcach wydawnictw żadnych bliższych informacji.

Co robić po zatrzymaniu?

Piotr Stasiński, współtwórca podziemnego tygodnika „Wola”, 27 stycznia 1982 roku dostał od współpracującego z nim grafika informację, że ma on w domu kilkaset wydrukowanych egzemplarzy pierwszego numeru pisma i chce, żeby ktoś je od niego odebrał. Powód był prosty. Kurier, który miał to zrobić, nie pojawił się, a grafik nie chciał przechowywać

tych materiałów zbyt długo. Stasiński pojechał do niego, żeby zabrać tę część nakładu. Miał przy sobie jeszcze dwie inne paczki. W jednej z nich znajdowała się mała walizkowa maszyna do pisania, a w drugiej ubrania przeznaczone dla jednego z internowanych. Stasiński chciał pojechać do Pałacu Staszica przy Krakowskim Przedmieściu, gdzie pracował, i rozpowszechnić pierwszy numer „Woli” wśród pracowników Polskiej Akademii Nauk. Było to – jak sam zresztą przyznał – zachowanie bardzo nieostrożne i złamanie zasad konspiracji. Osoba należąca do redakcji nie powinna bowiem zajmować się kolportażem i iść do swojego miejsca pracy obladowana podziemnymi publikacjami. Przenoszenie tak dużej liczby egzemplarzy podziemnej prasy oznaczało bardzo duże ryzyko.

Stasiński przyjechał samochodem w okolice Pałacu Staszica i szedł w kierunku budynku z tymi trzema paczkami. Trudno było w takiej sytuacji pozostać niezaważonym. Współtwórca „Woli” zwrócił na siebie uwagę patrolu wojskowo-milicyjnego, który go zatrzymał. Stasiński został doprowadzony do Zarządu WSW Warszawskiego Okręgu Wojskowego, który mieścił się w znajdującym się kilkaset metrów dalej tzw. Domu Bez Kantów przy Krakowskim Przedmieściu. Zatrzymanie osoby przewożącej tak dużą liczbę nielegalnych publikacji musiało stanowić istotny trop. Przy Stasińskim znaleziono m.in. 450 egzemplarzy pierwszego numeru „Woli” (w relacjach wspomina on o pięciuset, liczbę tę możemy sprecyzować dzięki dokumentom dotyczącym jego zatrzymania), inne podziemne ulotki oraz instrukcję budowy ręcznego powielacza.

Prokuratura Garnizonowa w Warszawie wszczęła śledztwo na podstawie dekretu o stanie wojennym. Sprawą zajęła się też Komenda Stołeczna Milicji Obywatelskiej. Funkcjonariusze interesowali się posiadanymi przez Stasińskiego kontaktami i twórcami znalezionego przy nim pisma „Wola”. Zatrzymanego przesłuchiwali funkcjonariusze Wojskowej Służby Wewnętrznej. Jak wspominał, w czasie rozmowy bezskutecznie pró-

bowali nawiązać z nim nic porozumienia i zniechęcić go do liderów Solidarności. „Ot, pan jesteś idiota i pójdziesz pan siedzieć, a taki Geremek, co to pan się jemu wysługujesz, bo pan jesteś dywersant i kontrrewolucja, taki Geremek to sobie [...] na Sorbonie będzie wykladał, a pan tu zgnijesz w pierdlu” – takie słowa zapamiętał Stasiński. Innym typowym trikiem zastosowanym przez funkcjonariuszy policji politycznej PRL była przeznaczona dla zatrzymanego „dobra rada”, żeby „pomyślał o rodzinie”. Funkcjonariusze w czasie przesłuchania sugerowali Stasińskiemu, że wiedzą, że to on napisał tekst *Czerwone i czarne* z pierwszego numeru pisma, co Stasiński uznawał jednak za błąd z ich strony. Następnie został przewieziony do gmachu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych na Rakowiecką. Przesłuchujący go już wcześniej – dzięki rewizji w jego domu – zdobyli ważne informacje. Zarekwirowali tam większą ilość papieru, pism drugiego obiegu, instrukcje stworzenia powielacza i odręcznie napisaną ulotkę *Czerwone i czarne*. Był to tekst opublikowany na łamach pierwszego numeru „Woli”. Funkcjonariusze mieli istotne przesłanki, wskazujące, że zatrzymany był osobą zaangażowaną nie tylko w rozpowszechnianie, ale i w tworzenie podziemnej prasy.

Stasiński po aresztowaniu niemal na „gorącym uczynku” znajdował się w trudnej sytuacji. Wymagała ona rozważenia, co mogą wiedzieć funkcjonariusze. Musiał przyjąć pewną strategię działania i zdecydować się, czy w ogóle nie odpowiadać na zadawane mu pytania, czy też podjąć pewną grę i do pewnych rzeczy się przyznawać. Stasiński wybrał ten drugi wariant. Przyznawał się jedynie do chęci rozprowadzenia wydawnictw, którymi dysponował, wśród pracowników PAN. O tym funkcjonariusze i tak musieli wiedzieć, biorąc pod uwagę okoliczności zatrzymania. Nie powiedział wówczas, skąd uzyskał podziemne publikacje. Po latach wspominał, że koncentrował się na pokazaniu, że kierowały nim silne emocje, i nie podawał przesłuchującym żadnych szczegółów. Wobec

dowodów zebranych w czasie rewizji w domu ta wersja nie mogła być w pełni przekonująca dla funkcjonariuszy. Stasiński, nie przyznając się do swojej działalności, zachowywał jednak zdecydowaną postawę. Jeden z przesłuchujących go funkcjonariuszy zapisał: „Zatrzymany nie ukrywał, że jest zdecydowanym przeciwnikiem stanu wojennego i istniejącego w Polsce »systemu partyjnego«. Oświadczył, że w swoim działaniu, mającym na celu rozpowszechnienie ulotek, kierował się względami ideowymi”. Z informacji na temat jego wcześniejszej działalności funkcjonariusze wnioskowali, że Stasiński jest zaangażowanym opozycjonistą i był aktywny również po wprowadzeniu stanu wojennego. Sądzieli, że w inicjatywę, którą współtworzył Stasiński, włączone są osoby wywodzące się ze środowiska PAN i Uniwersytetu Warszawskiego. Materiały, które miał Stasiński, prowadziły ich do wniosku, że działalność ta ma zasięg ogólnokrajowy.

W aktach Piotra Stasińskiego znajduje się obszerne doniesienie tzw. agenta celnego (agenta, który był osadzony z nim jednej celi). Stasiński rozmawiał o różnych sprawach, część stanowiły informacje dotyczące aktywności podziemnej, dbał jednak o niepodawanie informacji mogących sprowadzić na kogoś niebezpieczeństwo. Na kolejnych etapach śledztwa Stasiński przedstawił zmyśloną wersję wydarzeń i trzymał się jej w czasie rozprawy w Sądzie Wojskowym Okręgu Warszawskiego. Twierdził, że nie znał treści przewożonych przez siebie materiałów, i otrzymał je od osoby o imieniu „Kuba”, którą znał od człowieka o imieniu „Karol”. Według przedstawionej przez siebie wersji wydarzeń miał jedynie domyślać się, że są to materiały bezdebitowe, i chciał je przekazać komuś w PAN, nie miał zaś zamiaru ich kolportować. Piotr Stasiński został skazany na rok pozbawienia wolności w zawieszeniu na trzy lata. Po wzniesieniu rewizji we wrześniu 1982 roku sąd go uniewinnił. Po paru miesiącach przerwy Stasiński wrócił do pracy redakcyjnej. Zarówno akta na jego temat, jak i te dotyczące „Woli”, nie wskazują, by po tym



Fot. AIPN

powrocie funkcjonariusze uznawali go za jedną z głównych osób tworzących to pismo. Strategia zachowania realizowana przez niego po zatrzymaniu pozwoliła mu więc odnieść sukces.

Podobnych historii było wiele. Dla zachowania konspiracji niezwykle ważna była postawa tych osób, które w czasie przesłuchań nie przyznawały się do niczego więcej niż to, o czym przeciwnik wiedział. Często strategią było niemówienie niczego. Przesłuchania miały często gwałtowny przebieg i niektórzy konspiratorzy dawali się przekonać czy zastraszyć do zeznań czy też podjęcia współpracy z SB. Policja polityczna również odnosiła sukcesy w walce z podziemną Solidarnością. Nigdy jednak nie udało się jej całkowicie pokonać. 📌

Jan Olaszek – historyk, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN; przygotowuje książkę o podziemnym dziennikarstwie w czasach Solidarności



Fot. NAC

„Żółte firanki”

Jerzy Kochanowski

Nie wiadomo, czy wszystkie istniejące w latach 1945–1956 „sklepy specjalne” miały w witrynach rzeczywiście żółte firanki. Taka nazwa jednak skutecznie do nich przyłgnęła i przyjęła się zarówno w potocznej, jak i literackiej polszczyźnie. Z pewnością były to zasłony gęste, dobrze chroniące przed wzrokiem ludzi z ulicy.

Zarówno wojskowi (oczywiście ci wyżsi stopniem), jak funkcjonariusze Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego czy działacze państwowi już od 1945 roku dysponowali własnymi kanałami zaopatrzenia. W skład konsumów – bo tak brzmiała nazwa tych placówek – wchodziły nie tylko sklepy, lecz także zakłady produkcyjne, a także majątki rolne (do końca lat czterdziestych nieraz wykorzystywano w nich pracę niewolniczą, np. więź-

niów, jeńców wojennych czy cywilnych Niemców). Dostarczały one początkowo artykułów nie luksusowych, lecz podstawowych, zaspokajając całkowite zapotrzebowanie na nie, po – co miało olbrzymie znaczenie – niskich cenach urzędowych. Zwykle jzadacze chleba, którzy – w przeciwieństwie do oficerów czy milicjantów – nie mieli uprzywilejowanego dostępu do żywności, dużą część zakupów musieli robić na wolnym rynku, wydając nieraz dziesięć, dwanaście razy więcej!

Sklepy „za żółtymi firankami” były podzielone na kilka kategorii. Te najlepsze, tzw. sklepy rządowe, znajdowały się – co zrozumiale – przede wszystkim w Warszawie i były przeznaczone dla najbardziej prominentnych funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa, wyższych oficerów, członków rządu, przedstawiciele najwyższych instancji partyjnych. Miały nie tylko najlepsze zaopatrzenie, nowocześniejsze wyposażenie, miłą obsługę, lecz także niższe ceny niż w konsumach dla szeregowych funkcjonariuszy czy w normalnych placówkach handlowych. Te luksusowe sklepy – o których opowiadał w audycjach w Radiu Wolna Europa Józef Światło, zbiegły w 1953 roku na Zachód podpułkownik Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego – budziły zazdrość i wściekłość nie tylko przeciętnych obywateli, lecz także niższych funkcjonariuszy. Ich bowiem również obowiązywała reglamentacja, w swoich sklepach też musieli nieraz stać w kolej-

kach i nie zawsze dostawali wymarzony towar. Nawiasem mówiąc, chociaż sklepy „za żółtymi firankami” były lepiej zaopatrzone i wyposażone (już w latach czterdziestych miały np. elektryczne lodówki, rzadkość w „cywilnej” sieci handlowej), to personel podobnie oszukiwał, a manka, defraudacje i kradzieże należały do codzienności.

Już na początku odwilży 1956 roku władze były świadome politycznego znaczenia sklepów specjalnych. Zwłaszcza od momentu, kiedy wiosną tamtego roku Januszowi Chudzyńskiemu, dziennikarzowi tygodnika „Po Prostu”, odgrywającego podczas odwilży olbrzymią rolę w kształtowaniu opinii publicznej, udało się dostać do takiego sklepu i go opisać. Różnica między tym, co dziennikarz zobaczył w środku, a tym, co można było kupić w normalnych sklepach, wywołała falę krytyki. Redakcja została zalana listami od oburzonych czytelników, nieraz członków partii. Rewolucyjne rozwiązanie zaproponowane przez władze – likwidacja wszystkich sklepów za żółtymi firankami i przekazanie ich

normalnej, „cywilnej” sieci handlowej – wzbudziło olbrzymi sprzeciw uprzywilejowanych. Ostatecznie przyjęto rozwiązanie kompromisowe: zlikwidowano sklepy, do których można było wejść z ulicy, utrzymując sieć zamkniętych, niedostępnych dla przypadkowych przechodniów stołówek i kantyn, w których milicjanci czy funkcjonariusze partyjni mogli również robić zakupy.

Wygląd półek w milicyjnych czy partyjnych bufetach bywał, zwłaszcza w okresach pogarszającego się zaopatrzenia (co w PRL było zjawiskiem permanentnym), powodem zazdrości i frustracji. Nieraz uczucia te znajdowały spektakularne ujście. Na przykład kiedy w czerwcu 1976 roku demonstrujący po ogłoszeniu podwyżek mieszkańcy Radomia wdarli się do gmachu Komitetu Wojewódzkiego PZPR, znaleźli w bufecie puszki z szynką, o których przeciętny robotnik mógł tylko pomarzyć. Było to jednym z powodów zdemolowania budynku i eskalacji całego radomskiego konfliktu.

Do końca istnienia systemu grupa uprzywilejowana zaopatrywała się

w taki sposób nie tylko w żywność, lecz także w niedostępne na normalnym rynku meble, pralki czy lodówki. Po 1956 roku utrzymano również jeden „sklep specjalny” (na tyłach warszawskiej ulicy Nowy Świat), w którym zagraniczni dyplomaci i dziennikarze mogli się zaopatrzyć w zawsze trudno dostępne – a w latach 1981–1989 reglamentowane – mięso. Jako że mogli kupować nieograniczone ilości, nieraz zaopatrywali w mięso czy wędliny również polskich znajomych. „Co tydzień tam chodziliśmy, niemalże z walizami. I kupowaliśmy, bo tam można było kupić, ile się chce. I to się nie kupowało tam piętnaście deko plasterków baleronu, tylko się kupowało cały baleron, całą szynkę, cały kawał wołowiny. Nawet już ledwo dochodziliśmy do samochodu z tymi walizami, to już mieliśmy nóż w samochodzie i już to rozkrajaliśmy i porcjowaliśmy dla rodziny i znajomych, którzy podchodzili po prostu i brali od nas” – wspomina w relacji dla Archiwum Historii Mówionej Domu Spotkań z Historią Chris Niedenthal, fotograf z brytyjskim paszportem, pracujący wtedy w Warszawie. Nawiasem mówiąc – jak pisze Maciej Kuczewski w książce *Rumunia. Koniec złotej epoki* – identycznie postępowali polscy dziennikarze w Bukareszcie, zaopatrując w mięso rumuńskich przyjaciół.

Dawny warszawski „sklep specjalny” istnieje zresztą w tym samym miejscu do dzisiaj, gwoli tradycji nazywa się „Dyplomata”, tyle że jest oczywiście dostępny dla wszystkich. Termin „żółte firanki” jest zaś w dalszym ciągu powszechnie używany dla określenia nagannych i nieuzasadnionych przywilejów elit. 🍷

Korzystałem z książki Mariusza Jastrzębia *Puste półki. Problem zaopatrzenia ludności w artykuły powszechnego użytku w Polsce w latach 1949–1956*, Warszawa 2004.

prof. dr hab. Jerzy Kochanowski – pracownik Zakładu Historii XX Wieku Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego, autor m.in. *Tyłnymi drzwiami. „Czarny Rynek” w Polsce 1944–1989* (2010)



Fot. NAC

➤ Pełne półki, miła obsługa – rzadkość w ogólnodostępnych peerelowskich sklepach, norma „za żółtymi firankami”

Orły ochotników z USA i Kanady do Armii Polskiej we Francji

Tomasz Zawistowski



Fot. ze zbiorów autora

► Orzeł ochotników z Ameryki Północnej do Armii Polskiej we Francji, rok 1917

„Ten mój szwagier mówi do mnie: – Słuchaj szwagier, ty na wojnę nie pojedziesz, bo jak będziesz miał wyjeżdżać, to ja ci przynajmni nogę złamię, co nie będziesz móg jechać. [...] – Ja się jego bał, bo [...] był dość silny, to gotów to uczynić. On mnie bardzo szanował i nie chciał, abym ja na wojnę jechał. Lecz jednego razu dostał zawiadomienie do Montreal i tam musiał pojechać. To ja wtenczas pożegnałem się z moją siostrą, wsiad na pociąg i pojechałem do Toronto. – Poszedłem do rekrutacyjnego polskiego biura i tam się zapisałem na ochotnika do polskiej armii” – wspominał Józef Samulski.

Wybuch wojny w sierpniu 1914 roku spowodował natychmiastową reakcję licznie zamieszkujących Francję Polaków, którzy zaczęli zgłaszać się ochotniczo do szeregów francuskiej armii. W pierwszych dniach wojny w Paryżu zawiązano Komitet Ochotników Polskich dla Służby w Armii Francuskiej, na którego wezwanie już w sierpniu stawiło się 1500 rekrutów. W Bajonnie rozpoczęto tworzenie pierwszych oddziałów. Narodziła się koncepcja utworzenia armii polskiej na ziemi francuskiej.

Nastrój radosnego entuzjazmu został powstrzymany przez natychmiastowy protest poselstwa rosyjskiego w Paryżu. Francuzi, związani z Moskwą sojuszem, zrezygnowali z tworzenia oddziałów polskich, większość ochotników zaś wcielili do oddziałów francuskich. Zorganizowany już polski oddział w sile około czterystu ludzi, zwanych od miejsca formowania Bajonczykami, zaliczono do struktur Legii Cudzoziemskiej i w październiku, po przeszkoleniu, wysłano na front. Jedynym jego polskim symbolem był sztandar z orłem, zaprojektowany przez Xawerego Dunikowskiego. Tocząc do połowy 1915 roku krwawe, zwycięskie walki, oddział polski we francuskich mundurach został właściwie zdziesiątkowany, a na skutek braku uzupełnień rozformowany. Na kolejne dwa lata sprawa polskiego wojska we Francji przestała istnieć.

Nowa rzeczywistość

Rok 1917 przyniósł zmiany, których przyczyny leżały po obu stronach frontu. Fakt istnienia Legionów Polskich walczących u boku Austrii i Niemiec oraz chęć zbudowania przez te państwa stutysięcznej armii polskiej pod niemieckim dowództwem doprowadziły do ogłoszenia Aktu 5 Listopada 1916 roku, przyznającego Królestwu Polskiemu namiastkę niepodległości. Wywołało to burzliwą reakcję polskich środowisk emigracyjnych pozostających po stronie ententy. Dodatkowo nacisk na udział emigracji w trwającej już od lat wojnie zbiegł się w czasie z rosyjską rewolucją lutową. Pod koniec marca Piotrogrodzki rząd tymczasowy księcia Gieorgija Lwowa potępił rozbiory Polski, a w tym samym czasie drastycznie malała waga, którą dotychczas opinia francuska przywiązywała do zdania Rosji. Stopień demoralizacji żołnierzy rosyjskich dywizji przebywających we Francji stan ten jeszcze pogłębiał. Zmęczeni wojną alianci potrzebowali każdego sojusznika, zatem sprawa stworzenia armii polskiej we Francji zyskała nawet aprobatę brytyjską. Głównym przeciwnikiem tego pomysłu były francuskie

koła wojskowe, obawiające się utraty Polaków z szeregów własnej armii. Z kolei liczba jeńców narodowości polskiej – byłych żołnierzy państw centralnych – była niewystarczająca. W tej sytuacji naturalnym źródłem polskich ochotników wydawały się Stany Zjednoczone, gdzie polskie środowiska od dawna już szykowały się do walki. Istniała jednak przeszkoda – ich przybrana ojczyzna była neutralna. Do czasu.

Zdarza się, że element drobny w skali historii przeważa szalę wielkich wydarzeń. Nie lekceważąc tragedii ludzkich, trzeba przyznać, że śmierć 124 osób w porównaniu ze stratami całej wojny światowej to niewiele. Tymczasem tyłu właśnie obywateli USA zginęło w wyniku zatonięcia „Lusitani”, statku pod brytyjską banderą, storpedowanego przez niemiecki okręt podwodny w maju 1915 roku. Zapoczątkowana przez tę tragedię niechęć amerykańskiej opinii publicznej do państw centralnych, podsycana kolejnymi wydarzeniami, doczekała się kulminacji w chwili ujawnienia propozycji sojuszu przeciwko Stanom Zjednoczonym, złożonej przez Niemcy Meksykowi. Miara się przebrała. W kwietniu 1917 roku Stany Zjednoczone Ameryki Północnej przystąpiły do wojny.

► Naszywka z orłem haftowana maszynowo i rozprowadzana wśród ochotników z Ameryki

Niagara-on-the-Lake i Cambridge Springs

Kanada, brytyjskie dominium, pierwsza udzieliła gościny ochotnikom z USA, przyszłym polskim żołnierzom. Już od 1 stycznia 1917 roku pierwsza grupa, licząca 23 słuchaczy, przechodziła przyspieszony kurs oficerski w szkole w Toronto. Wkrótce potem, 19 marca, nie dbając o stanowisko neutralnych jeszcze Stanów Zjednoczonych, otwarto polską szkołę oficerską w Cambridge Springs w Pensylwanii. W ciągu kolejnych siedmiu miesięcy ukończyć ją miało blisko czterystu słuchaczy.

Podczas pierwszych trzech miesięcy od przystąpienia USA do wojny prawie 40 tys. Polaków zgłosiło się ochotniczo do Armii Amerykańskiej. Co prawda już w początku czerwca dekretem prezydenta Francji Raymonda Poincaré została utworzona Armia Polska, niemniej oficjalne werbowanie do jej szeregów polskich ochotników z Ameryki Północnej rozpoczęto dopiero 7 października. Już w listopadzie ponad 3 tys. chętnych znalazło się w kanadyjskim obozie w Niagara-on-the-Lake, w prowincji Ontario. Francuski statek „Niagara” zabrał pierwszą partię ludzi do Francji rejsiem z Nowego Jorku do Bordeaux w grudniu 1917 roku. Szesnastomiesięczna akcja werbunkowa w Ameryce ►



Fot. ze zbiorów Krzysztofa Barbarskiego

Północnej, zakończona rozkazem gen. Hallera w lutym 1919 roku, przyniosła efekt w postaci ponad 20 tys. żołnierzy.

Polskie orły z New Jersey

Najprawdopodobniej pierwszym godłem, które otrzymywali polscy ochotnicy, była haftowana maszynowo naszywka prezentowana na ilustracji na str. 53. Orzeł przedstawiony na niej nie miał korony, podobnie zresztą jak na wielu plakatach werbukowych, godłach z nakryć głowy i chorągwiach organizacji polonijnych. Jak dotąd nie udało się stwierdzić, czy naszywki tej używano jako emblematu do czapek bądź mundurów. Dała ona jednak początek godłu metalowemu, wybitemu z mosiężnej blachy i posrebrzanemu, zaopatrzonemu na odwrocie w słupek gwintowany z nakrętką.

Na okrągłej nakrętce mocującej orła widniała sygnatura istniejącej od 1892 roku firmy

▶ Alojzy Bogdanowicz z Chicago, szesnastoletni ochotnik do Armii Polskiej, żołnierz 4. Pułku Strzelców Polskich, ranny w Szampanii, odznaczony *Croix de Guerre*

Whitehead & Hoag z Newark w stanie New Jersey. Przedsiębiorstwo to było jednym z największych na świecie producentów drobnych wyrobów reklamowych. To ono pierwsze, na podstawie własnego patentu, wprowadziło tak popularne później na świecie znaczki celuloidowe, a także guziki, oznaki metalowe i haftowane. Jak przystało na wyrób renomowanej firmy, orły z napisem ARMIA POLSKA były wykonane solidnie i z dużą dbałością o detale techniczne, wliczając w to blaszkę zabezpieczającą je przed obracaniem wokół słupka mocującego.

Orły z napisem wydano żołnierzom w obozie Niagara-on-the-Lake, o czym wspominał nieco zniekształconą polszczyzną ochotnik Józef Samulski, którego wspomnienie było cytowane już wyżej: „Patrzę, jak się ci żołnierze ubierają: to jedyn ma czarne spodnie, czerwony mądur, a zieloną czapkę, drugi znów przeciwnie. Lecz każdy miał na czapce orzełka, na którym był napis:

Armia Polska. Ja jeszcze takiego krasego wojska nigdzie dotychczas nie widział. [...] Później, we Francji, w Nancy, w szeregach 1. Dywizji już nie mieli więcej tych krasych mundurów i byli wszyscy umundurowani w francuskie mundury. Tylko różnica była od Francuzów czapki rogatywki i mieliśmy białe orły na pagonach. A te orzełki, cośmy mieli u czapek w Canadzie, poprzyczepiali my do rogatywek. Wszyscy my byli jednakowo ubrani i już się czuli jako żołnierze”.

Orły po drugiej stronie oceanu

Już w 1. Pułku Strzelców, biorącym w lipcu i sierpniu 1918 roku udział w walkach frontowych, znalazło się wielu ochotników z Ameryki Północnej. Żołnierze pułku wyruszającego na front nie otrzymali orłów, których uznanie przez stronę francuską było jeszcze przedmiotem negocjacji. W tej sytuacji godła z napisem ARMIA POLSKA trafiły natychmiast na rogatywki, tak jak to opisał Samulski. Gdy w lutym 1918 roku oddział znalazł się w położonym w strefie przyfrontowej obozie Sainte-Tanche, żołnierzom wydano wśród innego

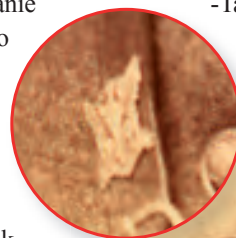


Fot. ze zbiorów autora



Fot. ze zbiorów autora

▶ Ochotnik Józef Juszczak z orłami na czapce i kołnierzu



Fot. ze zbiorów autora

▶ Porucznik Piotr Kielkowski z 4. Pułku Strzelców Podhalańskich (dawnego 19. Pułku Strzelców Polskich) z orłem na koalicyjce; Biedrusko, rok 1922

ekwipunku bojowego również hełmy, których noszenie stało się od tej chwili obowiązkowe. Ochotnicy z Ameryki umieścili swoje orły na hełmach, które zresztą już w momencie fasowania były pozbawione emblematów francuskich. Stało się to przyczyną konfliktu w chwili, gdy francuskie dowództwo nakazało natychmiastowe usunięcie „nieregularnych” godeł. Stawka w tej rozgrywce była bardzo duża, w razie bowiem odmowy usunięcia orłów dowództwo zagroziło dowódcy pułku wycofaniem jego oddziału z linii. Konflikt został zażegnany przez polskich oficerów obietnicą ponownego nałożenia orłów po mającym nastąpić niebawem przetransportowaniu pułku na front, gdzie nie sięgała już władza żandarmerii. Na takie rozwiązanie nie przystał jedynie dowódca 7. Kompanii, por. Zygmunt Piątkowski, były sztabkapitan armii carskiej, którego kompania zachowała godła na hełmach. Porucznik został później ukarany aresztem domowym i wstrzymaniem należnego mu awansu.

Orły z napisem ARMIJA POLSKA powróciły na czapki żołnierzy i były noszone nie tylko w trakcie działań wojennych, ale i po ich zakończeniu, o czym świadczy przykład Alojzego Bogdanowicza z Chicago. Ten szesnastolatek, udając o dwa lata starszego, zaciągnął się do 1. Pułku Strzelców, odniósł ranę podczas walk w Szampanii i został przedstawiony do odznaczenia *Croix de Guerre*. Na ilustracji na str. 54 widać wyraźnie, że orła z napisem ARMIJA POLSKA nosił na rogatywce już po otrzymaniu tego odznaczenia.

Godła omawianego typu noszono niekiedy równolegle na nakryciu głowy oraz na kołnierzu bluzy. W latach międzywojennych bywały wpinane w otwór koalicyjki, do którego doskonale pasował ich zaczep. Popularność tego wzoru spowodowała uruchomienie w Warszawie od połowy 1919 roku produkcji odlewanych z żeliwa



► Oficerowie Armii Polskiej we Francji w czapkach bez żadnych oznak narodowych

wtorników amerykańskiego oryginału, mocowanych na pionową agrafę. Orły te, podobnie jak ich tłoczone pierwowzory, noszone były również przez żołnierzy niebędących ochotnikami z Ameryki.

Ochotnicy mogą odejść

Liczba ochotników z Ameryki do Armii Polskiej była zdecydowanie niższa od liczby Polaków z USA walczących przeciwko Niemcom pod gwiazdzistym sztandarem. Duża część ochotników, po przybyciu do Polski wiosną 1919 roku i po scaleniu osiemdziesięcioletniej armii gen. Józefa Hallera z Wojskiem Polskim, wzięła udział w kolejnych wojnach, z Zachodnioukraińską Republiką Ludową i z bolszewicką Rosją. Przymusowa, błyskawiczna demobilizacja, przeprowadzona częściowo jeszcze w 1919 roku, a dokończona zaraz po zakończeniu wojny bolszewickiej, a także sposób wywiązania się Rzeczypospolitej ze zobowiązań wobec jej żołnierzy, były gorzkimi doświadczeniami dla weteranów. Na amerykańskich statkach powróciło do Nowego Jorku 12,5 tys. byłych ochotników. Powojenne losy i ówczesna sytuacja ekonomiczna wielu z nich nie były godne pozazdrosczenia.

Historia zatoczyła krąg i po blisko ćwierć wieku, w marcu 1941 roku, do sąsiadującej ze znów neutralnymi Stanami Zjednoczonymi, wciąż gościnniej Kanady, przybyła kolejna polska misja werbunkowa. Polonia amerykańska pamiętała i wyciągnęła wnioski. Tym razem lista ochotników nie osiągnęła nawet tysiąca nazwisk. 🇺🇸

Fot. ze zbiorów Krzysztofa Barbarskiego

Tomasz Zawistowski – autor trzech tomów monografii polskiego orła wojskowego, urzędniczego i szkolnego *Polskie orły do czapek w latach 1917–1945*

► Polski plakat z okresu wojny 1920 roku



Fot. ze zbiorów Muzeum Wojska Polskiego

► Patrol polskiej Straży Granicznej nad Popradem; uzbrojenie stanowią przerobione karabinki systemu Mosina z polskimi bagnetami wz. 24

Bagnet na broń!

Michał Mackiewicz

Odkąd pod koniec XVII wieku bagnet pojawił się na polu walki, niezmiennie pozostaje standardowym wyposażeniem żołnierza uzbrojonego w karabin bądź karabinek. Oczywiście w wyniku długoletniej ewolucji zarówno forma, jak i rola tej broni uległy daleko idącym zmianom.

Na przełomie XVII/XVIII wieku za sprawą bagnetu dokonała się istna rewolucja w organizacji i taktyce walki piechoty. Podział na muszkieterów i pikinierów zniknął na zawsze, od-tąd każdy żołnierz miał być identycznie uzbrojony – w skałkowy karabin i bagnet.

Czasy świetności

Ojczyzną tego ostatniego jest Francja, a sama nazwa pochodzi od miejscowości Bajonna, gdzie z początku go produ-

kowano. Masywne i długie sieczno-kłujące klingi miały drewnianą lejkowatą rękojeść, którą zatykano w lufie niczym szpunt, czyniąc z broni palnej całkiem poręczną broń drzewcową. Strzelcy mogli sami, stojąc rzecz jasna w zwartym szyku, skutecznie się bronić, zwłaszcza przez atakiem kawalerii. Zasadniczą wadą bagnatów szpuntowych był brak możliwości oddania strzału. Stąd też już w początkach XVIII stulecia upowszechnił się bagnet tulejowy, całkowicie stałowy, zazwyczaj o wąskiej głowni sposob-

nej tylko do kłucia, osadzany na lufie, a nie w niej. Dzięki temu żołnierz mógł nie tylko prowadzić ogień z karabinu, lecz także go ładować. Do lat sześćdziesiątych XIX wieku tulejowe bagnety kłujące bezwzględnie dominowały, potem znaczną popularność zdobyły bagnety sieczne (m.in. o imponujących głowniach jataganowych), wyposażone w klasyczne rękojeści z różnymi systemami zatrzaśków lub blokad. Złote czasy bagnetu to oczywiście XVIII i XIX wiek, kiedy to atak z jego wykorzystaniem należał do zasadniczego elementu taktyki piechoty. Z tego też okresu pochodzi słynna fraza „kula głupia, bagnet zuch”, wypowiedziana przez rosyjskiego feldmarszałka Aleksandra Suworowa. Tymczasem gwałtowne, brawurowe natarcia z bagnetami, znane z licznych opisów bitew choćby z epoki napoleońskiej, rzadko kończyły się równie zajadłym starciem wręcz, a straty zadane bagnetem stanowiły zazwyczaj tylko ułamek z całości. Po prostu jedna ze stron zazwyczaj ustępowała pola, szukając sposobności do zatrzymania atakujących ogniem karabinowym lub ostrzałem artyleryjskim.

Krótko, coraz krócej...

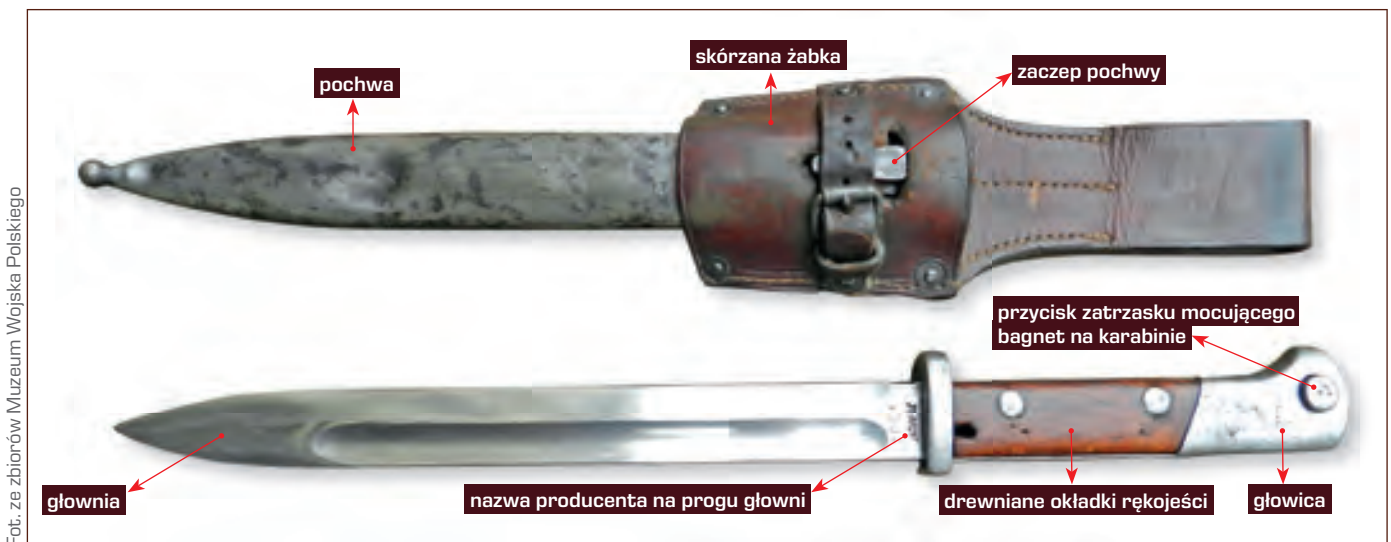
Pojawienie się pod koniec XIX wieku nowoczesnej broni strzeleckiej, precyzyjnej i – co najważniejsze – szybkostrzelnej, musiało doprowadzić do ograniczenia

► Bagnet do AK w konfiguracji nożyc do cięcia drutu



roli bagnetu na polu walki. Tymczasem największe armie świata weszły w XX wiek doskonale co prawda uzbrojone – w wielostrzałowe karabiny i broń maszynową – ale zupełnie zacofane, jeśli chodzi o taktykę walki. Dopiero wstrząs wywołany pierwszymi miesiącami wojny światowej, kiedy falowe ataki piechoty rodem z epoki napoleońskiej doprowadziły do niewyobrażalnych ofiar, uświadomił wszystkim, że epoka bagnetu definitywnie dobiegła końca. Tym bardziej że w walce okopowej praktyczniejsze okazywały się pistolet, saperka i granat, niżli długaśny bagnet (głównie regulaminowych bagnetów francuskich i niemieckich miały ponad pół metra długości).

Popularność zyskały także rozmaite noże szturmowe. Bagnet oczywiście pozostał elementem uzbrojenia, ale długość jego głowni uległa znacznemu skróceniu. Tendencja ta utrzymać się miała w kolejnych latach (były co prawda pewne wyjątki) i doprowadziła ostatecznie, już po II wojnie światowej, do upowszechnienia się krótkich bagnetów pełniących rolę noży szturmowych i praktycznych narzędzi pola walki (jak np. radziecki bagnet AK-47, który złączony z pochwą przystaczał się w skuteczne nożyce do cięcia drutów). Po 1945 roku klasyczne natarcia z użyciem bagnetów zdarzały się incydentalnie, choć regulaminy niemal każdej armii przewidywały taką ewentualność. ►



► Polski bagnet wz. 24

Do najsłynniejszych epizodów należą nocne starcie na wzgórzach otaczających Port Stanley (brytyjsko-argentyńska wojna o Falklandy w 1982 roku) oraz brawurowy atak Szkotów z pułku The Argyll and Sutherland Highlanders, przeprowadzony w 2004 roku podczas okupacji Iraku. W wyniku tego ostatniego zabito w walce wręcz kilkudziesięciu rebeliantów bez strat własnych!

Hej, kto Polak, na bagnety!

Zwykliśmy się szczycić wyjątkowymi umiejętnościami szermierczymi i niespotykaną brawurą w atakach z użyciem bagnety. Rzeczywiście, piechota polska doby Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego niejednokrotnie okryła się chwałą, walcząc wręcz z przeważającym liczebnie przeciwnikiem. Tradycję tę kontynuowano w latach I wojny światowej oraz po odzyskaniu niepodległości, a regulamin walki na bagnety (z 1921 roku, uzupełniony w 1928) należał do najważniejszych. „Bój na bagnety jest częstym, a niejednokrotnie rozstrzygającym o zwycięstwie przejawem walki. Mimo szerokiego zastosowania w walce z bliska strzału i granatu ręcznego, żołnierz musi być przygotowany na natarcie wręcz i złamanie oporu przeciwnika bagnetem lub walką pierś w pierś. Umiejętność władania bagnetem wyrabia się przez ciągłe ćwiczenia. Nauka powinna być prowadzona systematycznie, przez cały czas służby w szeregach” – czytamy w instrukcji z 1928 roku.

Po 1918 roku Wojsko Polskie używało rozmaitych wzorów karabinów, stąd mozaika bagnety była ogromna (zdecydowanie przeważały jednak niemieckie i francuskie). Z chwilą zaadaptowania systemu Mausera i rozpoczęcia procesu ujednolicania broni strzeleckiej uruchomiono u nas także produkcję bagnety. Oparto je konstrukcyjnie na krótkim (głównia długości 25 cm) niemieckim bagnecie siecznym S84/98 n.A. (wz. 84/98 nowego rodzaju). Do 1939 roku zdążono wprowadzić kilka nieznacznie się różniących modeli (wz. 1922, 1924, 1927 i 1928). Znalazły one zastosowanie w wojnie obron-

nej 1939 roku, używano ich także w partyzancie. W 1939 roku doszło do kilku większych ataków na bagnety, przy czym zawsze podkreślano wyraźną przewagę polskiego piechura nad niemieckim w tym konkretnym elemencie walki. Jednym z najsłynniejszych wrześnieowych epizodów był zacięty nocny bój o Kałuszyn, toczony przez żołnierzy 1. Dywizji Piechoty Legionów (słynna „żelazna dywizja”). Dowódca 6. Pułku Piechoty, płk Stanisław Engel, wydał wówczas słynny rozkaz: „Bagnet na broń! Nie strzelać.



Fot. ze zbiorów autora

► Niemiecki żołnierz z karabinem Mauser M1871/84 i dopasowanym do niego bagnetem S98 (regulaminowy niemiecki bagnet w początkowym okresie I wojny światowej; potem ich głównie fabrycznie skracano)

Broń zabezpieczyć. Walczyć bagnetem albo kolbą. A w ostateczności granatem”. W wyniku bezpardonowego, krwawego starcia Polacy odzyskali miasto (ocenia się, że poległo do czterystu żołnierzy). Dzisiaj polskie bagnety z okresu dwudziestolecia międzywojennego należą do najbardziej cenionych egzemplarzy kolekcjonerskich, szczególnie te, które związane są z konkretnym miejscem lub wydarzeniem.

Po II wojnie światowej i przyjęciu do uzbrojenia karabinka Kałasznikowa, zaadaptowano w Polsce bagnet wzorowany na radzieckim. W ostatnich latach podjęto prace nad jego modernizacją, mającą na celu zwielokrotnienie właściwości (ewolucja w stronę praktycznego noża bojowego). Jak zapisano w założeniach taktyczno-technicznych, nowy nóż „powinien funkcjonować jako narzędzie do walki bezpośredniej oraz wykonywania innych czynności, takich jak: cięcie różnych materiałów, drutu, otwieranie konserw, sporządzanie zapalników lontowych, zaciskanie spłonek, piłowanie, klucie, wbijanie”. W efekcie powstał nóż wojskowy wz. 1999.

Szermierka na bagnety pozostaje stałym elementem szkolenia żołnierzy (do treningów używa się tępych bagnety ćwiczebnych), wyrabiając u żołnierzy ducha zaczepnego. Nie należy też zapominać, że pomimo unowocześnienia pola walki, bagnet może się okazać w pewnych sytuacjach orężem pierwszoplanowym (np. w przypadku braku amunicji strzeleckiej czy granatów). Jest jeszcze jeden aspekt, który powoduje, że ta długowieczna broń nie zniknie z wojskowych arsenałów: ceremoniał wojskowy. Kompanie reprezentacyjne wszystkich niemal armii (a także wojsko w szyku defiladowym) zawsze występują z karabinami lub karabinkami z założonymi bagnetami. To zupełnie zrozumiałe, wszak bagnet bez wątplenia zaliczyć należy do broni szlachetnych. 🗡️

Michał Mackiewicz – archeolog, pracownik Działu Historii Wojskowości Muzeum Wojska Polskiego; zajmuje się historią wojen i uzbrojenia oraz archeologią militarną; autor licznych artykułów o tematyce historyczno-wojskowej; współautor książki *Kirchalm-Kłuszyn, zwycięstwa husarii* (2011)

Subiektywnie o 13 grudnia

Kamila Sachnowska

Zespół pracujący nad upamiętnieniem 32. rocznicy stanu wojennego zmierzył się z niełatwym zadaniem. Przypomnieć stan wojenny? Przecież żyją jeszcze ludzie, którzy świetnie pamiętają ponurą noc i poranek, kiedy to skonsternowane dzieci zamiast piana koguta z popularnego programu telewizyjnego usłyszały słowa generała, informującego naród o wprowadzeniu stanu wojennego.

12 grudnia 2013 roku. Nerwowa atmosfera w biurze. Koordynator projektu, Małgorzata Żuławnik, prowadzi kilka rozmów jednocześnie, wydając ostatnie dyspozycje, pakując naklejki, rozstrzygając dylematy, ile komu ulotek podesłać. Już za kilka godzin rusza pierwsza z akcji – na Pałacu Kultury pokaże się Światło Wolności, znak pamięci o ofiarach stanu wojennego. Od 18.00 będzie też można zapalić świecę kliknięciem na naszych stronach internetowych.

Wychodzę z pracy – grudniowy wieczór, bryła pałacu jak w *Małej Apokalipsie* Konwickiego góruje nad Śródmieściem. Biegam dookoła gmaszyska, wypatruję Światła – i nic. Tak jakby stalinowska budowla nie chciała być miejscem, gdzie Światło Wolności płonie na chwałę idei, które przecież nie leżą u jej fundamentów – wolności, demokracji, niepodległości. Problemy techniczne czy klątwa Stalina? Budynek kapituluje dopiero po 22.00 – na jego fasadzie widać wreszcie datę, świecę i napis „Ofiarom stanu wojennego”. Oglądam to dopiero następnego dnia i czuję się tak, jakby nad Pałacem odprawiono coś w rodzaju egzorcyzmu. Ta świeca i ten napis usprawiedliwiają w moich oczach obecność w stolicy tego „sowieckiego tortu”, przynajmniej w tym momencie.

13 grudnia 2013 roku. W biurze napięcie – czym się skończy ten dzień kumulacji imprez, które przygotowaliśmy od kilku tygodni? Co nie wyjdzie? Co chwila ktoś sprawdza, jak tam wirtualne Światło Wolności – liczba kliknięć na stronie internetowej idzie, co prawda, w tysiące, ale wszystkim się wydaje, że jakoś zbyt wolno. Poczujemy się, że na pewno ludzie zapalą się świece w oknach o 19.30, tak, jak apelowaliśmy.

10.00. Z pl. Konstytucji w Warszawie odjeżdża w pierwszy kurs zabytkowy ikarus – autobus stanu wojennego. Pierwsi pasażerowie – młodzież z warszawskich szkół – wpadają z transparentami i flagami. W autobusie robi się białoczerwono od flag i napisów solidarycą. Wsiadam do autobusu już po południu, ok. 14.00 – nie ma tłoku, ale sporo miejsc zajętych. Dostaję pamiątkowy

► Emilian Kamiński zapala Światło Wolności





Fot. P. Życieński

► Dawni działacze opozycji, odznaczeni Krzyżem Wolności i Solidarności, składają wieniec na grobie ks. Jerzego Popiełuszki

bilet od dziewczyny wystylizowanej na lata osiemdziesiąte, słucham komentarza historyka – Jan Olaszek właśnie opowiada o więzieniu przy Rakowieckiej. Wzruszenie chwyta za gardło dwa razy – w chwili, gdy swoje przeżycia z 13 grudnia 1981 roku wspomina sędziwe małżeństwo, i kiedy słyszę pierwsze akordy piosenki Przemysława Gintrowskiego: „Gdy tak siedzimy nad bimbrem / ojczyzna nam umiera / gniją w celach koledzy / wolno się kręci powielacz...”.



Fot. K. Stronczewski

► Autobus stanu wojennego i ZOMO na ulicach Warszawy, 13 grudnia 2013 roku

Pasażerowie mają w rękach śpiewniki. Część ich nie potrzebuje, znają ten tekst na pamięć.

14.30 – wybiegam z autobusu na pl. Zbawiciela. W pół godziny docieram do kościoła św. Stanisława Kostki na Żoliborzu. W grudniowej szarówce widać wyraźnie znicze płonące na grobie błogosławionego męczennika, księdza Jerzego. Przed kościołem stoi już wystawa – 56 portretów ofiar stanu wojennego. O 15.00 – w godzinie miłosierdzia Bożego – rozpoczyna się msza za tych, którzy decyzją gen. Jaruzelskiego przypłacili życiem. Po mszy otwarcie wystawy – z paneli patrzą twarze górników, uczniów, działaczy Solidarności i duchownych. – To twarze zwycięzców – przypomina dr Łukasz Michalski, wicedyrektor Biura Edukacji Publicznej IPN.



Fot. P. Życieński

► Portrety ofiar stanu wojennego przed kościołem św. Stanisława Kostki w Warszawie

Ludzie biorą białe i czerwone znicze, stawiają pod planszami, niektórzy podchodzą do organizatorów, opowiadają o swoich przeżyciach, dziękują. Znowu wzruszenie. Ale nie ma czasu, biegnę do Teatru Kamienica.

Docieram tam o 17.00. Pracownicy BEP są już na miejscu. Powoli schodzą się goście – zaproszeni i niezaproszeni. Biletów na wieczór wspomnień nie można było kupić, można było je wygrać w konkursach na naszym facebookowym profilu. Ci, którym się nie udało, próbują przekonać nas, że powinni być jakieś wejściówki do nabycia. Z przykrością odmawiamy. Sala i tak jest pełna. Emilian Kamiński, ongiś jeden z filarów Teatru Domowego, dziś – dyrektor Teatru Kamienica – wchodzi na scenę z gitarą. Piosenki z podziemnego repertuaru lat osiemdziesiątych uzupełniają wspomnienia aktora, *Wrona pindolona* wzbudza uśmiech, *Zrujnowany kraj* – raczej rozgoryczenie. Wieczór kończy zapalenie Światła Wolności na scenie, Kamiński intonuje kolędę.

Wracam do domu. W niektórych oknach płoną świece – Światła Wolności. Nie czcimy stanu wojennego. Te świece są dla jego ofiar. ❄️

Kamila Sachnowska – historyk, naczelnik Wydziału Edukacji Historycznej BEP IPN

Wołyń – wyprawa na skrwawione ziemie

Sergiusz Kazimierczuk

– To wyprawa, na którą czekałem – mówi Jakub Pacześniak, nauczyciel literatury i języka polskiego na uniwersytecie w Bańskiej Bystrzycy. Rozmawiamy w trakcie podróży na Wołyń, która była nagrodą dla zwycięzców w konkursie IPN na scenariusz lekcji „70 lat po Zbrodni Wołyńskiej”.

Dla Jakuba Pacześniaka Wołyń to temat podwójnie ważny – ze względów dydaktycznych i rodzinnych. – Moja prababka była Polką, a pradziadek Ukraincem. Mieszkali w Zaścianoczu koło Trembowli. W 1944 roku rodzinie udało się stamtąd ewakuować, pradziadek, jako Ukraińiec, został. Sądził, że kiedy skończy się wojna, uda się wszystkim wrócić. Jednak został zamordowany – tłumaczy wykładowca.

– Wjeżdżamy na skrwawione ziemie – mówi Ewa Siemaszko, gdy przekraczamy granicę polsko-ukraińską w Dorohusku. Rzeka Bug w 1943 roku wyznaczała granicę zbrodni. W szpitalu Czerwonego Krzyża w Chełmie uchodźcy z Wołynia znajdowali wybawienie.

Ewa Siemaszko, od lat zajmująca się tematyką zbrodni wołyńskiej, współautorka książki *Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939–1945*, oraz Leon Popek, pracownik lubelskiego oddziału IPN, autor książki *Ostrówki. Wołyńskie ludobójstwo*, to eksperci, którzy podróżują z laureatami konkursu.

– Wyjazd na Wołyń jest naturalnym uzupełnieniem konkursu. Jest to terenowe konwersatorium, podczas którego odwiedzamy miejsca, które występowały w scenariuszach

lekcji. Chciałbym, żeby nauczyciele wrócili tutaj ze swoimi uczniami, kolegami z pracy. Mam również nadzieję, że młodzież wraz z nauczycielami będzie tu przyjeżdżać, aby porządkować miejsca ważne dla naszej kultury i historii – mówi biorący udział w wyprawie dr Andrzej Zawistowski, dyrektor Biura Edukacji Publicznej IPN. ➤

Fot. S. Kazimierczuk

Fot. S. Kazimierczuk

➤ Uszkodzona figura Matki Boskiej – jedyna pozostałość po zniszczonym kościele i wsi Ostrówki



Fot. S. Kazimierzczuk

► Monument upamiętniający Zbrodnię Wołyńską w Porycku



Fot. S. Kazimierzczuk

► „Pamięci około 200 Polaków z Porycka/Pawliwki i majątku Stary Poryck spoczywających na tym cmentarzu”

Naszym zamiarem nie jest zrozumienie tej zbrodni – czego, czego zrozumieć się nie da. Wraz z grupą nauczycieli chcemy odwiedzić miejsca, w których przed wojną mieszkali przedstawiciele wielu narodów – Ukraińcy, Polacy, Żydzi, Czesi, potomkowie Holendrów. Dzisiaj po tych wielonarodowościowych wioskach i miastach pozostał ledwie ślad, a często nie pozostało nic, poza pustymi polami.

Pierwszym przystankiem na naszej trasie są Ostrówki, zniszczone przez Ukraińską Powstańczą Armię. Przed wojną była to tętniąca życiem wioska, obejmująca około stu gospodarstw, dziś to po prostu puste pole. Jedyną pozostałością po wsi jest stojąca w szczerym polu częściowo zniszczona figurka Matki Boskiej, zachowana ze spalonego przez upowców kościoła, która wraz z krzyżem i nową figurką, stoi na miejscu dawnej świątyni. Według obliczeń Leona Popka, w czasie napadu UPA na Ostrówki zginęło co najmniej 474 Polaków.

Poryck – Pawliwka

Kolejnym przystankiem w czasie naszego wyjazdu jest Poryck (dziś Pawliwka), gdzie 11 lipca 1943 roku oddział UPA wymordował polską ludność. Najwięcej osób zginęło w czasie mszy w kościele. Był to kulminacyjny dzień wołyńskiej zbrodni. Tego dnia UPA uderzyła na 99 miejscowości, w których żyli Polacy. Jako dzień ataku nieprzypadkowo wybrano niedzielę – moment gromadzenia się Polaków w świątyniach.

W 2003 roku, w sześćdziesiątą rocznicę mordu, stanął tu jeden z nielicznych pomników na Ukrainie upamiętniających Zbrodnię Wołyńską. Pomnik odsłoniли wspólnie ówczesni prezydenci Polski i Ukrainy – Aleksander Kwaśniewski oraz Leonid Kuczma. Jak przypomniał Leon Popek, to tutaj po raz pierwszy w czasie oficjalnej uroczystości padły słowa o ludobójstwie na Wołyniu.

Pod pomnikiem dostrzegamy kilka jabłek zostawionych przez mieszkańców Pawliwki. Tak prawosławni upamiętniają zmarłych.

Kościół w Kisielinie

Tego samego dnia, już po zmierzchu, odwiedzamy spalony i zrujnowany kościół w Kisielinie, w którym w lipcu 1943 roku toczyła się nierówna walka między upowcami i nieuzbrojonymi Polakami, którzy przyszli na mszę. Około osiemdziesięciu osób, które pierwsze wychodziły ze mszy, rozstrzelano pod dzwonnica, ale wcześniej je rozebrano i skonfiskowano ich ubrania. Pozostali schronili się na plebanii i bronili.

Leon Popek opowiada, jak to wyglądało: – Sotnia uzbrojona w karabiny maszynowe i granaty przez kilkanaście godzin próbowała zdobyć plebanie, gdzie bronili się około czterdziestu osób. Straty polskie wyniosły trzy osoby zabite i kilka rannych. W większości były to kobiety i młodzi chłopcy. Mężczyzn było zaledwie kilkunastu. Bronili się, odrzucając granaty, rzucając kaflami, cegłami, odpychając drabinę. Dobrowolna sotnia UPA nie była w stanie zdobyć plebanii.

► Zrujnowany zamek Radziwiłłów w Olyce – obecnie szpital psychiatryczny dla przestępców

Po zmroku widok zrujnowanego kościoła robi wstrząsające wrażenie – na murach ciągle widoczne są ślady po kulach, w środku – odkryte i zapadnięte krypty, zarośnięte krzakami. Miejscowi wyrzucają tu śmieci.

W milczeniu zapalamy znicze pod znajdującą się obok kościoła tablicą upamiętniającą ofiary zbrodni.

Od Olyki do Krzemieńca

Przed przyjazdem do Olyki Ewa Siemaszko opowiada historię tego miejsca z okresu ludobójstwa – w ołyckim zamku w 1943 roku istniał obóz uchodźczy dla dwóch, trzech tysięcy Polaków, którzy znaleźli tu schronienie. Polacy wraz z Niemcami odpierali ataki UPA, a po opuszczeniu miasta przez jednostki niemieckie ludność polska ewakuowała się do ośrodka samoobrony w Przebrażu.

Obecnie w zamku Radziwiłłów mieści się szpital psychiatryczny dla przestępców. Odwiedzamy również barokową kolegiatę. Świątynia uważana była za najpiękniejszy kościół na Wołyniu. Została zamknięta przez władze sowieckie w 1945 roku i przeznaczona na stajnie dla miejscowego kolchozu. Kościół odzyskał ją ponownie w roku 1991. Pomimo kilkudziesięcioletniej dewastacji i wielu kradzieży, które zdarzały się jeszcze w ostatnich latach, do dziś jest widoczne niesamowite piękno kolegiaty. Trzeba mieć nadzieję, że po remoncie świątynia odzyska swój dawny blask.

Odwiedzamy nie tylko miejsca, gdzie dokonywano zbrodni, ale także miejscowości związane z historią I Rzeczypospolitej, m.in. Międzyrzec Ostrogski czy pięknie odnowiony zamek w Zbarażu, gdzie można zobaczyć wystawę poświęconą Kozakom. Zwiedzamy również Wiśniowiec, w którym w 1944 roku upowcy dokonali rzezi w klasztorze, mordując zakonników oraz chroniących się tu cywilów.

W drodze do Krzemieńca obserwujemy grupy ludzi gromadzących się na uroczystościach na placach i przed pomnikami

w mijanych miejscowościach. Na ulicach powiewają czarno-czerwone upowskie sztandary. Traf chciał, że drugi dzień naszego pobytu na Wołyniu – 14 października – to rocznica powstania Ukraińskiej Powstańczej Armii.

Krzemieńec i Przebraż

Wołyń to nie tylko miejsce ludobójstwa Polaków, to także miejsce, gdzie bujnie rozwijały się kultura i nauka Rzeczypospolitej. W Krzemieńcu w latach 1805–1831 działało Liceum Krzemienieckie, założone przez Tadeusza Czackiego. Szkoła miała ogromne zbiory biblioteczne, pochodzące przede wszystkim z księgozbioru Stanisława Augusta Poniatowskiego, a jej kadre zasilali wybitni profesorowie, m.in. Joachim Lelewel, Józef Korzeniowski, a także ojciec Juliusza Słowackiego – Euzebiusz. To tutaj urodził się i mieszkał autor *Baladyny i Kordiana*. Dzisiaj można odwiedzić jego muzeum, ►

► Ołycki cmentarz



► Cmentarz w Przebrażu



Fot. S. Kazimierczuk



Fot. S. Kazimierczuk

znajdujące się w odnowionym dworcu, w którym przez jakiś czas mieszkali Słowacy.

Punktem kulminacyjnym tego dnia jest wyprawa do Przebraża – symbolu oporu polskiej ludności wobec pogromów dokonywanych przez UPA. Z całej wsi został tylko cmentarz, który był w jej środku.

W pobliskim lesie oglądamy również wgłębienia w ziemi, które, jak tłumaczy Leon Popek, są pozostałościami po ziemiankach, w których mieszkali uciekinierzy.

W Przebrażu, w 1943 roku, została zorganizowana największa polska samoobrona na Wołyniu. Według Ewy Siemaszko, w szczytowym momencie znalazło tam schronienie ok. 10 tys. Polaków, którzy mimo ataków UPA przetrwali aż do wkroczenia Armii Czerwonej na przełomie lutego i marca 1944 roku.

Wyjazd na Wołyn to wstrząsające przeżycie dla nas wszystkich. Zwłaszcza gdy uświadamiamy sobie kontrast między dzisiejszą biedą i wyludnieniem a dawną świetnością i bujnym, wielokulturowym życiem.

– Pobyt w tych miejscach ma w sobie coś sakralnego, a także coś przerażającego. Kiedy zamknie się oczy i przystanie w zadumie, można usłyszeć krzyki tych mordowanych, strzały czy trzaskające płomienie. Jest to coś potwornego, zarazem coś oczyszczającego, dzięki działaniom osób dążących do ujawnienia prawdy i upamiętnienia tej zbrodni. Dzięki nim miejsca te stają się miejscami pamięci. Młodzież musi się z takimi miejscami stykać, wyciągać z tej strasznej lekcji przestrożę na przyszłość, uczyć wzajemnego poszanowania i tolerancji – podsumowuje wyjazd Andrzej Grodzki, polonijny nauczyciel z Niemiec.

Wiele ofiar ludobójstwa na Wołyniu nadal nie ma swoich grobów, a nawet ustalonych miejsc pochówków, wiele miejsc ciągle domaga się upamiętnienia. Dopóki Polacy i Ukraińcy nie rozwiążą tej kwestii, a także nie podejmą próby ustalenia wspólnego stanowiska wobec zbrodni, dopóty Wołyn wciąż będzie niezabliźnioną raną w relacjach między oboma, bliskimi sobie przecież, narodami. 🍂

► Zdeprawowana kolegiata w Olyce wciąż urzeka swym pięknem

Sergiusz Kazimierczuk – historyk, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN

Jak wykraść tajemnice rakiety V-2

Karol Madaj

Serial *Czas honoru* obudził w Polsce zainteresowanie wyczynami cichociemnych. Fala popularności tej produkcji przynosi nam grę *Czas honoru: „Operacja Most III”*, wydaną przez Phalanx Games Polska i Telewizję Polską.

Granie nie jest ilustracją serialu i nie znajdziemy w niej przygód jego głównych bohaterów: Michała, Władka, Bronka i Janka. Opowiada ona historię zdobycia przez wywiad Armii Krajowej sekretów rakiety V-2, w telewizyjnej produkcji próżno zaś szukać tego wątku. Serial i grę łączą za to tytuł i bohaterские wyczyny cichociemnych.

W pudełku znajdujemy talię solidnie wykonanych kart oraz garstkę drewnianych znaczników i kości do gry. Jakość wykonania nie budzi zastrzeżeń, instrukcja jest napisana czytelnie, znalazło się w niej nawet miejsce na zaprezentowanie kilku archiwalnych zdjęć i podanie podstawowych faktów historycznych. Więcej ciekawostek na temat rakiety V-2 można znaleźć na wewnątrz-

nych bokach pudełka. Gracz zainspirowany tematem może też sięgnąć po książkę historyczną, polecaną w instrukcji. Trzeba docenić starania twórców o to, by użytkownicy mogli jak najlepiej poznać historię, którą gra opowiada.

Autorzy zachęcają, by przed przystąpieniem do lektury instrukcji obejrzeć film wyjaśniający zasady gry. To zdecydowanie dobry pomysł i ciekawe rozwiązanie, które chyba warto wprowadzić jako standard w nowoczesnych grach planszowych. Sama rozgrywka, choć początkującym graczom z pewnością wyda się skomplikowana, została opisana bardzo starannie. Na ostatnich stronach instrukcji znajdziemy wyjaśnienie ikon występujących w grze. To ważne, bo wszystkie teksty na kartach zostały zastąpione ikonami, a ich liczba może niejednego przyprawić o zawrót głowy. Czasem potrzeba kilku rozgrywek, żeby się ich nauczyć i zagrać bez pomocy instrukcji. Z uwagi na tę komplikację wydawcy zalecają grę osobom powyżej dwunastego roku życia.

Istota rozgrywki jest jednak stosunkowo prosta. Z kart układa się na stole trzy strefy: bazę raketową, okolice bazy oraz las. W tych strefach gracze prowadzą walkę o przechwycenie jak największej





W nocy z 25 na 26 lipca 1944 roku w rejonie Tarnowa na lądowisku „Motyl” wylądowała dakota z 267. Dywizjonu RAF. Było to trzecie i ostatnie konspiracyjne lądowanie alianckiego samolotu na okupowanym terytorium Polski. Do kraju dostarczono cztery osoby i również cztery z niego zabrano. Dakotą odleciały także, co było szczególnie cenne dla Brytyjczyków, najważniejsze podzespoły (oraz techniczna dokumentacja opracowana przez polskie podziemie) niemieckiej *Wunderwaffe* – rakiety V-2, zdobytej przez Wywiad Armii Krajowej w rejonie wsi Sarnaki.

Właśnie o zdobyciu jak największej liczby fragmentów rakiety V-2 toczy się gra *Czas Honoru: „Operacja Most III”*. W grze przyjęto, że wszystkie kawałki rakiety są tak samo cenne, warto jednak pamiętać, że była zasadnicza różnica, czy udało się Polakom zdobyć, a Niemcom zabezpieczyć, fragment żyroskopowego systemu naprowadzającego rakiety, czy kawałek jej lotki... Przyjęte rozwiązanie, że zwycięzca jest ten gracz, który kontroluje więcej fragmentów, nie jest ścisłe. Niemcom, tak jak Polakom, zależało na zdobyciu wszystkich fragmentów rakiety, a nie ich „większości”.

Gra toczy się równolegle w trzech strefach: dwóch zapleczach – niemieckim (baza raketowa) i polskim (las), a także na ziemi niczyjej (okolica niemieckiej bazy raketowej). Oba zaplecza traktowane są na równych zasadach, co jest dość zaskakujące. O ile bowiem w 1944 roku jedynie silne niemieckie oddziały, wyposażone w broń ciężką, wkraczały do lasów, pozostających faktycznie pod kontrolą polskich partyzantów (co ma odzwierciedlenie w grze), o tyle nawet w 1944 roku nie mogła mieć miejsca sytuacja odwrotna, czyli taka, w której jakiś oddział polskiego podziemia zinfiltrował niemiecką bazę raketową (co w grze jest możliwe).

W *Czasie honoru...* Polacy i Niemcy mają do dyspozycji po trzy rodzaje oddziałów wojskowych, które po obu stronach dysponują taką samą siłą bojową. Tymczasem niemieckie oddziały w czasie ostatniej wojny w niemal każdym starciu z partyzantami dysponowały dużą przewagą, zarówno ilościową, jak i jakościową, w uzbrojeniu i wyszkoleniu. Za stroną polską zazwyczaj przeważyło jedynie zaskoczenie i wyższe morale, dlatego też oddziały partyzanckie były groźne w natarciu, ale znacznie słabsze w obronie i w zasadzie bezradne, kiedy Niemcy wykorzystywali broń ciężką. W grze oddane jest to tylko przez jedną kartę. W *Czasie honoru...* najlepsze polskie oddziały zostały nazwane cichociemnymi, co nie odpowiada prawdzie historycznej. Cichociemni, których na terytorium Polski zrzucono zaledwie 316 (spośród których 169 zostało przeszkolonych, a następnie przydzielonych do dywersji i partyzantki), faktycznie byli elitą Armii Krajowej, tyle że nie działali oni w oddziałach. W partyzantce obejmowali oni jedynie kluczowe stanowiska, do których byli specjalnie przeszkoleni, nigdy jednak nie powstały oddziały tylko z nich złożone. Byli na to zbyt cenni, a poza tym do najważniejszych ich zadań należało przekazywanie swojej wiedzy innym żołnierzom podziemia.

Głównym walorem edukacyjnym gry jest temat, który ona porusza. Zdobycie rakiety V-2 i opracowanie jej technicznej dokumentacji było bowiem największym sukcesem polskiego wywiadu w czasie II wojny światowej. Uproszczony, ale ciekawy sposób, w jaki jest to pokazane w *Czasie honoru: „Operacja Most III”*, pozwala mieć nadzieję, że dla niejednego gracza będzie to początek przygody z odkrywaniem trudnej, ale jakże fascynującej historii Polski w XX wieku.

Maciej Żuczkowski – historyk, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN



liczby części rakiety V-2. Kto znajdzie ich najwięcej, ten wygrywa. Każdy wciela się w jedną ze stron konfliktu i dostaje do ręki karty przedstawiające oddziały oraz specjalne karty akcji, różne dla obu stron. Gracze mają do dyspozycji oddziały żołnierzy, zwiadowców oraz jednostki specjalne, odpowiednio: cichociemnych i esesmanów. W swojej turze gracze zagrywają na stół karty oddziałów i wsparcia. Gdy karty są już na stole, można przesuwać je między strefami w celu zdobycia części rakiety, eskorty własnych jednostek lub ataku na oddziały przeciwnika. W poszukiwaniu części V-2 specjalizują się zwiadowcy, których skuteczność określa się przy pomocy rzutu kością. Wynik rzutu na szczęście możemy modyfikować kartami wsparcia, które mamy na stole, lub kartami specjalnymi zagranymi z ręki. Każdy z graczy na podstawie wylosowanych kart musi więc opracować optymalny plan pozyskania części rakiety. Duża dawka losowości sprawia, że gra zawsze układa się trochę inaczej. Przeważnie najbardziej zażarta walka toczy się w środkowej strefie gry, ale bywa, że wynik całej partii zależy od jednej udanej akcji cichociemnych w bazie raketowej przeciwnika. Rozgrywka, zwłaszcza w ostatnich etapach, może się wydłużać, jeśli wprowadzimy do gry dużą liczbę kart oddziałów. Na szczęście chaos na stole, powiększony obracaniem zużytych kart o dziewięćdziesiąt stopni, można ograniczyć, łącząc karty w kolorystyczne zestawy. Czas gry przeważnie przekracza podane na pudełku 30 minut, tym bardziej że przy rozgrywaniu pierwszych partii stale zerka się na karty pomocy z wyjaśnieniem ikon.

Gra nie nadaje się do wykorzystania w większej grupie w trakcie lekcji, będzie się natomiast świetnie sprawdzać w domu w rękach gimnazjalistów czy licealistów zainteresowanych militariami i historią II wojny światowej. W imię prostoty zasad autor gry, Michał Ozon, zdecydował się na pewne historyczne uproszczenia, co można wybaczyć, zważywszy na fragmenty instrukcji, dzięki którym gracze dostają możliwość pogłębienia swojej wiedzy. 🍀

Karol Madaj – pracownik BEP IPN, współautor gier edukacyjnych IPN, w 2013 roku odznaczony przez Prezydenta RP Złotym Krzyżem Zasługi



Zmarnowana szansa

Jan Olszek

Od upadku komunizmu wciąż czekamy na dobry i ważny film o Powstaniu Warszawskim. *Sierpniowe niebo* niestety takie nie jest.

Powstanie Warszawskie wciąż budzi duże emocje. Niezależnie od tego, jak oceniamy decyzję o podjęciu tego zrywu – czy akcentujemy raczej heroiczną walkę powstańców i wskazujemy na pozytywne skutki powstania, czy też krytycznie odnosimy się do decyzji o rozpoczęciu walk i koncentrujemy się na tragicznych jej rezultatach – zgodzimy się chyba co do tego, że to temat ważny, o którym warto dyskutować.

O Powstaniu Warszawskim napisano już wiele, zarówno szcze-

gółowych prac historycznych, jak i wyrazistych książek publicystycznych. Do upamiętnienia tego wydarzenia i zwrócenia uwagi większej części Polaków czy odbiorców zagranicznych na jego znaczenie niezbędna jest jednak duża fabularna produkcja filmowa. Tym bardziej że w cieszącym się dużą popularnością serialu historycznym *Czas honoru* (opisującym losy grupy cichociemnych w czasie II wojny światowej i w pierwszych latach powojennych) okres powstania został pominięty.

W ostatnich miesiącach w kinach pojawiło się kilka filmów fabular-

nych dotyczących powstania. Jednym z nich jest *Sierpniowe niebo. 63 dni chwały* w reżyserii Ireneusza Dobrowolskiego. Akcja rozgrywa się na kilku planach. Pierwszy stanowią oryginalne materiały filmowe, dokumentujące przebieg Powstania Warszawskiego. Są one zdecydowanie najmocniejszą stroną filmu. Spopularyzowanie ich wśród szerszej widowni należy zapisać na plus twórcom *Sierpniowego nieba*.

Drugi plan stanowią sceny fabularne, pokazujące grupę młodych uczestników powstania w okresie ▶

je poprzedzającym i w czasie samego zrywu. Te fragmenty filmu budzą duże wątpliwości. Pierwszym problemem są wypaczenia w warstwie historycznej. Tak należy ocenić ogłoszenie w trakcie zabawy z udziałem kilkunastu osób, że „to już jutro”. Czy w taki sposób zachowywano wówczas zasady konspiracji? To bardzo wątpliwe. Nie wielka grupa niemal dorosłych już chłopców i dziewcząt, której losy śledzimy w trakcie powstania, jest w pełni uzbrojona – każdy ma pistolet lub karabin. Widz niezający historii może zdobyć przeświadczenie, że było to regułą, co od razu może wpływać na interpretację całego wydarzenia. Co więcej, film dla osób słabo zorientowanych w historii – a chyba z myślą o nich, np. młodzieży, został nakręcony – będzie zupełnie niezrozumiały! Nie poznajemy bowiem tła losów grupki bohaterów *Sierpniowego nieba*. Nie dowiadujemy się prawie niczego o tym, jak powstanie się zakończyło.

Dialogi między głównymi bohaterami są bardzo pompatyczne, a niekiedy zupełnie sztuczne. Postaci są „czarno-białe”, nie mają właściwie żadnych wątpliwości co do słuszności swoich działań. Młoda dziewczyna na słowa sceptycznego wobec romantycznych zrywów dziadka, że powinna przede wszystkim przeżyć wojnę, z entuzjazmem deklaruje gotowość śmierci za ojczyznę. Cała rozmowa odbywa się w piwnicy, w której ukrywa się grupa mieszkańców jednej z kamienic na warszawskiej Woli. Przez dziurę w ścianie wydarzenia obserwuje ukrywający się Żyd – profesor Szapiro, który w pewnym sensie pełni rolę narratora tej historii, zapisującego ją w swoim dzienniku z powstania.

To nagromadzenie wątków również tworzy wrażenie sztuczności. Docenić jednak można zamiar autorów pokazania w tych scenach losów również ludności cywilnej, a nie tylko żołnierzy.

Jeszcze bardziej schematyczny jest trzeci plan filmu – wydarzenia współczesne. Na placu budowy na Woli koparka dociera do ludzkich kości, na których znajduje się białoczerwona opaska. Zły inwestor chce zatuszować sprawę, żeby



nie mieć problemów. To postać negatywna od początku do końca; dowiadujemy się, że wcześniej człowiek ten pracował w Służbie Bezpieczeństwa. Żeby wzmocnić efekt, gra go ten sam aktor, który w scenach historycznych wcielał się w... niemieckiego konfidenta. Trudno o bardziej łopatologiczne wskazanie, jak kogo powinniśmy ocenić.

We współczesnych scenach są też bohaterowie pozytywni, mianowicie hiphopowcy, którzy kultywują pamięć powstania. To jednak pamięć mało refleksyjna, raczej pop-

kułturowa – zdaje się, że ogranicza się do tatuaży i powstańczych graffiti. W rzeczywistości może być inaczej, ale film zupełnie nie pokazał, dlaczego dla tych młodych ludzi powstanie jest czymś ważnym. W tych scenach grają autentyczni znani raperzy. Filmowi towarzyszą nagrane przez nich piosenki. Ich ocena zależy oczywiście od indywidualnego gustu muzycznego, ale z pewnością stanowią dobrą formę przekazania młodym ludziom pamięci o Powstaniu Warszawskim. Wadą filmu jest przepełnienie fabuły niezrozumiałymi scenami, które w zamyśle miały mieć wymowę symboliczną, ale tak naprawdę po ich obejrzeniu trudno zrozumieć, „co autor miał na myśli”. Trudno np. zgadnąć, czy tłum pojawiający się pod koniec filmu na budowie to rzeczywistość czy wyobraźnia jednego z bohaterów.

Sierpniowe niebo. 63 dni chwały to film nieudany. To zmarnowana szansa na przypomnienie Powstania Warszawskiego szerokim kręgom odbiorców, zwłaszcza młodych. Wciąż więc czekamy na film, który będzie adekwatny do znaczenia tej historii, a jednocześnie aspirujący do opowiedzenia jej w sposób nieuproszczony.

Często podnoszony brak funduszy na superprodukcję nie może być chyba usprawiedliwieniem. Powstanie Warszawskie można by przybliżyć w prosty sposób, choćby przez opowiedzenie historii jednej warszawskiej rodziny w tym czasie (tak jak zrobiono to z historią Grudnia '70 w *Czarnym Czwartku* w reżyserii Antoniego Krauze), i z tej perspektywy pokazać i bohaterstwo, i błędy dowództwa, i tragiczne losy żołnierzy, i sytuację cywilów, wyważyć plusy i minusy powstania. Tego wciąż brakuje. 🍷

Zbrodnia bez kary

Grzegorz Wołk

Niewyjaśnione zgony i nieukarani sprawcy to największa tragedia stanu wojennego. Spora grupa ofiar to osoby zupełnie przypadkowe. Jedną z nich był 19-letni mieszkaniec Poznania, Piotr Majchrzak. Zmarł on w wyniku ran odniesionych wieczorem 11 maja 1982 roku, gdy wracał do domu. Jego historię opowiada film dokumentalny Anny Piasek-Bosackiej *Pod opieką operacyjną*.

Sprawa śmierci Majchrzaka nigdy nie nabrała takiego rozgłosu jak śmiertelne pobicie Grzegorza Przemyka przez milicjantów, chociaż w prasie drugoobiegowej pojawiły się artykuły, w których padły oskarżenia o to zabójstwo pod adresem funkcjonariuszy ZOMO. Wiadomość tę podawano także w serwisach informacyjnych Radia Wolna Europa. Natomiast władze upierały się, że Majchrzaka pobił pijany mężczyzna, który śmiertelny cios zadał... parasolką. Wersja „człowieka z parasolką” była przywoływana wielokrotnie, zwłaszcza na sali sądowej.

Fajny chłopak

Twórcy filmu nie ograniczyli się jedynie do opisanego okoliczności śmierci Piotra Majchrzaka. Jednym z bardziej poruszających elementów obrazu jest odtworzenie codzienności nastolatka z lat osiemdziesiątych i klimatu domu rodzinnego. Sylwetki typowej dla tego pokolenia. Można uznać, że do tragicznego, majowego wieczoru 1982 roku prowadził zwyczajne, szczęśliwe – na miarę PRL – życie. Lubiany, popularny, uśmiechnięty. Dusza towarzystwa. Nie był aktywnym opozycjonistą, chociaż sympatyzował – podobnie jak większość jego rówieśni-

ków – z ruchem antykomunistycznym. Zdarzało mu się nosić wpięty w ubranie opornik – w okresie stanu wojennego symbol oporu przeciwko władzy, za który można było zostać pobitym przez milicję. Majchrzak nosił również znaczek klubu karate. W latach osiemdziesiątych w Polsce panowało szaleństwo związane z filmami z Bruce'em Lee. Trenowanie sportów walki było wśród młodych ludzi bardzo popularne. Piotr Majchrzak nie należał pod tym względem do wyjątków.

Na jego miejscu mógł być w zasadzie każdy.

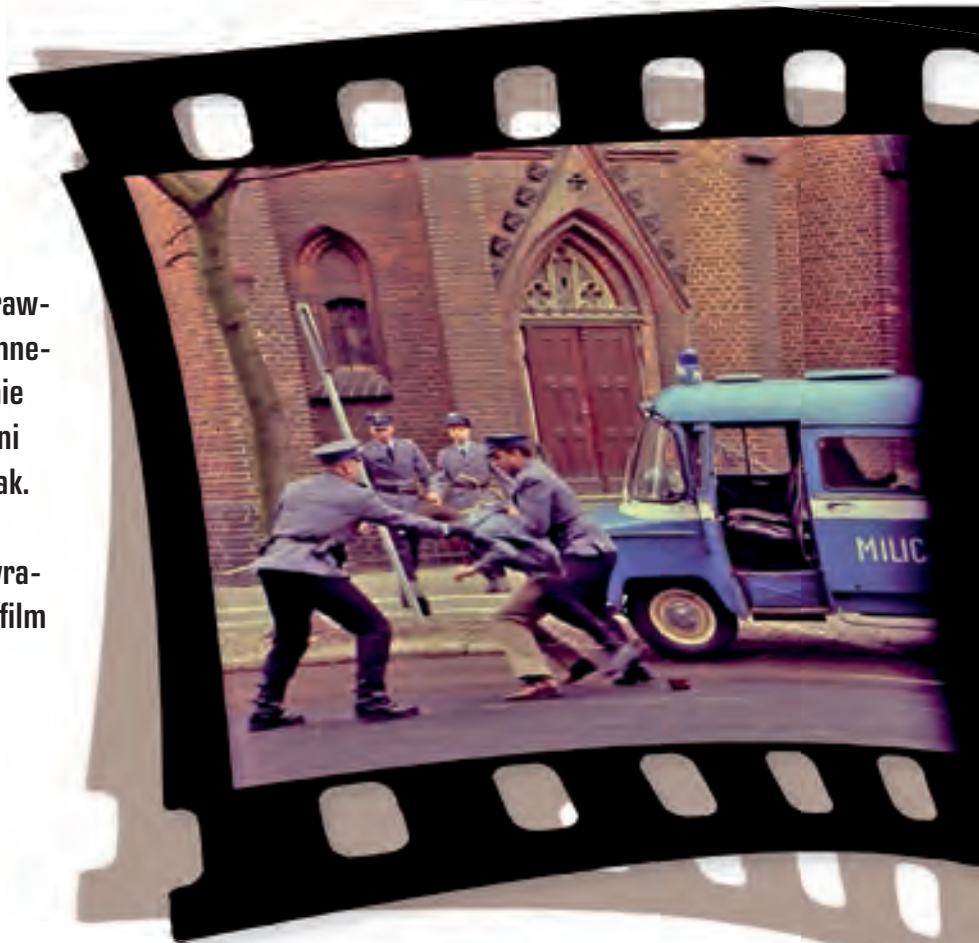
„Pałką czy parasolką?”

Dramat rodziny Majchrzaków zapoczątkowany śmiertelnym pobicie Piotra trwał przez lata. Rodzice szukający prawdy o okolicznościach śmierci ich syna byli zastraszani. Matce grożono, że jeżeli będzie dążyć sprawę, to zginie również jej mąż i drugi syn, którego „nieznani sprawcy” dotkliwie pobili.

Zainteresowanie Służby Bezpieczeństwa rodziną Majchrzaków po śmierci syna pozwala domniemywać, że funkcjonariusze chcieli wyciszyć sprawę. Zachowały się dokumenty, z których wynika, że rodzice Piotra zwrócili się znajomym z zastraszania przez SB i prokuraturę.

Nasuwa się porównanie ze sprawą Grzegorza Przemyka, skatowanego przez milicjantów, którzy dzięki ochronie zapewnionej im przez władze komunistyczne nie ponieśli odpowiedzialności. W tej sprawie także zastraszano świadków.

W przypadku Piotra Majchrzaka wersją oficjalną był zgon w wyniku ciosu parasolem, zadanego przez awanturującego się przechodnia, będącego pod wpływem alkoholu. Wersja, sądząc z zachowanych akt śledztwa, dość prawdopodobna, zawiera jednak luki. Bo niby czemu, mając przekonujące dowody i winnego – Mariana O., czyli „człowieka z parasolką”, przesłuchano go jedynie w charakterze świadka? Badający tę sprawę dziennikarz Krzysztof M. Kaźmierczak przekonuje, ➤



że Marian O. był chroniony przez SB, gdyż był im przydatny w inwigilacji jednego z obcokrajowców, któremu wynajmował mieszkanie. W świetle materiałów pokazanych w filmie jest to wersja mało prawdopodobna. Zwłaszcza że reżyserce udało się dotrzeć do świadków zdarzenia, którzy podali wersję o pobiciu Piotra Majchrzaka przez patrol ZOMO.

Winnych brak

Przypadek ten doskonale pokazuje, jak trudno jest udowodnić winę sprawcom zbrodni stanu wojennego. Podczas toczących się już w III RP postępowań sądowych nie udało się przesądzić jednoznacznie nawet o bezpośredniej przyczynie zgonu, a co dopiero wskazać winnych. Biegli raz przychylali się do wersji, w której narzędziem zbrodni był parasol, innym razem skłaniali się do tego, że obrażenia mogła spowodować milicyjna pałka szturmowa. Za drugą wersją opowiadał się m.in. lekarz przeprowadzający sekcję zwłok Piotra jeszcze w maju 1982 roku.

Dzieje się tak m.in. z powodu fałszowania dokumentacji przez SB. Esbecka „omerta”, czyli zmowa milczenia, nie pozwala rozwikłać nie tylko sprawy śmierci Piotra Majchrzaka, ale również wielu innych. Gdy przypatrzmy się aktom śledztwa w sprawach niewyjaśnionych zgonów lub pobicz działalności lub przypadkowych ofiar, wszystkie wyglądają wiarygodnie. Na przykład rówieśnik Majchrzaka, Marcin Antonowicz, zmarł w wyniku obrażeń, które odniósł, wyskakując rzekomo z milicyjnego stara. Wiele poszlak wskazuje jednak na to, że został skatowany przez

milicjantów. Tylko czasami wersje przyjmowane przez SB i prokuraturę brzmiały groteskowo. Przykładem może być linia śledztwa przyjęta po pobiciu ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego przez „nieznanych sprawców”, czyli najpewniej funkcjonariuszy SB. Otóż Biuro Śledcze MSW przyjęło wersję, że ksiądz krzywdę... zrobił sobie sam podczas ataku epilepsji, a historię o pobiciu opowiadał, aby ukryć chorobę przed przełożonymi!

Big Cyc zamiast profesorów

Filmy dokumentalne poświęcone PRL są często schematyczne, stanowią kompilacje „gadających głów”, czyli wypowiedzi historyków i świadków historii,



przeplecionych – nie zawsze logicznie – z materiałami archiwalnymi. W tym przypadku jest inaczej. Twórcy filmu *Pod opieką operacyjną* ograniczyli wypowiedzi historyków do minimum. Oddali głos rodzinie i przyjaciółom Piotra Majchrzaka. Pojawiają się też wypowiedzi

odnalezionych świadków pobicia i cytaty z dokumentów, akt i publikacji prasowych.

Dobrym pomysłem było wykorzystanie w filmie fragmentów spektaklu Teatru Ósmego Dnia, który był poświęcony Piotrowi Majchrzakowi. Dokument zawiera również sceny fabularyzowane, „rekonstrukcje wydarzeń”, w których wystąpili profesjonalni aktorzy. Całość jest dopełniona archiwalnymi materiałami filmowymi z lat osiemdziesiątych. Pokazanie brutalnego rozpedzenia manifestacji jest dla widza dużo bardziej wymowne niż wypowiedź historyka.

Mocną stroną obrazu jest muzyka. Anna Piasek-Bosacka sięgnęła po antysystemowe piosenki Big Cyca z płyty *Zadzwoncie po milicję*. Chociaż pochodzą z 2011 roku, to znakomicie oddają klimat minionej epoki. Ścieżkę dźwiękową można było uzupełnić o *Spytaj milicjanta* zespołu Dezerter, która w przewrotny sposób pokazuje bezkarność funkcjonariuszy MO w ostatniej dekadzie PRL.

Dynamiczny, ale....

Film wciąga widza, jest znakomicie skonstruowany, jednak ograniczenie wypowiedzi historyków i ekspertów przyniosło też pewne wady. O ile trudno byłoby zmieścić wszystkich biegłych sądowych, którzy wydawali sprzeczne opinie, o tyle trudno wytłumaczyć, dlaczego w filmie nie znalazła się wypowiedź żadnego z członków tzw. komisji Rokity, która jeszcze w 1989 roku zajmowała się niewyjaśnionymi zgonami z okresu stanu wojennego. Jest to dziwne tym bardziej, że obraz odwołuje się do prac tej komisji.

Chociaż przypadek Piotra Majchrzaka pokazano na tle wielu zbrodni stanu wojennego, to wątek podobieństw z innymi zbrodniami systemu nie został wyczerpany. Zarówno Majchrzak, jak i wspomniani Antonowicz oraz Przemysław, byli młodymi ludźmi, przypadkowymi ofiarami sprawców w mundurach, których chroniło państwo. *Pod opieką operacyjną* pokazuje jak trudno jest dotrzeć do prawdy i postawić winnych na ławie oskarżonych. ❀

Dzieje komunistycznej bezpieki

Książka Ryszarda Terleckiego to pierwsza synteza historii aparatu bezpieczeństwa w Polsce w latach 1944–1990. Po raz pierwszy została wydana w 2007 roku i od tego czasu jest podstawową publikacją dotyczącą tej tematyki. Nowe wydanie, ze względu na słabą już dostępność poprzedniego, było bardzo potrzebne. Nie rozszerza ono jednak wątków poruszonych wcześniej, a szkoda. Szczególnie, że od 2007 roku literatura dotycząca tej tematyki znacząco się rozszerzyła.

Znany krakowski historyk opisuje tworzenie i rozwój struktur komunistycznego aparatu represji od momentu, gdy na naszych ziemiach pojawiły się wojska Armii Czerwonej (1944), do rozpoczęcia rozmów o ich wycofaniu z Polski w 1990 roku. Opisuje decydującą rolę sowieckich instruktorów w czasie, gdy powstawała bezpieka, a także w początkowym okresie jej istnienia. Wtedy ich znaczenie było szczególnie duże, sowieccy funkcjonariusze kierowali nawet niektórymi departamentami Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Terlecki bierze również pod lupę środowiska, z których komuniści rekrutowali ludzi do służby w organach bezpieczeństwa. Były to głównie niziny społeczne – osoby niewykształcone, często pospoliczy przestępcy czy nawet wielokrotni mordercy. Do tych ostatnich należał gen. Grzegorz Korczyński, późniejszy wiceminister obrony narodowej, odpowiedzialny m.in. za mordy na Żydach podczas II wojny światowej. Jest to o tyle istotne, że fakty na temat jego zbrodni nie były powszechnie znane, wiedziała o nich jedynie grupa historyków zajmujących się zawodowo taką tematyką.

Pierwszy okres funkcjonowania struktur aparatu bezpieczeństwa stał pod znakiem brutalnych represji i znęcania się nad aresztowanymi. W tym też czasie bezpieka miała najsilniejszą pozycję w systemie Polski Ludowej. Mogła prowadzić śledztwa nawet wobec najbardziej prominentnych dygnitarzy partyjnych i państwowych.

Jej rola uległa znacznemu ograniczeniu po ucieczce na Zachód ppłk. Józefa Światły, jednego z czołowych funkcjonariuszy MBP, a zwłaszcza po tzw. odwilży październikowej. Na falach Radia Wolna Europa Światło opowiedział, jak funkcjonowała polska bezpieka, jakich metod używała i jak brutalnie traktowała polskich patriotów. Terlecki dokładnie odtwarza, w jaki sposób audycje Światły wpłynęły na zmiany w strukturach aparatu represji. Usunięto najgorliwszych stalinowskich oprawców, takich jak Józef Różański. Dokonano także istotnych zmian w metodyce działania, zrezygnowano z brutalnych metod okresu stalinowskiego na rzecz subtelniejszej kontroli agenturalnej czy działań o charakterze dezintegracyjnym.

Rok 1956 stał również pod znakiem zmiany środowisk, z których rekrutowano funkcjonariuszy bezpieki. Poszukiwano odtąd osób inteligentniejszych i z lepszym wykształceniem. Szczególnie wyraźnie było to widać od połowy lat siedemdziesiątych, gdy wraz z rozwojem struktur Służby Bezpieczeństwa, spowodowanym pojawieniem się zorganizowanej opozycji, rósł poziom intelektualny funkcjonariuszy SB. W latach osiemdziesiątych standardem dla osób piastujących kierownicze funkcje w aparacie represji był dyplom wyższej uczelni.

Ponieważ książka ma charakter syntetyczny i popularnonaukowy, autor skupia się na dwóch głównych kierunkach działania organów bezpieczeństwa, czyli walce z opozycją i Kościołem katolickim. Cele te pozostawały niezmiennie przez cały okres Polski Ludowej, korygowano jedynie metody. Jak słusznie uważa Terlecki, z czasem działania te zmierzały bardziej w kierunku skłócenia określonych środowisk i utrzymywania ich pod kontrolą niż podejmowania prób ich rozbijania. Większy nacisk kładziono również, szczególnie w latach osiemdziesiątych, na pracę z agenturą, co wyraźnie widać po jej znaczącym rozroście liczbowym i jakościowym. Niemniej to właśnie od połowy lat siedemdziesiątych zaczęła funkcjonować tzw. Grupa „D” Departamentu IV MSW, zajmująca się bezprawnymi działaniami wymierzonymi w duchowieństwo (miała na koncie pobicia i zabójstwa).

Wiele uwagi autor poświęca przebiegowi kolejnych kryzysów władzy, które miały miejsce w czasie „polskich miesięcy”, czyli w czerwcu 1956, marcu 1968, grudniu 1970 czy wreszcie sierpniu 1980 roku. Wtedy też rola aparatu represji była bardzo istotna.

Swoją pracę Terlecki wieńczy opisem sposobu rozwiązania SB i wielu niepokojących wydarzeń z tym związanych. Wśród nich na plan pierwszy wysuwa się niszczenie dokumentacji aparatu represji na polecenie najwyższych władz i fakt, że do służby w Policji i Urzędzie Ochrony Państwa przyjęto aż 10 z 14 tys. funkcjonariuszy dawnej SB, którzy zgłosili się do weryfikacji.

Recenzowana książka stanowi ważny punkt wyjścia dla osób pragnących poznać dzieje aparatu represji w Polsce Ludowej i jego rolę w ramach komunistycznego systemu na ziemiach polskich. Dzięki przystępnemu językowi publikacja może być interesująca nawet dla zupełnych laików w dziedzinie historii. 📖



Ryszard Terlecki, *Miecz i tarcza komunizmu. Historia aparatu bezpieczeństwa 1944–1990*, wyd. 2, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2013, ss. 392

Wspomnienia „niedzielnego rewolucjonisty”

W listopadzie ubiegłego roku na półki księgarskie trafiła autobiografia Karola Modzelewskiego, książka wyjątkowa i ważna. Autor swoim doświadczeniem mógłby obdzielić trzy osoby: rewolucjonistę, profesora i więźnia recydywistę. Autobiografia uzupełnia jego najbardziej znany obraz – opozycjonisty. Pokazuje człowieka, który angażował się w działalność polityczną kosztem swojej pasji – mediewistyki – i kariery. Odsłania także kulisy funkcjonowania więzień w PRL, w których autorowi przyszło spędzić osiem lat.

W latach 1950–1956 Modzelewski działał w Związku Młodzieży Polskiej. Po roku 1956 coraz ostrzej krytykował panujący system, został rewizjonistą. W 1965 roku wraz z Jackiem Kuroniem napisał słynny otwarty *List do Partii*. Za współautorstwo i kolportaż tego dokumentu został skazany na 3,5 roku więzienia. Po zwolnieniu był jednym z liderów grupy „komandosów”, w czasie Marca '68 został aresztowany i skazany, na wolność wyszedł w 1971 roku. W 1980 i 1981 roku był jednym z liderów NSZZ „Solidarność” i rzecznikiem jej władz krajowych. Po wprowadzeniu stanu wojennego internowany, następnie aresztowany i oskarżony w procesie liderów Solidarności i opozycji demokratycznej. Przez te wszystkie lata prowadził badania naukowe, zwieńczeniem jego kariery był tytuł profesora (1990) i stanowisko wiceprezesa PAN (od 2006).

Autobiografia *Zajeżdźmy kobylę historii. Wyznania poobijanego jeźdźca* jest napisana z dystansem, Modzelewski nie ukrywa, że część jego dawnych sądów bywała pochopna, nie do końca trafiona lub nazbyt emocjonalna. O swoich przeżyciach pisze bardzo plastycznym stylem, książkę czyta się z przyjemnością. Możemy w niej odnaleźć trzy rodzaje narracji. Autor zaczyna najczęściej od nakreślenia historycznego tła swoich doświadczeń. Wprowadza czytelnika w kulisy wydarzeń z 1956 roku, działalności rewizjonistów i narodzin Solidarności. Przy konstruowaniu tych fragmentów nie ogranicza się do swojej pamięci, polega raczej na pracach historyków XX wieku (m.in. Jerzego Eislera, Andrzeja Friszke czy Jana Skórzyńskiego). Dopiero po nakreśleniu tła, przechodzi do przedstawienia własnych wspomnień. Czasem idzie o krok dalej, traktując swoje przeżycia jako punkt wyjścia do zaprezentowania obserwacji i refleksji na temat wyznawanych wartości, historii, polityki i współczesnej Polski. Momentami można odnieść wrażenie, że narracja historyczna zaczyna dominować kosztem o wiele ciekawszych wspomnień i refleksji.

Taki zabieg konstrukcyjny jest jednak bardzo efektywny, szczególnie na początku książki. Modzelewski opisuje urywki swoich dziecięcych wspomnień ze Związku Radzieckiego, które traktuje jako wstęp do rozważań o totalitaryzmie, a od dziecinnej fascynacji radzieckim mundurem przechodzi do refleksji nad ideą narodu i analizą własnej tożsamości. Jego matką była Natalia z domu Wilder. Ojciec był Rosjaninem, podchorążym, skazanym w czasie stalinowskiej wielkiej czystki na łagier. Za swojego ojca autor uznaje jednak ojczyma – Zygmunta Modzelewskiego, ministra spraw zagranicznych Polski Ludowej z lat 1947–1951. Karol Modzelewski, w czasie wojny przebywający w domu dziecka, wychowany został w duchu wielkorosyjskiego nacjonalizmu i komunizmu, ale „rosyjska tożsamość ustąpiła z czasem polskiemu poczuciu tożsamości narodowej”. Mimo częściowo żydowskich korzeni nigdy nie czuł przynależności do tej wspólnoty.

Rozumienie patriotyzmu, wywodzące się z jego przeżyć, koncentruje się na kwestiach postawy i czynów, nie na pochodzeniu. Autor zwraca uwagę na postać Seweryna Blumsztajna. Przypomina, że pozostał on w kraju, podczas kiedy w 1968 roku jego rodzina została

zmuszona do wyjazdu, a kilkanaście lat później, mimo groźby aresztowania, bezskutecznie starał się wrócić z Francji, gdzie przebywał od 1981 roku. Modzelewski przytacza hasła z 1968 roku: „Nie będą nas uczyć patriotyzmu Blumsztajny i inne Sztajny” i kwituje: „Szkoda. Polski patriotyzm Sewka przeszedł pomyślnie najtrudniejsze sprawdziany”.

Gdyby Karol Modzelewski urodził się w „spokojnych czasach”, przeszedłby do historii wyłącznie jako wybitny mediewista, ceniony w kraju i za granicą. Ale przyszedł na świat w Moskwie w 1937 roku, u progu II wojny światowej i półwiecznej dominacji komunistów nad Europą Środkowo-Wschodnią. Czas, który chciałby przeznaczyć na realizację swojej pasji, musiał w dużym stopniu poświęcić działalności politycznej, która skutkowałą kilkuletnimi wyrokami. Jak sam mówił w jednym z wywiadów promujących książkę, „nie jest prawdą, że całe życie chciałem być rewolucjonistą [...], ja chciałem być historykiem”.

Można odnieść wrażenie, że najtrudniejsze w działalności publicznej autora było właśnie wyrzeczenie się czasu należnego badaniom historycznym. O ile wspomina, że został „wychowany w przekonaniu, że więzienie nobilituje”, o tyle po pierwszym wyroku stał się bardziej powściągliwy niż pokolenie młodych buntowników z 1968 roku. Decyzję o wiecu na UW postrzega jako podjętą w sytuacji, gdy byli postawieni pod ścianą. Wiedział, ile kosztuje sprzeciw, dlatego raczej przyłączał się do nieuniknionych protestów, niż je inicjował. Nie działał w Komitecie Obrony Robotników, poświęcił się wtedy życiu naukowemu, chociaż przekonanie o przynależności Modzelewskiego do KOR wydaje się dość powszechne.

W 1989 roku, mając w perspektywie wykłady na prestiżowych uczelniach we Francji, nie chciał ubiegać się o mandat senatora. Władze uniemożliwiły mu jednak wyjazd, co „zmusiło” go do kandydowania. „Z zawodowego punktu widzenia straciłem dwa i pół roku. Tyle trwała skrócona kadencja parlamentu i mogłem sobie ten czas dopisać do lat spędzonych w więzieniach” – pisze. Kiedy tylko mógł, zaczął pracę nad publikacją *Barbarzyńska Europa*, powszechnie dziś cenioną.

W autobiografii znamieny jest *passus* dotyczący, mniejszego niż się spodziewano, oporu związkowców po wprowadzeniu stanu wojennego: „Żaden naród nie składa się z samych bohaterów. Nasz – wbrew legendom i czytankom – też nie. No i bardzo dobrze. [...] W życiu realnym bohaterstwo prowadzi zazwyczaj do przedwczesnej śmierci na jakimś polu chwały, a naród musi żyć, rodzić i wychowywać dzieci, zarabiać na utrzymanie rodziny, budować własną pomyślność i tworzyć swoją kulturę”. Modzelewski jednak, chociaż wierzy w prawdziwość tych słów, wielokrotnie stawał się bohaterem, nawet jeżeli trochę mimo woli. W jednym z wywiadów z nutą autoironii (jako ateista) stwierdził, że działa, gdy się wkurzy: „Wkurzenie jest głosem sumienia. A sumienie – tak mi powiedział bardzo pobożny człowiek Seweryn Jaworski [...] – jest głosem Boga. Czyli jak się wściekam, to Pan Bóg mi każe”. Za każdym razem odkładał książki na bok, robił co musiał... po czym siedł do więzienia. ■



Karol Modzelewski, *Zajeżdźmy kobylę historii. Wyznania poobijanego jeźdźca*, Iskry, Warszawa 2013, ss. 400



■ *Afera Żelazo w dokumentach MSW i PZPR*, wybór, wstęp, oprac. W. Bagieński, P. Gontarczyk, IPN, Warszawa 2013, ss. 400 + ss. 24 wkł. ilustr.



■ Alicja Paczoska-Hauke, „Szary”, „Ryś”, „Mściciel”... Żołnierze podziemia niepodległościowego na Kujawach Wschodnich (1945–1947), IPN, Bydgoszcz–Gdańsk 2013, ss. 392 + ss. 24 wkł. ilustr.



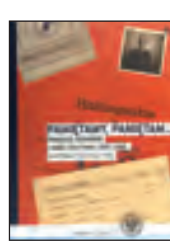
■ Krzysztof Szwagrzyk, *Więzienia i obozy na Dolnym Śląsku (1945–1956)*, Przewodnik, IPN, Wrocław 2013, ss. 151.



■ Piotr Brzeziński, *Zapomniani dygnitarze. Pierwsi sekretarze Komitetu Wojewódzkiego PPR/PZPR w Gdańsku w latach 1945–1990. Szkice biograficzne*, IPN, Gdańsk 2013, ss. 467 + ss. 48 wkł. ilustr.



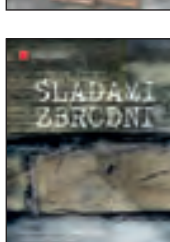
■ Patryk Pleskot, *Dyplomata, czyli szpieg? Działalność służb kontrwywiadowczych PRL wobec zachodnich placówek dyplomatycznych w Warszawie (1956–1989)*, cz. 1: *Generalia*, cz. 2: *Exempla*, IPN, Warszawa 2013, ss. 656.



■ *Pamiętamy, pamiętam... Pomorze Gdańskie i obóz Stutthof 1939–1945. Materiały edukacyjne*, IPN, Gdańsk 2012, ss. 132 + ss. 72 wkł. ilustr.



■ *Kreisbildstelle Turek/Wartheland. Archiwum Igły*, t. 2, IPN, Bibliotheca Turcoviana, Turek 2013, ss. 400.



■ Marcin Zwolski, *Śladami zbrodni okresu stalinowskiego w województwie białostockim*, IPN, Białystok 2013, ss. 456.



■ Barbara Tomczak, *Inwentarz archiwalny Wojskowej Sądu Rejonowego w Zielonej Górze 1950–1954*, IPN, Poznań 2013, ss. 50.



■ *Letnia Szkoła Historii Najnowszej 2012. Referaty*, red. K. Dworaczek, Ł. Kamiński, wstęp Ł. Kamiński, IPN, Warszawa 2013, ss. 205.



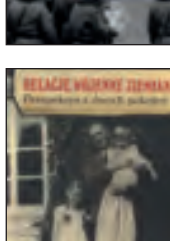
■ *Procesy polityczne działaczy NSZZ „Solidarność” w Łodzi w okresie stanu wojennego*, wstęp, wybór, oprac. S. Piłarski, współpraca K. Kolasza, IPN, Łódź 2013, ss. 352.



■ Dariusz Węgrzyn, *Od pierwszego strajku do „Trzeciego Szeregu”. NSZZ „Solidarność” Region Podbeskidzie (1980–1983). Opis konfliktu politycznego*, IPN, Katowice 2013, ss. 666.



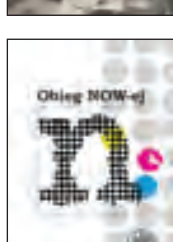
■ Bartłomiej Noszczyk, *Niebezpieczna wolność. Uczeń Polski (1979–1989). Fakty, wspomnienia, dokumenty*, IPN, Warszawa 2013, ss. 296 + ss. 64 wkł. ilustr.



■ *Relacje wojenne ziemian – perspektywa dwóch pokoleń*, wybór, oprac. M. Chorażki, IPN, Wydawnictwo Wysoki Zamek, Kraków 2013, ss. 358.



■ *W pałapce historycznej konieczności*, red. F. Musiał, IPN, Kraków 2013, ss. 160.



■ *Obieg NOW-ej*, wybór, oprac. Ł. Bertram, Ośrodek KARTA, IPN, Warszawa 2013, ss. 288.



■ *25. rocznica strajku w Hucie Stalowa Wola (22 sierpnia – 1 września 1988 r.)*, IPN, Rzeszów 2013, ss. 31.



■ Janusz Zabłocki, *Dzienniki 1976–1986*, t. 3, cz. 2: 1982–1986, IPN, Warszawa 2013, ss. 760.

Institut Pamięci Narodowej
Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu
00-207 Warszawa, pl. Krasieńskich 2/4/6

Publikacje IPN można nabyć:
w Centrum Edukacyjnym IPN
im. Janusza Kurtyki PRZYSTANEK HISTORIA
ul. Marszałkowska 21/25, 00-625 Warszawa
poniedziałek – piątek w godz. 10:00–18:00,
sobota w godz. 9:00–14:00, tel. (22) 576 30 06

Prenumerata „Pamięci.pl”

Szczegółowe informacje na temat prenumeraty wraz z cennikiem i formularzem zamówienia znajdują się na stronie www.pamiec.pl przy opisie najnowszego miesięcznika. Zamówienie można złożyć telefonicznie lub wysłać wypełniony formularz zwykłą pocztą na adres IPN albo pocztą elektroniczną na adresy podane poniżej.

Sprzedaż wysyłkowa publikacji

zamówienia można składać telefonicznie:
tel. (22) 431 82 92, (22) 431 82 88;
(22) 431 82 89; fax (22) 431 82 91
pocztą zwykłą na adres Instytutu
pocztą elektroniczną: joanna.pamula@ipn.gov.pl;
joanna.pszczola@ipn.gov.pl
danuta.wierzman@ipn.gov.pl
lub w księgarni internetowej: www.ipn.pocztaj.pl

A

utor tej nietypowej książki – działacz Grup Oporu Solidarni – połączył dwie role: uczestnika wydarzeń patrzącego na przeszłość z perspektywy swojej pamięci i badacza analizującego różnego rodzaju źródła. W efekcie publikacja przynosi wiele istotnych informacji dla historyków, a jednocześnie jest ciekawa dla każdego, kogo interesują przygody solidarnościowych konspiratorów.

